

Makaron w sakwach

CZYLI ROWEREM
PRZEZ ANDY
I KORDYLIERY

PIOTR STRZEŻYSZ



Szlaki ludzi ciekawych



Bezdroża

Piotr Strzeżysz

Makaron w sakwach, czyli rowerem przez Andy i
Kordyliery

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Teksty i fotografie: Piotr Strzeżysz

Rysunek na okładce: Ala Leszyńska

Redaktor prowadzący: Agnieszka Krawczyk

Redakcja: Sandra Trela

Korekta: Urszula Czerwińska

Skład: DAKA - Studio Graficzne

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: helion@helion.pl

WWW: <http://helion.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

http://helion.pl/user/opinie?bemaak_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: ePub: 978-83-246-9197-5, Mobi: 978-83-246-9198-2

Copyright © Helion 2014

- [Poleć książkę](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

dla Nunu

Y que te vayabien!
Podróż przez Andy



*Lepiej nie mieć niczego,
ale mieć pragnienia,
niż posiadać wszystko,
ale nie mieć pragnień^[1]*

Preludium

— Chcesz rower? — pytam kruczowłosą, kilkuletnią dziewczynkę.

— Bierz, to dla ciebie, prezent od *gringo* — dodaje Jose.

Dziecko patrzy nieufnie, ale po chwili podchodzi, chwytając kierownicę, *gracias senior*, ależ *de nada*, naprawdę nie ma za co, rower już swoje przeszedł, nie wiadomo, kto bardziej wyczerpany, on czy ja, choć palmę pierwszeństwa pewnie przejąłby siedzący przy drodze Hiszpan, który przed godziną wytoczył się zza zakrętu, przemaszerował z rowerem ostatnie sto metrów i padł pod ścianą jaskrawożółtego sklepiku.

Rower trochę za duży, dziewczynka musi mocno wyciągnąć nogi, aby dosięgnąć pedałów, ale widać, że jest zadowolona. Hamulce działają, ślady opon zakreślają nierówne okręgi. Wyjeżdża na szutrową drogę, jedzie w stronę lasu.

Stojące obok dwie młodsze koleżanki popiskują, żeby wracała.

— Może jeszcze zostawię jej kask — mówi Jose.

— Zostaw, co chcesz, na mnie już czas.

— Chyba nie będziesz teraz szedł nocą do miasta? — patrzy na mnie zdziwiony, jak zarzucam na ramiona wypakowany plecak — Zostało jeszcze dobrych kilkanaście kilometrów.

— Nie idę do miasta, rozbiję się gdzieś przy drodze, a może uda mi się złapać jakąś okazję.

— Okazję? Od rana nie wyprzedził mnie żaden samochód.

Patrzę na Jose, już mu lepiej, cola i ciastka ze sklepu dobrze mu zrobiły. Za chwilę

będzie mógł ruszyć dalej, do Coyhaique powinien dotrzeć w godzinę.

— Trudno, nie jest daleko, dziś się gdzieś prześpię, a jutro spokojnie dojadę do miasta — mówię.

— Rób, jak chcesz, ja już chyba tutaj zostanę.

Żegnam Jose, żegnam dziewczynki, ruszam w zapadający zmrok. Jeszcze rzut oka na rower, który służył mi przez ostatnie dwa tygodnie. Uśmiech zostawia ślad w pamięci, zryty piach, rama rzeczywiście ciut za duża, ale to dziecko jeszcze, podrośnie kilka centymetrów i rower będzie jak ulał.

Muchas gracias, senior. Ależ naprawdę de nada. Regalo egoistico, pozbywszy się uciążliwego balastu, zrobiłem prezent samemu sobie.

Kilka godzin wcześniej, podobnie jak Jose, resztkami sił dowlokłem się do

sklepu, pod którym bawiły się dwie małe dziewczynki. Goniły rudego kotka. Mały, śliczny zwierzak i jeszcze ładniejsze dziewczynki. No i jaskrawożółty sklep. Z coca-colą, ciastkami i kawą. I nawet camping był.

Sklep spadł mi dosłownie z nieba, od rana myślałem o uzupełnieniu zapasów, choć pewnie zasadniej byłoby napisać, że to dziewczynki spadły z nieba, a sklep był tylko iluzją, a może wszystko razem było tylko złudzeniem, tak przynajmniej myślałem na początku, taka fatamorgana z rudym kotem, po ciężkim dniu jazdy na przymałym, pozbawionym przerzutek rowerze.

Podszedłem bliżej i z ulgą cisnąłem rower na ziemię. Jest sklep, do tego otwarty, jest kot, a co najważniejsze są dziewczynki, można się wywiązać ze złożonej samemu sobie obietnicy.

Tego ranka wyruszyłem bardzo wcześnie. Szybkie śniadanie, pakowanie, dzień jak co dzień, tyle że sił coraz mniej. W głowie jedna myśl — spotkać wreszcie człowieka i podarować mu niebieski rower. Jakoś nie mogłem go tak po prostu zostawić przy drodze. Oswajanie rzeczy. Nawet nadawanie imion. Dlaczego nie? Czasem są to więzi mocniejsze niż z człowiekiem. Na pierwszy rzut oka, to tylko kupa złomu, trochę metalu i plastyku, skąd więc włącza się mi inhibicja?

Jechałem powoli, mozolnie pokonując kolejne kilometry, pomału tracąc nadzieję, że tego dnia uda mi się jeszcze kogoś spotkać. Droga, która miała być przyjemną przejażdżką prowadzącą do Patagonii, okazała się męczącą, wielką górzystą koleiną, na której nie dawał sobie rady mój kupiony za dwieście złotych rower marki Oxford. A może rower był w porządku, na pewno doskonały do jazdy po parku, albo żeby nim skoczyć po piwo do sklepu, droga też była w porządku, wcale nie taka wyboista i nawet nie stroma, przełęcz również nie należały do największych, to tylko ja się przeliczyłem z siłami i tym razem musiałem się przyznać do porażki. Może nie tyle porażki, a rozczarowania.

A miało być łatwo i przyjemnie!



Dziewczynka, której podarowałem rower

Rozdział 1

Pomysł wydawał się prosty. Pojechać do Chile, kupić najtańszy, w miarę sprawny rower i przepedałować na nim do Patagonii przez drogę zwaną Carretera Austral. Raz w życiu chciałem sobie oszczędzić przepraw na lotnisku z rowerowym pudłem, zastanawiania się, czy jednoślad doleci w całości. Postanowiłem kupić rower na miejscu i ruszyć na nim z Puerto Montt na południe. Droga nie sprawiała wrażenia ani zbyt trudnej, ani długiej, miałem do pokonania niecałe tysiąc kilometrów i trzy tygodnie wolnego.

W styczniu 2008 roku liniami Iberia doleciałem nie bez przygód do Santiago de Chile. Na lotnisku w Warszawie odprawa przebiegła bezboleśnie, ale niespodzianka czekała na mnie w Madrycie. Okazało się bowiem, że lot jest przebukowany i niestety, nie będę mógł tego dnia lecieć dalej. W podobnej sytuacji znalazła się jeszcze czwórka Francuzów. Na nic się zdały nasze protesty i uwagi, że w samolocie lecącym do Chile jest już prawdopodobnie nasz bagaż. Obsługa była niewzruszona, a my coraz bardziej podenerwowani. Kwadrans przed odlotem stało się jasne, że tego dnia zostajemy na lotnisku.

Nie pozostawało nam nic innego, jak czekać na jakieś informacje. Usiedliśmy na twardych, zimnych siedzeniach, aż w końcu przyszła do nas wyglądająca na stewardesę kobieta i poprosiła o paszporty. Za moment usłyszeliśmy z jej ust komunikat, w który początkowo ciężko było uwierzyć. Otóż w ramach rekompensaty mieliśmy otrzymać sześćset euro w gotówce do ręki, zakwaterowanie w czterogwiazdkowym hotelu z pełnym wyżywieniem i opcjonalną wycieczką na miasto. Zapewniono nas, że bagaż będzie nadany następnego dnia kolejnym samolotem, na którego lot dostaliśmy już karty pokładowe wraz z numerami miejsc.

Patrzyłem na poruszające się szybko usta kobiety i przecierałem uszy ze zdumienia. To przecież rewelacyjna wiadomość! Nigdzie się nie spieszę, z przyjemnością zwiedzę miasto i spędzę noc w eleganckim hotelu, a do tego dostanę do ręki gotówkę o wiele przewyższającą mój budżet przeznaczony na całą podróż.

Pokwitowaliśmy odbiór pieniędzy, sześć nowiutkich zielonkawych banknotów, po czym odwieziono nas do znajdującego się niezbyt daleko od lotniska hotelu.

Leżałem na wygodnym, ogromnym łóżku w eleganckim, przestronnym pokoju, na jaki nigdy nie byłoby mnie stać i pewnie nie będzie, i patrzyłem w niebieskawy sufit. Myśli krążyły niespokojnie, nie wiedziałem, czy mam się cieszyć, czy nie, niby wszystko w porządku, więc skąd ten niepokój? Przecież jechałem do Chile, mając w perspektywie zimne noce w namiocie,

podłe żarcie, niepewną drogę i tysiąc kilometrów do przejechania. Czy to, co się stało, traktować jako dobry omen, czy raczej preludium jakiegoś armagedonu? To prawda, że rzeczy czasem dzieją się same, bez naszego udziału, albo jedynie z namiastką tego udziału. Ale zazwyczaj jest choćby jakaś mała zapowiedź zmiany albo przecucie. A tutaj hotel, szwedzki stół, lokaj, ogromny pokój, telefon, napoje w lodówce...

Krótki spacer następnego dnia stępił trochę myśli, ciągle nie mogłem uwierzyć w to, co się wydarzyło poprzedniego dnia, ale sześć banknotów w portfelu świadczyło, że bynajmniej to nie jest sen.

Wieczorem bez problemu dostałem się na samolot. Po czternastu godzinach lotu wylądowaliśmy w Santiago de Chile.

Odebrałem bagaż, jeden duży plecak, zarzuciłem go na ramiona i wyszedłem na główną halę. Jeszcze kilka dni temu planowałem, że z Santiago ruszę dalej na południe autobusem. Teraz, mając budżet powiększony o sześćset euro, mogłem sobie pozwolić na przedostanie się do Puerto Montt samolotem. W punkcie informacyjnym dowiedziałem się, które linie obsługują tę trasę, wybrałem najtańszą opcję i za moment trzymałem w dłoni bilet linii Aerolineas del Sur.

Po krótkim locie wylądowaliśmy w Puerto Montt. Odebrałem bagaż i wyszedłem na zewnątrz. Ponieważ lotnisko znajdowało się dość daleko od samego miasta, do centrum podjechałem autobusem. Usadowiłem się na siedzeniu zaraz za kierowcą i wymieniłem uśmiechy z towarzyszem obok.

Krótki dialog na wypełnienie ciszy, naturalne pytanie, skąd, dokąd, nie, nie jestem Niemcem, tak, Polska duży kraj i niedaleko Niemiec, Jose, Piotr, Pedro, o rowerze nie wspominam, zresztą jeszcze go nie mam, tak, do hotelu, nie wiem, którego, ale do hotelu, przecież nie będę tłumaczył, że zamierzam spać pod mostem, a może powinienem powiedzieć, przecież nie chodzi o to, że się wstydzę, tylko jakoś tak niezręcznie mówić, że pod mostem, przecież dopiero co wyszedłem z samolotu, mam dobry plecak, mocne buty, a ten pan jedzie w klapkach, dłonie spracowane, potężne, kark ogorzały, szczerze, dobre spojrzenie, naturalna ciekawość, po co głupimi słowami rozbijać czyjeś wyobrażenie, jakąś wewnętrzną homeostazę myśli, nie chcę prowokować kolejnych pytań, no bo jak wytłumaczyć, że nawet z dodatkowymi euro na hotel zwyczajnie mnie nie stać, jak wyjaśnić, że nawet nie potrzebuję łóżka, bo mam i namiot, i śpiwór, i karimatę, więc wystarczy odrobina bezpiecznej przestrzeni, trawy, ziemi, pospaceruję, może coś znajdę, a jak nie, to ostatecznie i jakiś tani hotel, w końcu mam jeszcze zielone banknoty, które za chwilę wymienię na chilijskie pesos.

W chilijskich autobusach nie świdruje nad głową refren *eska, eska, wyślij esemeska*, albo zetka, albo jakieś RMF, nikt na siłę nie uprzyjemnia podróży. Nad siedzeniem kierowcy wielka nalepka informuje, że muzyka tak, ale pod warunkiem, że nie *molestuje* innych pasażerów.

Wyszliśmy razem, Jose pokazał, gdzie znajduje się punkt informacyjny. W niewielkim budynku zastałem dwie sympatyczne kobiety. Poza mną nie było nikogo, więc mogłem je trochę *pomolestar*. Najważniejszą dla mnie rzeczą było zlokalizowanie sklepów rowerowych, ale przy okazji chciałem się też upewnić, czy mogę przekroczyć granicę chilijsko-argentyńską na południe od Villa O'Higgins i czy wizę będę mógł nabyć dopiero po stronie argentyńskiej.

Jedna z kobiet zaznaczyła na planie miasta dwa sklepy rowerowe, ale o formalnościach związanych z przekraczaniem granicy nic nie wiedziała. W ogóle to nawet nie bardzo się orientowała, gdzie jest miejscowość, o którą pytałem. Zadzwoiła na policję i przynajmniej formalności wyglądały jasno. Żadnych wiz nie będę musiał załatwiać. Odpowiedni stempelek dostanę już w Argentynie.

Oba zaznaczone na planie miasta sklepy okazały się supermarketami, w których rowery, owszem, były, ale ich stan i jakość pozostawiały wiele do życzenia. To znaczy na pierwszy rzut oka nie wyglądały źle, ale po bliższym przyjrzeniu się widać było, że daleko bym na nich nie zajechał. Wizyta w centrach handlowych nie była jednak zupełnie bezproduktywna. Kiedy w drugim z supermarketów powiedziałem, że szukam roweru, aby pojechać na nim do Argentyny, dostałem od sprzedawcy szczegółowe informacje, gdzie szukać „właściwego” sklepu.

Miasteczko Puerto Montt nie jest duże i ściśle centrum można przejść na piechotę, więc niezrażony początkowymi problemami zarzuciłem ponownie plecak na ramiona i poszedłem pod wskazany adres. Sklep był niedaleko. Już z oddali dostrzegłem wielki szyld z napisem Kona i Oxford. Pierwsza marka była mi znana, druga okazała się chilijskim Rometem.

Wybór rowerów był całkiem spory, ale na te dobre trzeba było wydać niebotyczne pieniądze. Mocna Kona na osprzęcie LX/XT kosztowała równowartość około ośmiu tysięcy złotych. Nawet zielone papierki niewiele by tu pomogły...

Długo nie mogłem się zdecydować, który rower kupić. Sprzedawca, kiedy dowiedział się, że chcę jechać do Patagonii, doradzał dobry sprzęt i kpiącym uśmiechem kwitował moje pytania, czy dojadę na którejs z wiszących na stojakach damek marki Oxford. Sugerował, abym kupił lepszy rower i ewentualnie odsprzedał go w Punta Arenas. Może i rzeczywiście dałbym się namówić, ale te naprawdę dobre rowery, jak już wspomniałem, były bardzo drogie, a mój budżet mimo wszystko dość ograniczony.

W końcu wybrałem niewielką, niebieską damkę marki Oxford, prostą, z kilkoma przerzutkami na tylnym kole, dwudziestoczerocalowymi kołami i wygodnym siodełkiem. Nie był to sprzęt wyczynowy, ale wyglądał solidnie. Mocna, metalowa rama, prosta konstrukcja, pomyślałem, że dokręcę, co trzeba i rower będzie gotowy do drogi.

— To może chociaż spróbuj się na nim przejechać — powiedział sprzedawca, podając mi Oxforda.

Dopompowaliśmy powietrze i wyszedłem na zewnątrz. Kilka kółek pod sklepem trochę przytępiło mój niezdrowy entuzjizm. Rower był zdecydowanie za mały, kolana może brody nie dotykały, ale do pełnego komfortu było daleko. Niemniej jednak zdecydowałem się go kupić.

— Jeszcze będziesz żałował — usłyszałem, dostając do ręki paragon i gwarancję.

Żałował, nie żałował, miałem rower i mogłem teraz poszukać miejsca do spania. Spacerkiem dotarłem na obrzeża miasta, w niewielkim parku rozłożyłem się pod drzewem. Kilka zapytanych po drodze osób upewniło mnie, że to będzie bezpieczne miejsce, na wszelki wypadek z rozbiciem namiotu poczekałem do zapadnięcia zmroku.

Rozdział 2

Rankiem, po szybkim śniadaniu, zabrałem się za przygotowanie roweru do dalszej jazdy. Odczepiłem zbędne elementy, takie jak nóżka, dzwonek, światła z dynamem, przymocowałem bagażnik, prędkościomierz, zamocowałem sakwy, torbę na kierownicę i trąbkę. Część rzeczy, takich jak śpiwór, namiot i statyw, upchałem do dużego plecaka. Początkowo myślałem, że plecak zostawię komuś w parku, ale po namyśle postanowiłem go zabrać i większe gabarytowo rzeczy wieźć na plecach.

Na południe od Puerto Montt miałem do wyboru dwie drogi. Albo jechać bezpośrednio trasą zwaną Carretera Austral w stronę Argentyny, albo zwiedzić jeszcze po drodze wyspę Chiloe. Wybrałem tę drugą opcję, kierując się sugestiami sprzedawcy ze sklepu rowerowego, jak też informacjami z przewodnika. Czekał mnie krótki odcinek asfaltowej drogi na południe od miasta i potem kilkaset kilometrów bezdroży już po samej wyspie.

Głębszy oddech, kilka podskoków, parę wymachów ramionami i wreszcie ruszyłem. Obciążony rower nie sunął zbyt lekko. Pocięczałem się w myślach, że pierwsze metry zawsze są najgorsze. Wyjechałem za miasto. Ciepło, zdecydowanie zbyt ciepło i za zielono. Przecież miały być puste przestrzenie, skały i wiatr, jakaś egzotyka, namiastka chociaż, a tutaj krajobraz jak na Mazowszu.

Przerzutki w rowerze działały topornie, ale długich i stromych podjazdów na razie nie oczekiwałem, koła kręciły się znośnie, jechało się całkiem komfortowo. Nawet plecak na ramionach zbyt nie przeszkadzał, pewnie zacznę po kilku dniach, wtedy go przepakuję.

Po kilkudziesięciu pierwszych kilometrach trzeba wreszcie się zatrzymać, rozprostować kości i coś zjeść. Siedziałem pod sklepem wgrzając się w wielką bułkę, gdy usiadł obok mnie mężczyzna. Miły, subtelny, po raz setny zasłyszane zdania jeszcze nie drażnią, tchną świeżością, człowiek chce odpowiedzieć, porozmawiać, usłyszeć, dowiedzieć się, posiedzieć chwilę, przystanąć, nie ma potrzeby się spieszyć, życie jest za krótkie, żeby się spieszyć.



Rower gotowy, więc w drogę! Na południe od Puerto Montt

Widzę, że słowo Polska wzbudziło w nim jakieś wspomnienia.

— Jesteś z Polski? Dobrzy piłkarze, Deyna, Lato, pamiętam mecz z 1978, spuściliśmy wam wtedy lanie...

Mówię, że wtedy byłem jeszcze mały, do tego nie mieliśmy w domu telewizora i że teraz polscy piłkarze już nie tak dobrzy, zresztą, nie znam się.

— Tak, tak, to był piękny mecz — mężczyzna wyraźnie się ożywił. — Deyna nie strzelił karnego, gdyby strzelił, kto wie, może i byśmy przegrali wtedy.

Mówię, że kompletnie nie wiem i że to mnie naprawdę w ogóle nie interesuje.

— Nie interesuje cię piłka? A Maradonę znasz? Musiałeś coś słyszeć.

— Tak, słyszałem, Maradona bardzo znany w Polsce — odpowiadam.

— A widzisz, to trochę się jednak interesujesz piłką — pan znów się ożywił.

— Maradona już nie ten sam, narkotyki go wykończyły, ale wyszedł na prostą, stary jestem, a jeszcze jego plakat w pokoju mam. Sport to piękna rzecz, nawet jak brudny, to i tak piękny.

Przytaknąłem i wgrzyłem się w kanapkę.

— A po co ty tutaj właściwie przyjechałeś? — mężczyzna zmienił temat.

— W sumie to tak bez większego celu, ot tak, przejechać się kawałek rowerem w obcym kraju.

— To nie lepiej w domu zostać?

Patrzę na spalony nadgarstek, jakbym miał na nim znaleźć odpowiedź, łydka nie lepsza, wiatr niby chłodny, ale słońce pali mocno.

Opowiadam jeszcze trochę o Polsce, nie, wulkanów nie mamy, tak, morze jest, ale mniejsze, nie, na statkach nie pływałem, choć będąc dzieckiem rysowałem statki na mapie, nie wiem, chyba raczej nie chciałem być marynarzem, bardziej lotnikiem, ale uparcie rysowałem statki na mapie i kiedyś wypatrzyłem taki długi kraj na końcu świata, opływał go *in my mind's eyes*, miał żółty kolor, nie wiem, czemu żółty, przemalowałem go na czerwony, może dlatego, że wulkany, a może dlatego, że po tamtej stronie, a zaświaty zawsze częściej kojarzyłem z *l'enfer* niż *le ciel*.

Kilka słów na pożegnanie, czas w drogę. Niby nie ma co się spieszyć, ale samo się nie przejedzie. I w końcu sam nie wiem, dlaczego nie skorzystałem z zaproszenia na nocleg, coś mnie pchało dalej, na południe.

W Pargua przesiadłem się na prom, który miał mnie zawieźć na wyspę Chiloe. Wsiadłem na pomarańczowy stateczek i szybko znalazłem się po drugiej stronie wąskiej cieśniny. Tego dnia nie przejechałem już zbyt wielu kilometrów. Skręciłem na zachód, w stronę Caulin i jadąc szutrową drogą, pokonywałem mozolnie dość strome, krótkie wzniesienia. Zakres przełożeń nie był wystarczający na tyle, abym mógł podjeżdżać, często więc musiałem zsiadać z roweru i pchać go pod górę.

Przenocowałem pod Caulin, na łące, by następnego dnia ruszyć w stronę Ancud. Miasteczko, podobnie jak poprzednie, które mijałem, pełne było tęczyowych domków z przepięknymi gontami z drzew araukariowych. Fioletowe, żółte, pistacjowe czy czerwone, mieniły się w słońcu wielobarwnymi kolorami. Siedziałem na nadbrzeżu i chłonałem spokój płynący z morza.

Może się przejdę, spacer dobrze mi zrobi, plaża cała pokryta algami i małżami. Może to przez te algi albo małże, ale nagle pomyślałem o jedzeniu, a potem przypomniałem sobie, że miałem przecież w Ancud spróbować miejscowego specjału, czyli *curanto*.

Curanto to lokalny przysmak, przyrządzany z małży, boczku, kurczaka, kiełbasy, ziemniaków i placków kukurydzianych, do tego przygotowywany w

dość szczególny sposób. Otóż najpierw należy wykopać duży dół, którego dno wypełnia się rozżarzonymi do czerwoności kamieniami. Następnie kładzie się na nie owoce morza i ryby, które przykrywa się liśćmi rośliny zwanej *pangue*, choć podobno zamiennie można też użyć liści kapusty. Potem tworzy się kolejne warstwy, układając jeden po drugim składniki, takie jak mięso, warzywa i ziemniaki, pamiętając, by każdą z nich oddzielić liśćmi *pangue*. Na koniec wszystko szczelnie się przykrywa i dusi, jak w ciśnieniowym garnku.

Podejrzewam, że *curanto*, które zamówiłem w niedużej restauracji, było przygotowane mniej wyszukanyymi metodami, ale i tak smakowało wysmienicie. Wygrzebałem tylko niektóre owoce morza, które nie wiem czemu, wyglądały, jakby jeszcze żyły, a resztę pochłonałem ze smakiem.

I kto wie, może to dzięki małżom na obiad, a może to wiatr tak mi sprzyjał, ale tego dnia udało się pokonać aż dziewięćdziesiąt pięć kilometrów, co napawało mnie wielkim optymizmem, zważywszy, że część drogi, z uwagi na brak odpowiednich przełożeń, pokonywałem pchając rower pod strome wzniesienia.

Miasteczko Castro miało zakończyć moją przejażdżkę po wyspie Chiloe. Według informacji z jednego z przewodników powinny z niego odpływać promy na główny ląd. Niestety, połączenie pomiędzy wyspą a lądem zostało zawieszone, a kiedy próbowałem dowiedzieć się czegoś konkretnego w biurze informacyjnym, pan poradził, abym sobie wyszukał informacje w internecie, dodatkowo płatnym.

Po godzinie poszukiwań udało mi się ustalić, że na szczęście nie muszę wracać do Puerto Montt. Leżące na południu wyspy miasteczko Quellon oferowało połączenia promowe ze stałym lądem. Należało tylko mieć nadzieję, że uda mi się kupić bilet, bowiem według informacji z internetu, wyprzedano już wszystkie na najbliższe dwa tygodnie.



Na wyspie Chiloe



Palafitos — charakterystyczne domki na drewnianych palach

Zameldowałem się w Hospedaje Garcia, trochę odświeżyłem i wybrałem jeszcze na wieczorny spacer. Choć nie przepadam za miastami i zazwyczaj je omijam, albo zdejmuję okulary, przez co świat dookoła rozpląwa się i zamienia w kolorową plamę, to tym razem musiałem przyznać, że Castro

jest urocze.

Szczególnie urokliwe są w miasteczku charakterystyczne, nie tylko dla samego Castro, ale i dla całej wyspy, zbudowane na drewnianych palach budynki, zwane *palafitos*. Podobno kiedyś pokrywały prawie całą wyspę, ale przez ich rachityczną konstrukcję, formę i podatność na zniszczenie podczas częstych w tej części świata trzęsień ziemi, powoli zaczynają zanikać. W ich utrzymanie zaangażowanych jest wiele organizacji, między innymi Arquitectos Sin Fronteras (Architekci bez granic), ale oczywiście, jak zwykle w takich przypadkach, na pełną renowację brakuje pieniędzy.

Nocleg pod dachem pozwolił mi zregenerować siły przed odcinkiem do południowego krańca wyspy. Droga do Quellon była ciężka, o wiele cięższa, niż się spodziewałem. Krótkie, strome podjazdy wymuszały częste spacery z rowerem, na szczęście po każdym wzniesieniu mogłem liczyć na długi zjazd, na którym niebieski Oxford potrafił się momentami rozpędzić do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

Do przystani w mieście dotarłem wieczorem. Stojąca w porcie wielka kupa porzewiałego, czerwonego żelastwa, według rozkładu miała wypłynąć następnego dnia. Znalazłem kasy biletowe Naviera Austral, spółki zajmującej się przewozami pasażerskimi, i wszedłem do środka niskiego budynku, z płonną nadzieją na kupno biletu.

Tak, wiem, że mój *castellano* nie jest perfekcyjny, ale chyba nie do tego stopnia, żebym nagle zapomniał, jak zbudować zdanie: — Czy mogę kupić bilet na prom?

Okazało się, że w agencji nikt *abla ingles*, a moje po raz enty zadawane pytanie po hiszpańsku, kwitowane było coraz dobitniej, cedzonym przez zęby *no entiendo NADA*. Usłyszawszy po raz kolejny, że obsługa nic nie rozumie, zrozumiałem, że niczego nie wskóram, a tylko pogorszę swoją i tak mało komfortową sytuację. Na kłótnie nie miałem siły, arogancja pracowników linii promowej była wprost proporcjonalna do mojego zmęczenia. Pomyślałem, że bilet spróbuję kupić na promie.

Na prom jednak nie chciano mnie wpuścić, a po bilet odsyłano do agencji, dowiedziałem się, że kapitan poszedł „na miasto” i nie wiadomo, kiedy wróci, a w ogóle to o co mi chodzi, pewnie jestem Francuzem albo Niemcem i wydaje mi się, że wszystko mi wolno i mam już sobie pójść.

Zmierzchało. Niebieskofioletowy pędzel chmur zamalowywał przestrzeń nad okolicznymi wzgórzami. Usiadłem pod ścianą budynku. Rozłożyłem karimatę.

JESUS TE AMO! — głosił wielki napis, dobrze wiedzieć, nawet jeśli nie wierzysz, zawsze to jakieś kojące mieć świadomość, że jednak ktoś cię kocha, i sam już nie jestem pewien, czy się tak rozczuliłem, bo Jezus mnie kocha, czy po prostu nie chciało mi się już szukać żadnego miejsca na

nocleg, ale pomyślałem, że to dobre miejsce, nigdzie już nie idę.

Nad głową zwisał obszerny daszek, na deszcz się nie zanosilo, w powietrzu unosił się zapach drogi, lekki szum fal mieszał się z jednostajnym rżeniem krzywej latarni, naszło mnie takie *susto*, jakiego żadna chilijska *machi* by nie odgoniła.

Zjadłem makaron z makaronem, dodając nawet dwie parówki, nie mogłem się ruszyć, zrobiło się ciemno, światło latarni ledwo mnie muskało, chciałem, żeby ktoś przyszedł i mnie wyrzucił, żeby ktoś mnie zauważył, chciałem podkreślić swoją obecność, potrzebowałem znaku, potrzebowałem, żeby ktoś przepędził wreszcie te wszystkie *brujos chilotes*, chilijskie złośliwe gnomy, nadchodzące z cieniem nocy, szumem fal, poświatą znad zakrzywionych latarni.

Chropowaty język psa przybłądy za pobudkę, wspólne śniadanie, ciekawe, czy i jego *Jesus amo*, jak wszystkich to wszystkich, a zwierzęta chyba nawet bardziej zasługują na miłość, nie muszę patrzeć głęboko w oczy, aby czuć, że rozumiem je lepiej niż człowieka.

Płatki dobre, ogon pewnie rozbolał od merdania, raptem tylko godzina przy śniadaniu, a już ciężko się będzie rozstawać, to może lepiej w ogóle się nie przywiązywać, przecież wszystko trzeba będzie kiedyś zostawić, na razie zostawiam sprzęty, często gubię, a może nie gubię, tylko sprzęty zostawiają mnie, jak łatwo się pozbyć wszystkiego, tych rzeczy, którymi otaczamy się na co dzień. Rzeczy ważne przestają być ważne, przestają być w ogóle potrzebne. Na przykład krzesło, stół, firanka, lodówka, telefon, by wymienić tylko kilka. Piszę oczywiście o materii, o przedmiotach. Jest mnóstwo innych rzeczy, które mam, albo których nie mam, ale mogę je sobie wyobrazić, no i one na szczęście nie potrzebują miejsca na rowerze.

Za każdym razem, kiedy wyjeżdżam gdzieś na trochę dłużej, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to, co zostawiłem, nigdy nie było moje. Upaja mnie wtedy świadomość, jak łatwo można wszystko zostawić, jak szybko inne rzeczy, a nawet i myśli, nabierają nowych wartości, jak stają się bliższe, pożyteczniejsze. Ot, taki kubek chociaż. Albo termos, palnik do kuchenki, nóż, menażka, latarka, nie mówiąc o spiworze i namiocie, stają się z dnia na dzień prawie przyjaciółmi. Codzienny, aż nudny w swojej powtarzalności rytuał rozbijania i składania namiotu, pakowania rzeczy, wcale nie staje się uprzykrzający, denerwujący, czy dający poczucie straty czasu. Wręcz przeciwnie. Nabiera wartości samej w sobie.

Zbieramy graty, z przybłądą idziemy do biura. Niespodzianka, w środku kilka osób, które, podobnie jak ja, też chciałyby nabyć bilety.

Okazało się, że dzisiaj już wszyscy w środku *abla*. Co więcej, dowiedziałem się o istnieniu tajemniczej listy oczekujących na prom, o której wczoraj nikt mnie nie poinformował. Próbowałem wytłumaczyć, że byłem tutaj wczoraj wieczorem i że powinienem być na tej liście jeśli nie pierwszy, to na pewno

nie trzydziesty pierwszy.

Powoli dochodziła do mnie okrutna myśl, że jeśli nie uda mi się kupić biletu, będę zmuszony wracać do Puerto Montt. Miałem jednak szczęście. Na zewnątrz natknąłem się na jegomościa w szerokim kapeluszu, który powiedział, że może mi odsprzedać swój bilet. Trochę dopłaciłem, ale miałem upragniony papierek.

Prom odpłynął z dwugodzinnym opóźnieniem. Pies pomerdał na przystani. Nie mogłem go zabrać, a może po prostu nie chciałem.

Do Chaiten dopłynęliśmy około dwudziestej drugiej, na brzegu czekały już osoby z propozycją noclegu. Cena nie była wygórowana, za równowartość dwudziestu pięciu złotych mogłem dostać miejsce w kilkuosobowej sali, niemniej jednak wybrałem nocleg w namiocie.

Rozdział 3

Rankiem miałem wreszcie rozpocząć jazdę Carreterą Austral. Niby nie cel, a jednak cel. Autostrada południowa, droga krajowa numer siedem, główna arteria komunikacyjna południowego Chile, łącząca Puerto Montt z miejscowością Villa O'Higgins. Ciągnie się na długości tysiąca dwustu czterdziestu kilometrów wśród dziewiczych lasów, lodowców, fiordów, jezior i domów pionierów. W większości nie jest asfaltowana. Tyle Wikipedia.

Na pomysł poprowadzenia drogi przez Patagonię wpadł w latach 70. ubiegłego wieku chilijski dyktator Augusto Pinochet. Budowało ją chilijskie wojsko, a dokładniej jego korpus inżynieryjny. Przy projekcie pracowało ponad dziesięć tysięcy żołnierzy. Ostatni odcinek do Villa O'Higgins ukończono dopiero w 1999 roku. Jednak budowa Carretery tak naprawdę nie ma końca. Część drogi jest bowiem ciągle w remoncie, a co jakiś czas asfaltowane są kolejne odcinki.

Bazując na informacjach odnalezionych w internecie, spodziewałem się szutrowej nawierzchni, tym większa była moja niespodzianka, kiedy rankiem pokonywałem pierwsze, wyasfaltowane kilometry Carretery. Niestety, radość trwała krótko. Po dwudziestu kilometrach *pavimiento* się skończyło i zaczęła się szutrowka.

Bardzo często mijałem po drodze pary łapiące stopa, raz nawet przystanąłem przy jednej z nich i zapytałem, jak się jedzie. Narzekali na trudności, nie dość, że ruch prawie żaden, to jeszcze przejeżdżające samochody rzadko się zatrzymują. Zazdrościliśmy chyba sobie trochę nawzajem, ja im, że siedzą w rowie, biorą słoneczny prysznic i miło spędzają popołudnie, oni mnie, że mimo wszystko się poruszam i nie jestem od nikogo uzależniony.

Droga nie byłaby trudna, gdybym tylko miał sprawniejszy rower. Na niebieskim Oxfordzie przyjemnie się pedałowalo na płaskich odcinkach, których zbyt wiele nie było, albo kiedy po pokonaniu przewyższenia, zjeżdżałem po muldach do kolejnej dolinki.



Podróż drogą Carretera Austral. Na południe od Villa Santa Lucia

Wieczorem zanokowałem na campingu Puente Venti Squero. Właściwie to początkowo chciałem tylko wziąć wodę, kupić coś w niewielkim sklepie i ruszyć dalej, ale w końcu, za namową właściciela i pomagającej mu dziewczyny Julii, dałem się przekonać i zostałem na noc. Przy kolacji dowiedziałem się, że mate pija się przez rurkę i że specyfik ten działa podobnie jak kawa, ale mniej szkodzi na żołądek.

Julia była studentką historii sztuki i marzyła, by pojechać kiedyś do Paryża. Nazwała mnie burzujem, że tak sobie jeżdżę po Chile, a ona już trzeci rok odkłada na wycieczkę do Europy i że to niesprawiedliwe, że euro takie drogie i że ona chyba nigdy do Francji nie pojedzie, bo nawet nie będzie ją tam stać na jedną filiżankę mate.

Rankiem, za namową Julii, wybrałem się na spacer do małego wodospadu. Rzeczywiście, fantastyczny szlak, pełen przepięknej, iście bajkowej, bujnej roślinności, mchów, porostów, fuksji magellańskich o pięknych, krwistoczerwonych kielichach, ptaków, aż chciałoby się zostać tam dłużej, choćby i tydzień.

Po obfitym śniadaniu dojechałem do Villa Santa Lucia, ale z powodu mocno interwałowego terenu, byłem w wiosce dopiero około piętnastej. Bardzo często pchałem rower, a już zupełnie wyczerpujący był jeden, prawie dziesięciokilometrowy odcinek, na którym nie miałem szans, aby jechać. Przerzutki zupełnie się rozsypały i nawet na niewielkich podjazdach musiałem schodzić z roweru.

Za Villa Santa Lucia droga się wypłaszczyła, ale znów często trafiały się strome podjazdy, na których nie dawałem rady. Żałowałem mocno, że nie zabrałem swojego roweru, albo chociaż nie kupiłem jednak lepszego, z myślą, że sprzedam go w Argentynie. Tego dnia zrobiłem niecałe sześćdziesiąt kilometrów, a czułem się, jakbym przejechał dwieście. Zanocowałem nad rzeką, niedaleko Villa Vanguardia.

Nie mogłem spać w nocy, nie wiem czemu, miałem jakieś majaki, ciągle wydawało mi się, że ktoś chodzi wokół namiotu i choć wiedziałem, że to tylko złudzenia, nie mogłem się pozbyć uczucia jakiegoś niepokoju. Ranek był bardzo mglisty, dżdżysty, chłodny, niebo mocno zachmurzone, współgrało z moim nastrojem.

Ruszyłem bardzo wcześnie. Zza którymś z zakrętów dostrzegłem pochyloną sylwetkę, stojącą nad obróconym do góry kołami rowerem. Podjechałem bliżej, a raczej podszedłem, gdyż akurat zaczął się podjazd. Wyglądało na to, że ktoś złapał gumę i teraz zalepia przedziurawioną dętkę, ale po chwili okazało się, że problem był poważniejszy.

Chilijczyk Max, który po raz pierwszy wybrał się w dłuższą rowerową podróż, nie był zbyt dobrze przygotowany do drogi, jego rower też pozostawiał wiele do życzenia. Oczywiście mój nie był lepszy, ale ja nie miałem za sobą ponad tysiąca kilometrów. Zatrzymałem się, aby pomóc w naprawie, ale już niewiele dało się zrobić. W kole pękła piasta, a kulki z łożyska uleciały w piach... Próbowaliśmy je pozbierać, ale Max większość z nich zdążył już wdeptać w ziemię. Nie pozostawało nic innego, jak spróbować złapać okazję i podjechać do najbliższego miasta, gdzie może trafi się jakiś rowerowy mechanik.

— A gdzie ty właściwie jedziesz? — zapytał Max, kiedy już wypakowałem skromne zapasy i poczęstowawszy nowego kolegę, wgryzłem się w kanapkę.

— Chciałem do Punta Arenas, ale chyba nie dam rady na tym rowerze.

— To może zabierzesz się ze mną na jakąś ciężarówkę i pojedziemy dalej autostopem?

Propozycja była kusząca, ale nie zamierzałem już zebrać się z rowerem.

— Dziękuję, spróbuję jeszcze trochę popedałować. Jedzie się ciężko, ale jakoś jadę, droga może i jest męcząca, choć pewnie nie bardziej, niż siedzenie godzinami w rowie i czekanie na okazję. Widywałem po drodze pary autostopowiczów, zresztą pewnie ty też, nie wyglądali na

najszczęśliwszych, szczególnie jak przyszło im siedzieć w deszczu.

— Tak, masz rację, ruch tutaj niewielki, ale czasem coś przejeżdża i wtedy raczej każdy się zatrzymuje.

Tym razem rzeczywiście tak było. Za jakieś pół godziny nadjechał duży pick-up i zabrał Maxa z resztkami roweru do La Junty. Kierowca chciał zabrać i mnie.

— Dziękuję, ale to już niedaleko, za godzinę będę na miejscu.

— To w takim razie spotkamy się w mieście — rzucił jeszcze Max na pożegnanie.

Spojrzałem na niebo, pogoda trochę się psuła, należało się pospieszyć. Podjazd nie był długi, ale zaraz za krótkim zjazdem był kolejny i kolejny, i kolejny... Po pół godzinie zaczęło mocniej padać i plułem sobie w brodę, że nie dałem się podrzucić do La Junty.

Na następnym ze wzniesień, kiedy robiłem zdjęcie, obejrzałem się za siebie i dostrzegłem zbliżające się w moją stronę rowery. Dwoje Szwajcarów jechało z Puerto Montt do Ushuaii.

Porozmawialiśmy chwilę, a potem ruszyliśmy dalej do miasta, bo rozpadało się na dobre. W La Juncie Szwajcarzy zdecydowali, że dalej tego dnia nie jadą.

— Idziesz z nami? — zabrzmiało najnaturalniej na świecie.

Stoimy obok znaku „Carretera Austral general Augusto Pinochet”, tworząc własne *la junta*, z nieba leje nam na głowę i trzeba się szybko decydować.

— Nie, nie idę do hotelu, spróbuję dziś jeszcze trochę podjechać.

— Ale tam dalej nic nie ma, gdzie będziesz spał?

— Tak, wiem, ale mam namiot, mogę spać przy drodze.

— To może chociaż pójdziesz z nami coś zjeść? Tutaj obok jest restauracja.

Do restauracji? Właściwie czemu nie, myślę, choć już na oku miałem piękną szopę nieopodal, ale rzeczywiście, na jakieś frytki jeszcze mnie stać, nawet w tak wypasionym miejscu.



La Junta

W środku przyjemna niespodzianka, nie było aż tak drogo, obsługa miła, no i ciepło, a za oknem naprawdę zrobiło się ostro. Rozumiem, że Ortlieb nieprzemakalne i na pewno nie ma w nich niczego, co się rozpuści na deszczu, ale mimo wszystko, dlaczego Szwajcarzy zostawili rowery na środku placu, jeśli nie chcieli im się odpinać sakw, to przecież można je było choć wstawić pod daszek.

Zamówiłem frytki, do tego ciepłą herbatę, przebrałem się w suche ubrania, humor właściwie przedni, poza ogólnym zmęczeniem nic mnie nie boli, sił jeszcze trochę jest, kręgi szyjne ciut gorzej, pewnie od tego plecaka. Szwajcarów w La Juncie więcej, jest jeszcze druga para, na motocyklach. Nie wiedziałem, że motory można przewieźć samolotem, jak jest kasa, to wszystko się da, stwierdza Fryc, myślę sobie, że gówno prawda, ale nic nie mówię, tylko się uśmiecham. W pewnym momencie przerzucili się na niemiecki, nic nie rozumiem, właściwie to i tak już mnie tam nie ma, patrzę za okno, myślę już o drodze, najchętniej rozpląnąłbym się i nie tłumaczył, dlaczego nie zostanę w hotelu, dziś walentynki, Rafinerii^[2] życzenia już złożyłem, jest przyjemnie, wcale mi się nie chce ruszać w tę pogodę, zmoczy mnie do suchej nitki po minucie, cała czwórka patrzy na mnie, jak na wariata, kiedy okutany w foliową pelerynę za pięć złotych, wychodzę na zewnątrz i ruszam na południe.

Tego dnia udało się zrobić jeszcze piętnaście kilometrów, zaraz za La Junta spotkałem mężczyznę z parą wołów, prowadził je powoli w drugą stronę,

chyba mój hiszpański się mocno uwstecznił, bo za nic nie mogłem zrozumieć, o co mnie pyta.

Być może mężczyzna proponował mi nocleg, na każde moje pytanie nisko schylał głowę, chciałem z nim pobyc dłużej, ale kiedy stałem przy drodze, nie ruszał się, nie szedł dalej, jakby czekał na mój znak, abym to ja zdecydował o stronie i o czasie i właściwie nie wiem, dlaczego nie zawróciłem i za nim nie poszedłem, może to przez ten deszcz, albo przez zmęczenie, w każdym razie jakieś irracjonalne moce zdecydowały za mnie i zamiast z wołami, spędziłem walentynki z Rafinerią.

Po fizycznym wysiłku zmysły się wyostają. Po psychicznym pewnie też, ale o tym ostatnim ciężko mi powiedzieć, bo z natury jestem bardzo leniwy i z reguły nie myślę wcale. Mam jakieś tam myśli, ale to raczej reminiscencje zdarzeń albo nieskładne scenariusze alternatywnych dróg. Jest też wiele myśli czarnych, ale z racji koloru i wrodzonego instynktu samozachowawczego, nie będę nadawał im formy pisanej i, przynajmniej na razie, niech pozostaną czarne.



Na południe od La Junty



Ostatnie kilometry na rowerze

Wyostrome myśli sprawiają, że zwykła bułka smakuje lepiej niż najwykwintniejszy obiad. A co dopiero taki makaron z fasolą w namiocie, doprawiony czosnkiem w proszku.

Wyostrome myśli wzmagają też ból. Więc po wysiłku lepiej nie myśleć za dużo, bo bardziej boli.

Wyostrome myśli czasem lepiej stępić. Tak na wszelki wypadek.

Następnego dnia od rana czekał mnie interwałowy teren, przez co więcej szedłem z rowerem, niż na nim jechałem. Często też wstrzymywano mnie, ze względu na realizowane z rozmachem roboty drogowe. Próbowałem dyskutować, że rowerem przecież jakoś przejadę, ale robotnicy pokazywali mi tabliczki z napisem: z powodu prac budowlanych droga zamknięta od ósmej do czternastej. Robiłem głupią minę i w końcu jakoś udawało się przemknąć bokiem. Jeszcze parę lat i pewnie cała Carretera Austral będzie pokryta gładziutkim asfaltem.

Widoków tego dnia raczej nie kontemplowałem, niebo było zachmurzone, deszcz lał się na głowę, ale jechałem, innego wyjścia nie było, zresztą jazda w deszczu ma swój urok, oczywiście do czasu, bo nawet chałwą można się przejeść.

W południe zatrzymałem się w Puerto Puyuhuapi. Rozłożyłem się z rzeczami pod zamkniętym punktem informacyjnym, aby przeczekać niepogodę. Małe miasteczko, deszcz leje, na ulicy ni żywego ducha. Trochę smutno, w sumie nie wiem czemu. Dach nad głową jest, mam co zjeść, zjadam brzoskwinie z

puszki, smakują wybornie, świat po nich robi się ciut bardziej pomarańczowy.

Zastanawiałem się nawet, czy nie rozbić się w wiosce, obok tej informacji, ale w końcu ruszyłem dalej i przenocowałem w Parku Narodowym Queulat, przy samej drodze.

Przed wieczorem do reszty popsułem hamulce, rączka na kierownicy zupełnie się rozleciała, niby trochę naprawiłem, ale kiedy potem zerwałem jeszcze linkę i trzasnęła szprycha, uznałem, że to znak od niebios, że Oxfordu nie będzie.

Z nietęgą miną rozstawiałem namiot, bo jeśli nie Oxford, to co? Od rana mocno padało, cały dzień jechałem mokry, Gore-Tex się super sprawdza, naprawdę, jest świetny, ale wtedy, jak nie pada. Trochę lepiej sprawdza się tak zwany płaszcz vel peleryna za pięć złotych, niestety, też na krótką metę, bo człowiek i tak się robi mokry, tyle że od środka. Po kilku godzinach jazdy w rzęsim deszczu, nawet siła woli nie ma szans i dla zachowania resztek zdrowia psychicznego, trzeba się w końcu gdzieś zatrzymać. Rozbijanie mokrego namiotu, będąc samemu przemoczonym do suchej nitki i robienie tego w ulewnym deszczu, jest czynnością balansującą na skraju jawy i snu. Kto rozbijał, ten wie, kto nie rozbijał, to i tak nie zrozumie.



W Parku Narodowym Queulat



W Parku Narodowym Queulat

W wilgotnym namiocie, ale już przebrany w suche ubranie, pod ciepłym śpiworem, wciągam makaron z makaronem i popijam ciepłą herbatą. Jest dobrze, ślicznie jest. Krople deszczu rozbryzgują się o tropik. Uwielbiam ten dźwięk. Jest w nim coś pierwotnego, podobnie jak z ogniem. Niby żywioł, ale uspokaja, przecież mnie nie zaleje, do środka się nie wedrze, a nocując pod przysłowiowym płótnem w taką podłą pogodę, wbrew zdrowemu rozsądkowi zawsze czuję się bezpieczniej, bo komu w taki deszcz chciałoby się włóczyć? Nawet włóczykije chowają się wtedy po różnych dziuplach, zdejmują kapelusze i przytulają do własnych myśli.

Zasypiając, obiecałem sobie, że jutro oddam rower pierwszej napotkanej osobie.

Rozdział 4

Ranek znów pochmurny, ale deszcz jakby trochę zelżał. Ruszyłem przed południem. Jechałem i jechałem, nawet wyprzedziło mnie kilka samochodów, ale ciągle wypatrywałem spotkania z człowiekiem. Z każdą godziną coraz częściej myślałem już o tym, aby zostawić rower, choćby przy drodze, tym bardziej że tego dnia czekał mnie jeszcze podjazd na 500 - metrową przełęcz. Niby nic, ale na rowerze bez przerzutek równało się to godzinie spaceru pod górkę. Dzień się powoli kończył, siły też, ciało żądało odpoczynku. I kiedy prawie już straciłem nadzieję, że uda mi się tego dnia kogokolwiek spotkać, za kolejnym zakrętem dostrzegłem zabudowania. I sklep. I dziewczynki z rudym kotkiem.

Jeszcze nie było pewne, kto dostanie wątpliwy prezent, ale to już nie miało znaczenia. Myślałem, że obdaruję panią ze sklepu, ale ona stanowczo odmówiła. Powiedziała, że nie umie jeździć na rowerze! Doradziła, abym podarował rower którejś z bawiących się nieopodal dziewczynek. Najpierw kupiłem jedzenie, rozłożyłem się błogo na ławce, a dopiero potem zapoznałem się z dziewczynkami. Mila i Sofia. No i rudy kot. Śliczny, mały, dowodzący chilijski kotek. Najchętniej zabrałbym go ze sobą, ale mogłby być jeszcze bardziej uciążliwy niż sam rower.

Zdjąłem sakwy, odkręciłem bagażnik i kilka dodatków. Przepakowałem rzeczy do dużego plecaka, wszystko zgrabnie się zmieściło. W międzyczasie Mila próbowała się przejechać, ale rower był za duży. Sofia nawet nie próbowała. Mila powiedziała, że zawoła koleżankę i wtedy zobaczyliśmy wynurzającą się zza zakrętu postać rowerzysty. Więcej rowerzystów niż samochodów, pomyślałem, i poszedłem w jego stronę.

Na oko trzydziestoletni mężczyzna nie wyglądał dobrze. Dosłownie słaniając się na nogach podszedł do sklepu, wycharczał, że chce colę, wypił ją jednym duszkiem i dopiero potem się przedstawił.

Jose, Piotr. Spojrzałem na rower. Westchnąłem. Na kierownicy GPS, napęd pełne XTR, mocne koła, potężne dwa bagażniki objuczone najlepszymi sakwami.



Mila i Sofia

Mila pobiegła po koleżankę.

Zabrałem przepakowane rzeczy do plecaka i usiadłem w rowie, dziewczynka kreśliła dokoła mnie ósemki na rowerze, dwie młodsze włożyły mi na głowę, siedziałem i dumałem.

Obok był camping, może należałoby się zatrzymać w nim na noc i ruszyć następnego dnia?

Według pani ze sklepu, o siódmej rano był autobus. Jakoś nie uśmiechało mi się zrywanie skoro świt, do miasta nie było daleko, pomyślałem, że jednak pójdę na piechotę i spróbuję po drodze złapać okazję.

Pożegnałem się z dziewczynkami, rowerzystą i kotkiem i ruszyłem. Nie uszedłem daleko, przejeżdżał samochód, machnąłem, zatrzymał się.

Wrzuciłem na tył plecak i podjechałem do Coyhaique. Przemili starszy mężczyzna zaprosił mnie na kawę.

— Czy w Polsce Chile znane? — rzucił znad stołu w przydrożnej kawiarni.

Nie wiem, chyba nie bardzo, choć ostatnio na ekranach wyświetlano chilijski film *Machuca*, w Chile też bardzo znany? Tak, co nieco kojarzę, ale nawet bez znajomości historii ten film robi wrażenie, no tak, pewnie, że dobrze coś wiedzieć, ale może czasem lepiej nie widzieć, myślę, ale przytakuję, tak chyba uprzejmie, w końcu pan mnie podwozi, Pedro? O, to tak jak ja, ale nie kontynuuję wątku, zresztą Pedro gada jak najęty, moje zdanie chyba średnio go obchodzi, popłakał się w kinie? Też miał taką dziewczynę z innej sfery, no proszę, i był wtedy w wieku bohaterów filmu? No proszę...

— A co myślisz o Pinochecie? — padło, jak już z powrotem siedziałem w fotelu pasażera.

Co ja myślę o Pinochecie? Cholera, nic nie myślę, ale pan odpowiada za mnie, zaprasza do siebie, patrzę na niego, mówi serio, dziwne, przecież nie byłem zbyt rozmowny, nie, dziękuję, pójdę do hotelu, nie wiem, czemu nie skorzystałem z gościny, może za dużo słów, tak, strasznie chciałbym zobaczyć pingwiny, nie, nie mamy w Polsce, żubry mamy i wilki, ale mało, psa nie mam, mam koty, do Punta Arenas podobno już nie ma autobusów, o, to dziwne, mówię, i pokazuję przewodnik, napisali, że jest, skasowali przed wakacjami? nierentowny? stąd nikt do Punta Arenas nie jeździ? A tak, *claro*, turyści latają samolotami.

Dojechaliśmy do miasta, raz jeszcze odmówiłem noclegu, więc Pedro zawiózł mnie do taniego hostelu.

— Tak, jeśli będzie mi źle lub coś będzie nie tak, odezwę się — rzuciłem na odchodne, chowając kartkę z adresem i numerem telefonu.

Rankiem wybrałem się na dworzec, aby dowiedzieć się o możliwości dotarcia do Argentyny. Rzeczywiście, zgodnie z tym, co mówił Pedro, kursy do Punta Arenas zostały skasowane. Można było jechać na raty, najpierw do Comodoro, leżącego nad Atlantykiem argentyńskiego miasta, a potem do Patagonii.

Zdecydowałem się pojechać właśnie w ten sposób, zresztą wyboru wielkiego nie miałem, a na autostop nie miałem ochoty. Kupiłem (ostatni!) bilet i wróciłem do hostelu. Leżałem na łóżku, bezkształtne myśli krążyły po suficie. Sam nie wiedziałem, co mi jest. Jakoś nie mogłem się pozbyć dziwnego uczucia smutku, rozczarowania, jakiegoś niespełnienia. W zasadzie podróż się zakończyła. Dalej pojedę eleganckim autobusem, potem wsiądę w kolejny autobus albo samochód, później trochę pospaceruję, jak szczęście dopisze zobaczę pingwiny, wrócę do domu, czy też tymczasowego miejsca zamieszkania, czekając na następną sposobność do wyjazdu. Zastanawiałem się, co też powiedziała rodzicom kruczowłosa dziewczynka,

kiedy wróciła do domu z niebieskim rowerem. Dostałam go od *gringo*, siedział przy drodze z plecakiem, chciał dać rower Mili, ale na nią był za duży, dał mnie, a potem sobie poszedł w stronę miasta.

Śmiesznie, nawet nie zapamiętałam jej imienia. Niech zostanie Kruczowłosa. Następnego dnia z samego rana udałem się na dworzec. W dużym, komfortowym autobusie zająłem miejsce zaraz za kierowcą. Odprawa graniczna okazała się zwykłą formalnością, oddałem tylko kartkę z pieczętką, którą dostałem na lotnisku w Santiago. Około południa zatrzymaliśmy się w jakiejś zapadłej dziurze, choć może powinienem napisać cudownym miejscu, gdyż jak dla mnie, w tamtym momencie, było to dokładnie to miejsce, do którego czasem chce się dojechać, takie bez czasu, nawet bez przestrzeni, ledwo liźnięte na mapie, albo i nie, bo po co odznaczać pięć chałup, których iluzoryczne istnienie wyznacza jedynie pojawienie się oczekiwanego co kilka dni autobusu, a poza tym, co może dziać się w takim miejscu, jak nad Jeziorem Tahoe, kilka razy musiałem go zobaczyć, aby zrozumieć, że w tym niedzianiu, nieistnieniu, pozornym braku sensu, zawarta jest prawdziwa jakość życia, kilka chałup, zepsuty samochód, wędrownka bez ruszania się z miejsca.

Może do tego trzeba dorosnąć? Na razie zachłystuję się wiejącym wiatrem, idę na drugą stronę drogi, wiatr kręci spiralę kurzu, mini tornado pcha mnie ze sobą, na rowerze nawet nie musiałbym pedałować, choć w sumie wieje ze wschodu, zrobiłbym zdjęcie, ale nie ma roślin, nie ma drzew, jak więc pokazać, że ledwo mogę ustać na nogach, pies prawie unoszony przez mini tornado śmiesznie kręci się w kółko, sikałem z wiatrem, rekord świata, nie widziałem, gdzie strumień łączył się z ziemią, odwracam się i w twarz dostaję banknotem, dziesięć argentyńskich pesos, myślę, dobry znak.

Ruszyliśmy dalej, pusto, jasno od blasku słońca, jednostajny krajobraz wyjałowił myśli, dobra drzemka, wypalone krzaki, kamienie, domek w oddali.

Powoli dojeżdżaliśmy na miejsce. O dwudziestej drugiej podobno miałem mieć autobus do Punta Arenas, a tu dochodziła dwudziesta pierwsza i do miasta ciągle było daleko. Według rozkładu mieliśmy jechać osiem godzin, a jechaliśmy już dwanaście. Po kolejnej godzinie wreszcie ujrzałem przedmieście.

Na dworcu w Comodoro okazało się, że nie ma żadnych bezpośrednich autobusów do Punta Arenas, mogę jechać do Ushuaii, ale dopiero o piątej rano. Nie uśmiechał mi się nocleg na dworcu, na szukanie hotelu po nocy też nie bardzo miałem ochotę, do tego wszystkiego kantory i bankomaty były już zamknięte.

Kilka kas biletowych ciągle miało otwarte okienka, każde z nich obsługiwało inną linię, ale ja nie miałem argentyńskich pesos, zresztą i tak nie bardzo wiedziałem, gdzie teraz jechać.

Zrezygnowany wyszedłem na zewnątrz budynku. Trzeba było się szybko zdecydować. Albo koczę do rana na dworcu i jadę do Ushuaii, albo idę szukać hotelu.

Podziękowałem kilku taksówkarzom za propozycję podwózki, chciałem przez chwilę się zastanowić, co będzie lepszym wyjściem. Musiałem poszukać jakiegoś zacisznego miejsca, aby nie być nagabywanym, i spokojnie zebrać myśli.



Strzeliste wieże Torres del Paine

Na zewnątrz dworcowego budynku podstawionych było kilka dalekobieżnych autobusów. Kiedy przechodziłem obok jednego z nich, rzuciła mi się w oczy plakietka z napisem Rio Gallego. Coś mnie tknęło i kazało spojrzeć na mapę. Tak! Zgadza się! To niedaleko Punta Arenas!

— Czy z Rio Gallego można dojechać do Punta Arenas? — aby się upewnić, na wszelki wypadek pytam jeszcze kierowcę autobusu.

— Tak, chociaż pewnie z przesiadką — odpowiada korpulentny, ubrany w śnieżnobiałą koszulę mężczyzna.

— W takim razie, czy mogę u pana kupić bilet?

— Nie, my nie sprzedajemy biletów — mówi, wskazując jeszcze dwóch, ćmiących papierosy mężczyzn. — Musisz kupić w kasie. Tylko się pośpiesz, bo za kwadrans odjeżdżamy.

— Dobrze, czy może pan zatem rzucić okiem na mój bagaż? — nie czekając na odpowiedź, zrzucam plecak na ziemię i pędzę na dworzec.

Znajduję odpowiednie okienko i proszę o bilet. W momencie kiedy pani podała mi wydrukowany papierek, przypomniałem sobie, że nie mam argentyńskiej waluty.

— Przepraszam, ale nie mam pesos, czy mogę zapłacić w dolarach albo w euro? — pytam z rozbijającą miną.

— Nie, tylko w pesos.

— Ale ja nie mam pesos i nie mam gdzie wymienić pieniędzy, mogę zapłacić więcej, jutro sobie pani wymieni.

— Nie, tylko w pesos — odpowiada z niewzruszoną miną.

Wracam do kierowcy i mówię, jaki jest problem.

— Ile chcesz wymienić? — pyta mnie stojący obok mężczyzna.

— Sto dolarów.

— W porządku, daj, ja ci wymienię.

Dostaję kilka papierków, nie mam czasu na przeliczanie i zastanawianie się, ile pesos powinienem dostać, chwytam kilka banknotów.

— Pośpiesz się, za pięć minut odjeżdżamy! — rzuca za mną kierowca, kiedy prędko wracam na dworzec.

Na szczęście nie ma kolejki, przed kasą stała jakaś kobieta, myślałem, że to klient, ale po chwili zorientowałem się, że to tylko koleżanka. Mówię „przepraszam” i lekko przepycham się do okienka.

— Już mam pesos — ciskam z tryumfującą miną banknoty.

Patrzy na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu i jakbym wcale nie próbował przed chwilą nabyć u niej biletu.

— No, już mam pesos — powtarzam. — Poproszę ten bilet do Rio Gallego.

— Do Rio Gallego? Jaki TEN bilet? — dziwi się. — Do Rio już nie ma biletów.

— Jak to nie ma? — patrzę osłupiały. — Przecież przed chwilą chciałem u pani kupić i były.

— Przed chwilą były, ale teraz już nie ma.

Patrzę na koleżankę. Niech mi pani powie, że tamta pani żartuje, albo niech mi pani pomoże, no przecież przed chwilą kupowałem bilet i był, i za pięć minut odjeżdża mój autobus, i proszę mi pomóc, i niech się pani tak kpiąco

nie uśmiecha, no, mam już pesos, dużo pesos, podtykam raz jeszcze, ale nie ma miejsc, kobieta niewzruszona, co mam teraz zrobić, wracam do autobusu, mówię, że nie ma biletów, kierowca mówi, że są przecież wolne miejsca, odjazd za chwilę, nie wiem dlaczego, nagle uświadomiłem sobie, że za wszelką cenę pragnę wyjechać z tego dworca, pragnę opuścić to miasto, pragnę wejść do autobusu jadącego na południe, niech mi panowie pomogą, muszę wyjechać z tego miasta!

Patrzą na mnie podejrzliwie, no nie mam biletu, już nie ma biletów, skończyły się, no i niech mi pan powie, dlaczego nie mogę kupić u pana, mężczyźni skonfundowani, widzę, że chcą jakoś pomóc, jeden z nich idzie ze mną do kas, dziękuję, dziękuję, dlaczego pani kasjerka krzyczy na tego pana, koleżanka zaraz się dołącza, pan jakby się skurczył, mówi, że w autobusie są wolne miejsca i dlaczego kasjerka nie chce mi sprzedać biletu, ale ona nie może, bo system pokazuje, że autobus jest *completo*, w komputerze wyraźnie widać, że nie ma miejsc, podtyka prawie pod nos, mnie też jakby ubyło, szkoda mi trochę pana, bo to teraz jego wina, że system zły i pani kasjerka za nic odpowiadać nie będzie, i odręcznie biletu nie wypisze, i że to już nie pierwszy raz tak, i że ona nie może pracować w takich warunkach, a w ogóle to już jest po godzinach urzędowania i ona powinna już zamknąć i jeszcze dużo innych rzeczy, których nie zrozumiałem, a w międzyczasie chyba już wszyscy dowiedzieli się, że chcę jechać do Punta Arenas, bo dwa razy podchodzili do mnie jacyś dziwni ludzie i proponowali podwózkę i że się dogadamy, i że się na pewno dogadamy, chociaż ja uparcie powtarzałem, że *no abla*, nic nie rozumiem, bo wcale a wcale dogadywać się nie chciałem, bo ciągle miałem nadzieję na autobus, naprawdę nie wiem, dlaczego tak się uparłem, ale jeszcze wyraźniej dotarło do mnie, że wydostanie się z tego miasta i odjazd tym właśnie autobusem jest teraz dla mnie sprawą absolutnie priorytetową, podporządkowującą sobie wszystkie racjonalne myśli.

W tamtym momencie nie myślałem sensownie, w głowie miałem tylko jeden cel: wyjechać z tego miejsca.

Wróciliśmy do autobusu, słyszę, że trzech mężczyzn chcą mnie zabrać, ale nie wiedzą, jak zapytać, sam więc wyjąłem trochę skundloną, ale zazwyczaj działającą ostatnią kartę przetargową.

— Jeśli panowie pozwolą, to mogę zapłacić dolarami — wypaliłem.

— Pokaż, czy rzeczywiście masz.

Może rzeczywiście nie wyglądałem na bogatego, ale trochę mnie ta prośba zdziwiła. Tym bardziej, że kilka minut wcześniej wymieniłem u niego studolarówkę. Pokazałem kilka dwudziestodolarowych banknotów.

— Ok, wystarczy.

Z radości, że jadę, nawet nie zapytałem, ile mam zapłacić, ale to już było

wtedy nieistotne.

Duży bagaż powędrował do schowka, mały plecak zabrałem ze sobą. Piętrowy Neoplan miał może połowę zajętych miejsc. Wszedłem na górę i zająłem siedzenie zaraz za przednią szybą. Dużo miejsca na nogi, wygodne rozkładane fotele, zapowiadała się spokojna, kojąca noc. Ruszyliśmy prawie natychmiast.

Dziesięć minut później przyszedł jeden z kierowców i podał mi bilet z wypisaną na nim ceną za przejazd. Nie wiem, ile zapłaciłbym w argentyńskiej walucie, ale sześćdziesiąt dolarów, które widniało na bilecie, nie wydawało mi się bardzo wygórowaną kwotą, nawet jeśli przepłaciłem. Zresztą nocleg w mieście na pewno kosztowałby mnie więcej, a tak przynajmniej jechałem już na południe, a rozkładany fotel był prawie tak wygodny, jak samo łóżko.

Rozdział 5

Do Rio Gallego dojechaliśmy wczesnym rankiem. Wsiadłem z autobusu i udałem się w kierunku dworca. Mżyło, wiał silny wiatr i wszystko dokoła wydawało mi się niebieskawe. Jakby niebo, z nadmiaru barwy, chciało się nią podzielić z ziemią.

Okazało się, że nie ma tego dnia bezpośrednich połączeń do Punta Arenas, ale mogę pojechać do Rio Turbio, a stamtąd do Puerto Natales. Było mi to o tyle na rękę, że i tak zamierzałem się udać do Natales, a następnie ruszyć do Parku Narodowego Torres del Paine.

O dziesiątej trzydzieści ruszyliśmy w stronę granicy. Mknęliśmy przez wietrzne pustkowia. Wreszcie krajobraz, na jaki czekałem od z górą dwóch tygodni. Pusto, szaro, ale wcale nie ponuro. Na horyzoncie majaczyły przysypane śniegiem i pokryte lodowcami andyjskie szczyty. Trochę szkoda, że nie dojechałem rowerem, ale może kiedyś przyjdzie i na to czas.

W Rio Turbio przesiadłem się do busa, jadącego do Puerto Natales. Na granicy w Dorothei prześwietlono mi bagaż, argentyńscy pogranicznicy wstawili tylko pieczętkę do paszportu, ale Chilijczycy byli o wiele bardziej skrupulatni.

Dostałem kilka papierków do wypełnienia z wyraźną instrukcją, co mogę wwieźć i w jakich ilościach, a czego nie. Żadnych owoców, żadnych produktów pochodzenia zwierzęcego. W rzeczy samej, wwoziłem ser i puszkę ananasów. O serze zapomniałem, przypomniałem sobie podczas samego przeszukiwania, ale celnik, na szczęście, niczego nie znalazł.

Dojechawszy do Puerto Natales, zameldowałem się w International Youth Hostel. W cenie noclegu, jak zwykle, wliczone było śniadanie, czyli bułki z marmoladą i neska z cukrem. Po wypakowaniu rzeczy, zrobiłem krótki rekonesans po biurach podróży, sprzedających bilety do parku Torres del Paine. Kupiłem bilet na następny dzień, w obie strony, bez konieczności określania daty powrotu, co było wygodne, bo nie wiedziałem dokładnie, ile mi zajmie sam trekking. Wygodne było również to, że w zależności od wybranej trasy, można było wracać do miasta z trzech różnych miejsc: spod administracji parku, Pudeho albo z Lago Amargo.



Puerto Natales



Wędrówka szlakami Torres del Paine

Sam park zapowiadał się fantastycznie. Jeszcze przed przyjazdem do Chile, nie do końca wiedziałem, czy będę miał czas go zobaczyć, ale z racji tego, że już nie jechałem rowerem i miałem jeszcze tydzień wolnego, mogłem sobie pozwolić na kilkudniowy trekking.

Wieczorem zrobiłem porządne, standardowe zakupy na drogę: mleko w proszku, makaron, płatki, ciastka, ser, parówki, orzechy, suszone owoce i suche pieczywo. Zaniósłem wszystko do hostelu, przepakowałem trochę rzeczy, właścicielka pozwoliła zostawić część zapasów, głównie przywiezionych z Polski rowerowych części. Umówiłem się, że wrócę po nie za kilka dni.

Do pokoju, w którym się zameldowałem, wprowadziła się para Szwajcarów. Od dwóch lat w drodze. Zaczęli w Australii, tam trochę pracowali, teraz chcą przejechać obie Ameryki, nie wiedzą, kiedy wrócą, współcześni nomadzi, niemogący nigdzie zagrzać miejsca.

— To co, zjesz z nami kolację?

No i proszę, do czego to doszło, Szwajcarzy w pokoju gotują makaron, w ogóle jacyś mało szwajcarscy, zameldowali się w najtańszym hotelu w mieście i jeszcze narzekają, że drogo, ale wino być musi, pewnie przez to wino, bardziej niż przez język, wziąłem ich za Francuzów, mówię: *France, je t'aime*, oni, że też lubią, że lubię wino francuskie i że byłem we Francji parę razy i w ogóle, patrzyli coraz bardziej spode łba, tak mi się wydawało i okazało się prawdą, bo potem, tak standardowo, pytania skąd, dokąd, aby się upewnić, że się stereotyp zgadło, a tu skucha, najpierw ja, że nie z Niemiec, tylko z Polski, a potem oni, że nie z Paryża, tylko z Lozanny, makaron chętnie, ale może później, niedawno jadłem. W ogóle jakoś tak dziwnie, nie, wcale nie przez Francję czy Szwajcarię, może za dużo słów, a za mało przestrzeni, albo po prostu nagle dotarło do mnie, że zaraz wracam do domu, byłem tu dwa tygodnie, a oni są w drodze od dwóch lat i nie wiadomo kiedy wrócą, spacerem chciałem powrócić do chwiejnej równowagi, choć na chwilę, poszedłem więc na molo, wiało mocno, myślałem, że głowę mi urwie, trochę pochodziłem, zrobiłem parę zdjęć, na brzegu nikogo, w taką pogodę siedzi się w czterech ciepłych ścianach i robi różne rzeczy, co kto lubi albo co robić się powinno.

Wcale nie było przyjemnie, ale nie mogłem się ruszyć z miejsca, wiatr mnie obejmował, zawsze jakaś namiastka dotyku, tarosił i lekko popychał, fale morza z jednej strony i trochę światła, przygasającego, aż w końcu ciemność, ciągle dużo dźwięku, chyba nawet spotęźniał z mrokiem, w oddali kolorowe światła cumujących w zatoce statków, po drugiej stronie pusta ulica, a za nią rozświetlona sala, prawie na wyciągnięcie ręki pomarańczowe wnętrze szykownej restauracji, niezauważalnie, jakby wkręciłem się w to światło, wciągnęło mnie, pomarańczowa sceneria dla niemego filmu, kilka ujęć z nie mojego snu, te uśmiechnięte twarze wokół stołu, kelner, nalewający wino, o co znów mi chodzi? Sam nie wiem, niby jest trochę inaczej, nie wiem, czy lepiej, na pewno inaczej, niż jak jeździłem dziesięć lat temu po Alpach i spałem w szopach, albo na przystankach, albo pod schodami jakichś kamienic, przykryty kartonowym pudłem, bo przecież mam nocleg w *hospedaje*, w ciepłym łóżku, a nie w jakiejś budzie, mam na

samolot, jadam przyzwoicie, ale kiedy wkręciłem się w ten niemy film za oknem, zdałem sobie sprawę, że nie zmieniło się nic...

O siódmej trzydzięci następnego dnia wyjechaliśmy w stronę parku. Było zdecydowanie za wcześnie, chciało mi się spać, w półśnie chłonałem zachmurzone niebo i srogi krajobraz za oknem, ktoś mnie zaczepiał, jakiś Hiszpan, coś do mnie mówił, częstował piwem, nie mam nic do piwa, do Hiszpanów w sumie też nic, ale zazwyczaj z rana nie piję, był jakiś natrętny, udałem, że *no abla*, nie rozumieć, i w końcu dał mi spokój, podziwiałem krajobraz, wyjałowiony, dlaczego ja tak lubię te puste krajobrazy?

Chwilowy postój przy dziwnym molochu, co by tu jeszcze wybudować, co by tu jeszcze wymyślić, żeby wyciągnąć od turystów trochę kasy; figurki, breloczki, proporczyki, nalepki i inne duperele, chciałem kupić mapę, ale Hiszpan mi odradził, powiedział, że w parku wszyscy dostaną z biletem. No i proszę, tak narzekałem na sąsiada, a dzięki niemu zaoszczędziłem na mapie, bo przy kupnie biletu do parku rzeczywiście wszyscy dostali całkiem dokładny folder z naniesionymi najważniejszymi informacjami, łącznie z planami tras, schroniskami, przybliżonymi czasami dojścia, punktami widokowymi, godzinami odjazdu autobusów i powrotnych promów.

W informacji, u wejścia do parku, stała już dość duża kolejka turystów, nie tylko z naszego autobusu. Odczekałem swoje razem z innymi i kupiłem bilet upoważniający do wejścia. Za pozwolenie zwiedzenia parku Chilijczyk płaci trzy razy mniej, podobno dlatego, że ich podatki częściowo idą na utrzymanie tego miejsca.

Po zakupieniu biletów przesiadłem się do kolejnego busa, którym dojechaliśmy do jeziora Amarga, skąd czekał mnie kilkunastominutowy spacer pod górę, na camping. Dużo turystów, ale teren był dość przestronny, mogłem więc znaleźć odosobnione miejsce na rozbicie swojego namiotu.

Było jeszcze dość wcześnie, przed południem, pogoda piękna, aż szkoda było nie skorzystać i nie wybrać się choć na krótki trekking. Zapakowałem jedzenie i picie do małego plecaka i ruszyłem w stronę Mirador Tres Torres. Długie, jednostajne podejście przybliżało mnie w stronę przełęczy.

Rozstawione przy doskonale oznaczonych ścieżkach znaki informowały o niebezpieczeństwie, związanym z mocno wiejącym wiatrem. Początkowo ostrzeżenia te wydawały mi się przesadzone, gdyż wchodziłem przy prawie bezwietrznej pogodzie, ale kiedy doszedłem do przełęczy, zmieniłem zdanie. Rzeczywiście, ledwo mogłem ustać na nogach. Wiało potwornie i mocno musiałem się pochylać, aby idąc powłóczystym krokiem, walczyć z napierającymi podmuchami. Po drugiej stronie było już trochę lepiej, ale nadal wiatr nie pozwalał na relaksujący spacer.

Około siedemnastej trzydzięci byłem na miejscu. Widok na wieże był fantastyczny. Ciężko to opisać. Nie potrafię. Dobrze, że byłem sam.

Cieszyłem się z nieobecności. Byłoby mi niewspółmiernie smutno, gdybym w czyichś oczach wyczytał albo nawet zobaczył czy poczuł, że ktoś, w tamtym momencie, nie przeżywa tego samego, co ja.

Widok wież kompletnie mną zawładnął. Nie mogłem się ruszyć, siedziałem i patrzyłem. Światło już nie było najlepsze, słońce skryło się za wierzchołkami, rzucając pogłębiające się cienie. Jakiś smutek, ale nie z braku światła czy z braku osoby, tylko smutek przenikliwy z bycia nie tu i nie tak, nie w taki sposób; dołujące, szarpiące poczucie, że niby blisko, a ciągle tak daleko.

Odkładasz, przekładasz, myślisz, że jeszcze się zrobi, a pewnego dnia dostajesz obuchem w pusty łeb i wiesz, że pewne rzeczy w życiu przegapiłeś. Nagle zdajesz sobie sprawę, że jest już za późno. Nic nie dzieje się bez znaczenia. Na pewne rzeczy w życiu jest czas wtedy i tylko wtedy, a później niestety już nie.

Zrobiło się późno, trzeba wracać, mniej wieje, na przełęczy pewnie znów przyłoży, najchętniej zostałbym do rana, trzeba było wziąć śpiwór, wschód słońca musi być tu niesamowity, wygodnicki się zrobiłem, lata temu sypiałem w górach pod folią albo kamieniem i spałem snem spokojnym, siąpiący deszcz i wiatr nie przeszkadzał, co mi szkodzi zostać tu, nawet bez śpiwora, mrozu nie ma, nie zamarznę, ale w końcu ruszyłem. Już po drodze zrównałem się z jakimś Chilijczykiem, okazało się, że dużo jeździ rowerem, zapraszał do Santiago, rozbił się na tym samym campingu. Zaprosił mnie na kolację: makaron, fasola, dokładnie to, co ja, przyniosłem jeszcze parówki, chilijskie wino trochę rozszerzyło zmysły, jakoś zebrało nam się na zwierzenia, jeszcze chwila, a zaprosiłbym go do swojego namiotu, w końcu obaj stwierdziliśmy, że czas spać, bo jutro długi, forsowny marsz. W nocy potwornie wiało, trochę popadało, ale nad ranem, kiedy już się rozwidniło, mogłem przesuszyc namiot i ruszyć dalej.

Droga okazała się trudna i wcale nie tak malownicza, jak myślałem, do tego pogoda zupełnie się popsuka, zaczęło padać, na kamiennej ścieżce zrobiło się bardzo ślisko. Przechadzkę urozmaicały przeprawy przez wezbrane potoki, ale to akurat było miłe: zdjąć buty, skarpetki, włożyć stopy do lodowatej wody, przenieść bagaż, na szlaku turyści, nawet całkiem sporo, późnym popołudniem doszedłem do schroniska i tam, z powodu pogody, na kilka godzin zupełnie utknąłem.



Efekt spaceru w butach rowerowych

Siedziałem razem z kilkunastoma innymi turystami, którzy mieli trochę szczęścia i nie zostali gdzieś po drodze, tylko dotarli do schroniska. Zjadłem posiłek, ceny kosmiczne, za skorzystanie z kuchenki w schronisku dwa tysiące pesos, na szczęście miałem swoją, na wszelki wypadek ukryłem się z nią w ubikacji i tam podgrzałem wodę na makaron, odcedziłem papkę i wróciłem z posiłkiem do stołu.

Próbowałem zrobić wszystko incognito, ale nie udało się, zbeształ mnie jakiś koleś z obsługujących, że zakaz korzystania z własnych kuchenek, chciałem wytłumaczyć, że przecież nigdzie nie jest napisane, no i że przecież krzywdy nikomu nie zrobiłem, w sumie mogłem poudawać *no abla*, nie mówić, oszczędziłbym sobie wylewanych na mnie nieprzyjemnych słów.

Nic tu po mnie, myślę sobie, trochę się jeszcze podsuszę i ruszam dalej, choćby lało jak z cebra. Za oknem w rzeczy samej pogoda niezłe hulała, harce wyprawiała, na szyby ktoś jakby wodą chlustał z wiadra, cienkie ściany skrzypiały pod naporem wiatru, sufit się niemalże unosił, może ktoś podczepi baloniki, uniesieni ulecimy w przestworza, a może już unoszeni jesteśmy, bo i tak nic przez szyby nie widać.

Jakieś zamieszanie w kacie, gość z brodą zarzuca plecak na ramiona, chyba nie na zewnątrz? A jakże, bierze plecak i wychodzi, za moment ktoś zauważył go rozkładającego namiot za ścianą schroniska, nieźle, aż sam się zainteresowałem, rzeczywiście, w strugach deszczu i walcząc z wiatrem, mężczyzna ustawił pomarańczowe igloo.

Należało się wreszcie zdecydować, czy zostaję, czy idę, łypano na mnie dziwnie, nie dość, że niczego nie kupił i w kiblu odgrzał sobie makaron, to teraz jeszcze przestrzeń zabiera i nie wiadomo, czy będzie nocował, czy nie, a decydować się należało szybko, bo z rozmowy przy stoliku obok wynioskowałem, że miejsca w pokojach się kończą, a możliwości noclegu na podłodze nie ma.

Dobra, trzeba zapytać o cenę. Co? Dwadzieścia pięć tysięcy? No ładnie, jakieś sto złotych, niby jeszcze trochę kasy mam, ale nie wiem, czy nie będzie potrzebna na powrót i lepiej byłoby jakąś rezerwę zachować.

Z mapy wynikało, że w odległości około godziny dobrego marszu od schroniska jest miejsce zwane Campamento Italiano, gdzie mógłbym ewentualnie rozbić namiot. Koniec końców zdecydowałem się na spacer. Założyłem foliowy płaszcz, spodnie, zarzuciłem plecak i ruszyłem w powoli zapadającym zmroku na szlak.

Szedłem, jakby prowadzony przez kogoś, nie wiem, ciężko to wytłumaczyć, naprawdę czułem, jakby ktoś za mnie stawiał kroki i decydował w którą stronę mam skręcić, w końcu już nic nie było widać, a i tak jakoś w plątaninie liści odnajdywałem drogę. Szedłem po bardzo śliskich kamieniach, raz po raz noga ześlizgiwała się z wygładzonych stopni i do połowy łydki zanurzałem się w błocie. Coś mnie pchało do przodu, adrenalina pomieszana ze strachem i dziwne poczucie zagrożenia ponaglały, aby nie zwalniać marszu, ktoś lub coś dodawało otuchy, abym mógł bezpiecznie wypatrzeć obozowisko.

Ciągle lało, gdy w pewnym momencie prawie wszedłem na jakiś namiot — byłem na miejscu. Rozbijałem się, przemoczony do suchej nitki, ale było mi już wszystko jedno, w takich chwilach nie myśli się o niczym, mechanicznie wykonuje się czynności, byle tylko szybciej zanurzyć się w miarę przytulnym wnętrzu, przebrać i zakopać w ciepły śpiwór.

Rankiem się wypogodziło. To niesamowite, jak szybko zmienia się tu pogoda. Jeszcze wczoraj, zasypiając, myślałem, że dziś będę schodził do jeziora w strugach deszczu, a tutaj proszę, doskonała widoczność, rześkie powietrze, piękne widoki, ptaki, ludzi niewiele, istna sielanka. Zebrałem się sprawnie, zjadłem płatki i ruszyłem w dół do jeziora.

Tak jakoś lekko mi się schodziło i beztrudno, podśpiewywałem sobie, patrzyłem w niebo, może mniej pod nogi, podskakiwałem co nieco, no i o jeden podskok za wiele, noga się podwinęła, rowerowe buty są zdecydowanie za słabe na górski trekking, coś strzeliło w kostce, na

początku tylko zawyłem, przewróciłem się, zwinąłem w kłębek, pojęczałem, postękałem, pokląłem oczywiście też, na pech i własną nieuwagę, no i na spisek sił nieczystych, bo tak pięknie wszystko szło, a tu nagle bach, ale tak to bywa, że za długo za dobrze być nie może.

Próbowałem stanąć, bolało, ale iść się jako tako dało, trochę spuchło, krwiak się zrobił, skręcona, trudno, nie umrę, ale przyjemnie się nie schodziło, po pół godzinie ból zrobił się zbyt intensywny, przysiadłem pod drzewem, ostrugałem trochę kory, zawinałem ją sznurkami i ze sztywnym opatrunkiem ruszyłem dalej w stronę jeziora.

Jakoś dokuśtykałem do nadbrzeża, a tam, aż mnie zatkało, kiedy zobaczyłem, ile osób czekało już na prom. Trochę się obawiałem, czy się zmieszczę, ale upchnięto wszystkich. Usiadłem na ławce przy oknie i patrzyłem na wyłaniające się coraz wyraźniej masywne górskie ściany. Z poziomu jeziora, szczyty parku prezentowały się o wiele dostojniej niż z wczorajszego, czy nawet i dzisiejszego spaceru.

Myślałem o powrocie, martwiłem się trochę o nogę, bardzo chciałem zobaczyć jeszcze pingwiny, ale w takim stanie dobrze będzie, jak uda mi się doczłapać chociaż do hostelu i zabrać resztę pozostawionych rzeczy.

Po drugiej stronie jeziora czekały już busy. Moja okutana w korę noga nie mogła ujść uwagi współtowarzysza. Chilijczyk Pedro, mówię, że i ja Pedro, ano chyba skręciłem nogę w kostce, co zrobić, pech, park, tak, piękny, w Polsce też mamy parki, góry też, może nie tak samo piękne, ale nie wiem, czy bardziej, czy mniej, inaczej piękne.

Czy u nas bezpiecznie? Pewnie, że bezpiecznie, a co mam powiedzieć, ludzie różni, skąd mam wiedzieć, na jakich natrafi, ale nie zniechęcam, za drogo? Chciałby do Europy? Uczy się francuskiego, w Polsce mówimy po polsku, a hiszpański tak, popularny, nie, wiele osób chyba nie mówi, większość uczy się angielskiego, pierwszy raz w Argentynie, to tak jak ja. Chilijczyk pomógł mi przenieść bagaż do hostelu, po drodze zaszliśmy jeszcze do apteki, gdzie kupiłem jakąś maść na zapalenie, ale aptekarz, bo obejrzeniu nogi, pokręcił głową i sugerował wizytę u lekarza, zrobić prześwietlenie albo najlepiej pojechać prosto do szpitala.



Pingwiny Magellana



Punta Arenas

Noga rzeczywiście mocno spuchła, ale co by mi przyszło z wizyty u lekarza. Zagipsowaliby nogę i byłby jeszcze większy problem z powrotem do domu.

Właścicielka hostelu bardzo się mną przejęła, chciała zawieźć do szpitala, ale wytłumaczyłem, że lepiej będzie, jak zostanę w takim stanie, w jakim

jestem i dopiero w Polsce pójde szukać pomocy.

Następnego dnia busem linii BusSur pojechałem do Punta Arenas. Wieczór i połowę następnego dnia spędziłem w łóżku, oszczędzając kostkę. Noga spuchła i coraz bardziej bolała, ale uparłem się, że jeszcze spróbuję dotrzeć do kolonii pingwinów w Otway.

Okazuje się, że na pingwinach, nawet żywych, można nieźle zarobić. Ktoś wymyślił bardzo intratny biznes.

Sam bus kosztował sześć tysięcy dwieście pesos, potem należało wykupić bilet za wejście na teren parku i jeszcze po drodze, śródkiem niczego, skasowano wszystkich po tysiąc pesos, nawet już nie miałem siły dopytywać się, za co płacę.

Pingwiny można podglądać po drodze, idąc po wybudowanych drewnianych kładkach, prowadzących do punktu widokowego. Chodzą one od nory do nory pokracznym krokiem, budząc niekłamany entuzjazm przechodzących turystów.

Punkt widokowy to w żadnym razie nie jest dyskretna buda, tylko wystawiona blisko plaży drewniana szopa, skąd przez małe okienka można obserwować pingwiny. Na plażę wchodzić nie wolno. Pozostaje mieć nadzieję, że nawet bez tych znaków i tak nikt nie chciałby drażnić zwierząt. Pingwiny bowiem cenią sobie spokój i jeśli poczują się zbyt *molestowane* przez ludzi, to znajdują sobie inne miejsce.

Następnego dnia, samolotem linii Air Comet Aerolineas del Sur poleciałem do Santiago, skąd już bezpośrednio wracałem do domu. W Polsce okazało się, że kostka jest pęknięta, zagipsowano mi nogę i trochę czasu upłynęło, zanim znów mogłem wsiąść na rower.

Wróciłem do domu z jakimś dziwnym niespełnieniem, niedosytem, niedojeżdżeniem. Chciałem wrócić, trochę się umordować po raz kolejny, ale tym razem już na sprawdzonym, swoim starym rowerze. Tym, który dwa lata wcześniej zostawiłem w Tybecie, a potem pojechałem zimą odebrać.

W czerwcu kupiłem bilet do Santiago z nieodpartym pragnieniem zobaczenia Patagonii raz jeszcze.

Rozdział 6

Plan znów był prosty, albo powinienem napisać: planu znów nie było. Ze stolicy Chile, Santiago, przez tunel Los Libertadores, zamierzałem ruszyć prosto do Argentyny, a stamtąd jechać do Patagonii. Miałem dziewięć tygodni wolnego, wystarczająco dużo czasu, żeby nie spiesząc się, spokojnie jechać na południe, aż do Ziemi Ognistej, i stamtąd wrócić do domu. Nie mogłem powtórzyć tej samej, niedokończonych przeze mnie drogi sprzed kilku miesięcy, gdyż Carretera Austral w zimie jest zamknięta. Oczywiście na pewnych odcinkach funkcjonuje, ale w przypadku obfitych opadów śnieżnych, w niektórych partiach jest zamykana i może nie być odsnieżana aż do wiosny.

Zatem, chcąc dostać się rowerem do Patagonii, musiałem jechać po wschodniej stronie Andów, przemierzając Argentynę. Czekala mnie długa droga, fragmentem tak zwanej Ruty 40, ciągnącej się przez ponad cztery tysiące kilometrów przez całą długość kraju i będącej jedną z trzech najdłuższych dróg na świecie (obok Route 66 w Stanach Zjednoczonych i Stuart Highway w Australii).

Tym razem leciałem linią Swiss Air i już nie było powtórki z Madrytu — noclegu w hotelu i sześciuset euro do ręki.

Rower, rozkręcony i upchany w miarę bezpiecznie w pudle, powędrował do odprawy bagażu ponadwymiarowego. Linie Swiss Air oferowały bardzo komfortowy i pewny przewóz jednoślada. Posiadają bowiem zryczałtowaną opłatę za transport sprzętu sportowego w wysokości osiemdziesięciu euro. Należało tylko zapakować rower w pudło i pamiętać, aby bagaż nie ważył więcej niż trzydzieści dwa kilogramy (przepisy BHP). Do kartonu włożyłem również kilka drobiazgów: karimatę, zapasowe części rowerowe, trochę ciuchów.

28 czerwca 2008 roku wylądowałem na lotnisku w Santiago de Chile. Odebrałem bagaż i pudło z rowerem, po czym znalazłem ustronny kąt, gdzie mogłem w spokoju poskręcać rower i przygotować go do krótkiej jazdy do centrum miasta.



Rower gotowy do drogi

Był początek zimy. Miało być zimno. To znaczy ja myślałem, że będzie zimno. Oczywiście, nie oczekiwałem mrozów i śniegów, przynajmniej nie w Santiago, ale dwadzieścia pięć stopni w cieniu to było o wiele za dużo, niż się spodziewałem.

Jeszcze na lotnisku ubrałem się w polar i windstopper, myśląc, że będzie chłodno. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Zaraz po wyjściu na zewnątrz budynku, dostałem w twarz podmuchem ciepłego, suchego powietrza. Zdjąłem jedną warstwę ubrań, ale i tak za moment byłem złany potem.

Od strony lotniska, na horyzoncie odcinały się pobielone śniegiem wierzchołki Andów. W górach będzie chłodniej, pocieszałem się, myśląc o wypchanych ciepłymi ubraniami sakwach.

Dojechałem do centrum i znajomego już hostelu Youth International. Zameldowałem się na jedną noc, zjadłem kolację, dokręciłem rower, dopakowałem sakwy i nie mając już ani ochoty ani siły na nocne spacerki, poszedłem wcześniej spać.

Rankiem, po mało urozmaiconym, ale potężnym śniadaniu, składającym się z

pięciu bułek z marmoladą oraz pół litra jogurtu, ruszyłem na drogę numer pięćdziesiąt siedem, która miała mnie wyprowadzić w stronę Los Andes. Dalej zamierzałem kontynuować jazdę w kierunku granicy z Argentyną i tunelu Los Libertadores, stanowiącego granicę pomiędzy Chile i Argentyną.

Pierwszego dnia podróży nigdy nie jedzie mi się najprzyjemniej. Może dlatego, że przed wyjazdami specjalnie nie trenuję. Czuję się, jakbym na nowo musiał przyzwyczajać się do znajomego przecież roweru. Niby nie pierwszy raz poruszałem się z wypchanymi bagażem sakwami, a po raz kolejny ze zdziwieniem odkryłem, że nie da się momentalnie ruszyć ze skrzyżowania i zgrabnie wyprzedzać idących po chodniku pieszych, ani też wbić pomiędzy stojące w korkach samochody bez zawadzania o ich lusterka.

Rower staje się ciężką krową, którą trudno rozpędzić, a każdy najmniejszy podjazd urasta do miana wielkiej alpejskiej przełęczy. Musiałem się szybko przestawić, gdyż tego dnia i następnego czekała mnie droga tylko pod górkę, aż na wysokość 3500 metrów n.p.m.

Po jakiejś godzinie pedałowania zorientowałem się, że jadę nie w tę stronę, co trzeba. W miastach często się gubię, więc również i tym razem niespodzianki nie było. Ponieważ nie chciałem już tracić czasu na chodnikowe manewry, dość szybko wbiłem się w ruchliwą arterię. Nie było to ani legalne, ani bezpieczne, ale pozwoliło na dość sprawne wyjechanie poza miasto. Chcąc nie chcąc, musiałem zaakceptować trąbiących głośno kierowców i wyprzedzające mnie o centymetry okropnie smolące ciężarówki.

Kilka razy zatrzymywałem się, aby upewnić się co do kierunku jazdy, aż w końcu zjechałem z autostrady na drogę prowadzącą do Los Andes. Ruch trochę zelżał, ale za to zrobiło się nieznośnie gorąco. Naciskając na pedały w ciepłych, trekkingowych butach, z nadzieją patrzyłem na przybliżające się, zaśnieżone andyjskie szczyty. Miała być zima, a na razie było lato.

Południowe słońce dawało się mocno we znaki. Śniadanie już dawno spaliłem, a brzuch zaczął dopominać się o dodatkowe racje. Mała budka z hot dogami spadła z nieba, kupiłem znajome już *completos*, wypełnione zielonym awokado i mielonym mięsem.

Usiadłem na białym, plastikowym krześle i rozłożywszy nogi, pożerałem ze smakiem wielką bułkę. Przejechałem dopiero pięćdziesiąt kilometrów, a już miałem trochę dość. Morale mocno spadło, ale próbowałem się pocieszyć, że z dnia na dzień będzie lepiej. Przejadę granicę, dojadę do Mendozy i stamtąd ruszę prosto do Patagonii, gdzie będzie czystiej, spokojniej i zimniej. Hałas, spaliny i lejący się z nieba żar zostawię za sobą.

Po drugiej stronie drogi, ulica urywała się stromym zboczem, a w oddali rozpościerała się wielka dolina, cała przykryta jasnobrązowym smogiem. Dopiero z oddali widać było skalę zanieczyszczenia miasta.

Z każdym kolejnym kęsem hot doga mój nastrój się poprawiał. Wszystko przecież było w porządku. Rower działał bez zarzutu, pan Zbyszek jak zwykle włożył serce w jego przygotowanie. Ja właściwie też byłem w porządku, może już nie tak sprawny, jak kilkanaście lat wcześniej, ale w sumie nie powinienem był narzekać. Coś jednak ciągnęło się za mną, jakieś chore myśli, ciężko się było ich pozbyć, może to ta rodzina, która przed chwilą wysiadła z wielkiego SUV-a, za dużo uśmiechu naraz, balonik i wata cukrowa, nie zaczepiaj pana, nawet nie ja zacząłem, sukienka falowała, pan w koszuli unosił do góry za ręce, śmiech pędził w dolinę, może kwadrans, może mniej, może ich wcale nie było i znów tylko sobie coś wyobraziłem, z ciężkimi myślami daleko się nie ujedzie, trudno strzepnąć, więc wreszcie przed Los Andes zatrzymałem się na zasłużony odpoczynek.

Zapukałem do ciemnozielonego domu. Otworzyła lekko spłoszona kobieta, kilka zdań, że z Polski, że na rowerze, że dalej już nie mam siły i czy mogę się rozstawić na podwórku z namiotem. Nie, nie szukam noclegu, chciałbym tylko rozłożyć namiot, mam wszystko, jedzenie, śpiwór, może tylko poprosiłbym o butelkę wody.

Trochę niepewnie, ale zgadza się, przynosi wodę i proponuje skorzystanie z łazienki. Tego wieczora nie oczekiwałem niczego więcej, jak tylko kawałka bezpiecznego miejsca na nocleg. Dostałem, co chciałem, a nawet więcej.

Rankiem czekała mnie przyjemna niespodzianka. Krzątałem się przy namiocie, aby zrobić sobie śniadanie, gdy z domu wyszła gospodyni, niosąc kanapkę i ogromny kubek kawy.

— Proszę, to dla ciebie — powiedziała. — Obserwowałam przez okno, kiedy wstaniesz, już się zaczęłam martwić, czy żyjesz — zażartowała.

Rzeczywiście, spałem prawie jedenaście godzin, do tego chyba z godzinę zwlekałem, zanim wynurzyłem się z namiotu.

— Skąd przyjechałeś?

— Z Polski.

— Z Polski? *Polaco. Como Papa Pablo Secundo.*

Uśmiechnąłem się i pokiwałem, że tak, tak jak papa.

— I teraz jedziesz do Argentyny?

— Tak, chcę pojechać do Mendoza i potem skrećę na południe i może dojadę do Ushuaii.

— Ale przecież jest zima! — Dopiero teraz zauważyłem, że kobieta była bardzo lekko ubrana i przytupywała z nogi na nogę, a termometr rzeczywiście wskazywał zaledwie kilka stopni na plusie.

— Nie jest tak bardzo zimno, w dzień, kiedy świeci słońce, jest nawet za gorąco. A w Patagonii i na Ziemi Ognistej zimy też nie są surowe.

Pokiwała głową na znak zrozumienia, ale nie wiem, czy wiedziała, gdzie ta Patagonia i Ognista Ziemia i jak to jest daleko z tego słonecznego i mimo wszystko ciepłego miejsca.

— Jak wypijesz, to możesz zostawić kubek pod drzwiami, bo ja zaraz będę jechać do pracy. Uważaj na lawiny w górach i powodzenia! — To powiedziawszy, wróciła do domu, a ja zabrałem się za kanapkę. Była pyszna i bardzo pożywna, z wędliną i warzywami.

Bezchmurne niebo zapowiadało kolejny gorący dzień. Słońce już od rana mocno przypiekało, a wiatru właściwie nie było. Ruszyłem powoli pod górę, coraz bliżej ku ośnieżonym szczytom, coraz dalej od zgiełku miasta.

Tak jak się spodziewałem, tego dnia nie mogłem liczyć na odpoczynek i choćby kilometr płaskiego odcinka. Podjazd jednak był łagodny, dzięki czemu powoli zdobywałem wysokość i lepiej się aklimatyzowałem.

Po czterdziestu kilometrach jazdy, zatrzymałem się obok przydrożnego zajazdu, w którym zamówiłem zupę i befsztyk z ziemniakami. Wszedłem na zewnątrz i przy plastikowym stoliku pałaszowałem posiłek. Zupa była gęsta, pożywna, a porcja mięsa ogromna; wszystko smakowało proporcjonalnie do poniesionego przeze mnie wysiłku. Po kilku godzinach pedałowania, zwykła bułka smakuje wybornie, a cóż dopiero mówić o takim wyszukany posiłku, jaki miałem przed sobą na stole.

Wysokościomierz wskazywał 1350 metrów n.p.m. Jak na tę wysokość, było ciągle zadziwiająco ciepło. Temperatura w cieniu wynosiła dziewiętnaście stopni Celsjusza. Do granicy pozostało mi około pięćdziesięciu kilometrów i dwa kilometry przewyższenia... Dzisiaj już nie podjadę, myślałem, zresztą nie miało to sensu, nikt mnie nie gonił, nigdzie się nie spieszyłem, a powolne zdobywanie wysokości pozwoli na lepszą aklimatyzację.

Posiłek sprawił, że stałem się bardzo senny, zupełnie nie miałem siły wstać od stołu, powoli zapadałem w drzemkę, w końcu bezwiednie poddałem się ogarniającemu mnie błogiemu rozleniwieniu i zasnąłem z głową między talerzami.

Obudziło mnie ni to mlaskanie, ni siorbanie, ni łaskotanie, a może wszystko naraz. Miałem dziwny sen, śniło mi się, że byłem w dżungli, z rowerem, i goniły mnie dinozaury. Było duszno, gorąco, brnąłem w jakiejś mazi, coraz bardziej się zapadając i coraz wyraźniej słysząc za sobą dzikie odgłosy. Nagle, z przerażeniem ujrzałem, że nie zapadam się w bagno, ale w chmurę, która coraz bardziej się rozwiewała, niknęła pode mną. Spadałem. Coś łupnęło. Chyba krzyknąłem. Poczuję ból w prawym barku. Obudziłem się. Otworzyłem jedno oko i jeszcze nie do końca kojarząc, czy to jeszcze sen, czy już jawa, ostrzyłem kontury rzeczywistości.

— Wszystko w porządku? — usłyszałem kobiecy głos.

— Tak — odpowiedziałem, wstając powoli z ziemi. — Przepraszam, chyba

spadłem z krzesła, zaraz wszystko posprzątam.

— Nie szkodzi, to ja powinnam była już wcześniej posprzątać, ale nie chciałam cię budzić. Choć chyba koty zrobiły to za mnie.

Teraz dopiero zauważyłem małego kotka, oblizującego łapki na sąsiednim stoliku. Drugi, ogromny kocur, dojadał na ziemi obiadowe resztki.

— Przepraszam — powiedziałem raz jeszcze do właścicielki zajazdu. — Zasnąłem i chyba strąciłem wszystko na ziemię — dodałem, podnosząc dokładnie wylizany talerz.

— Naprawdę nie szkodzi — uśmiechnęła się kobieta, biorąc ode mnie naczynia. — Ach, te koty. Uwielbiają wołowinę, córka je rozpieściła i teraz prawie niczego innego nie chcą jeść, szczególnie ten duży. A kawaler dokąd jedzie?

— Do Argentyny. Potem do Patagonii.

— I chce się tak samemu włóczyć? Nie tęskno za domem? Z daleka przyjechał? Pewnie Niemiec albo Francuz?

— Nie, Polak.

— Polak? O, był tu kiedyś jeden Polak, w tamto lato, ale samochodem, mówił, że mieszka w Buenos Aires i odwiedzał przyjaciół w Santiago, to kawaler żadnych przyjaciół nie ma? A, że tutaj nie ma, a w Polsce ma? Też nie ma? Jak to tak, bez przyjaciół, a żona jest? Nie ma żony? Ojej, jak to tak żyć, tak się nie da, e tam, rower, co tam rower, człowieka trzeba, przyjaciela, człowieka nic nie zastąpi, zamiast jeździć i się włóczyć, niech kawaler poszuka sobie żony, zrobi dzieci i kupi kota albo psa, albo weźmie przybłądę jakiegoś, tyle tu się włóczy psów bezpańskich, aż szkoda.

Może i kupię, a może sam zostanę przybłądą, na wszystko przyjdzie czas, patrzę na czubki ciężkich butów trekkingowych, ile to już lat je noszę, chyba z dziesięć, na pewno przyjemniej jechałoby się w lżejszych, ale dlaczego ma być łatwo, nikt nie mówił, że będzie łatwo, z kotami mieszkam, kilka kotów, z drzewa, z psami kiedyś też, zupa pyszna, *milanesa* jeszcze lepsza, nie, więcej już nie dam rady, do widzenia, nie, przejadę dziś jeszcze trochę, na *milanesie* dociągnę może i do początku serpentyn.

Przed wieczorem spotkałem pierwszego rowerzystę. Francuz, Algierczyk z pochodzenia, zmierzał do Santiago na horyzontalnym rowerze. Ciekaw byłem, jak się na czymś takim jeździ, więc poprosiłem, aby dał mi się przejechać. Dziwne uczucie, jakoś tak z pleców trzeba siłę brać, no i wcale nie jestem pewien, czy lżej i wygodniej, a podobno gorzej, kiedy podjazd bardziej stromy. Może kiedyś się przesiądę, jak już zupełnie wysiądą mi kręgi szyjne.

Wieczorem zatrzymałem się obok niedużego pola namiotowego i wypożyczalni sprzętu turystycznego. Camping niby zamknięty, ale właściciel

za niewielką opłatą pozwolił się rozbić pod ścianą budynku i zaprosił na kolację.

Bardzo ciepło i z podziwem wyrażał się o Polsce i Polakach. Doskonale kojarzył większość czołowych polskich wspinaczy i himalaistów: nieżyjących już Jerzego Kukuczkę i Wandę Rutkiewicz, będącego ciągle w świetnej formie Wielickiego (którego nazwisko przekreślał na „Wieliczki”), Kurtykę, Macieja Berbekę.

Znał również historię polskich wypraw w Andy, kojarzył postać Witolda Ostrowskiego, mówił o lodowcu Polaków, znajdującym się w drodze na Aconcaguę.

— Latem często prowadzę tam bardziej zaawansowanych turystów. Oczywiście można też próbować samemu, jeśli posiada się odpowiednie umiejętności. Zresztą latem na szczyt pcha się mnóstwo ludzi. Czasem zupełnie niedoświadczonych, całkowicie ignorujących górę, że niby taka łatwa, bez specjalnych trudności technicznych. To prawda, że najbardziej popularny szlak, prowadzący na wierzchołek jest łatwy i na większej jego części mógłbyś i rowerem jechać, ale wystarczy spojrzeć na statystyki i zerknąć na cmentarz w Los Penitentes, tam gdzie zaczyna się droga na górę.

— To pan często latem prowadzi grupy?

— Raczej unikam grup, wielokrotnie trafiają mi się ambitniejsi turyści albo początkujący wspinacze, z którymi nawet można spróbować zrobić jakiś fragment południowej ściany.

— A zimą też pan chodzi?

— O nie, nie jestem masochistą, zimą się nie wspinam, zimowych wejść w ciągu roku jest bardzo niewiele, a zdarzały się lata, że nikomu się to nie udało. Ciężko jest też znaleźć przewodnika, który będzie chciał towarzyszyć turyście, trudno dostać pozwolenie. Zimą to chyba tylko Polacy i Rosjanie się wspinają, a co, chciałbyś spróbować? Najpierw przyjeźdź latem.



Tunel Los Libertadores

Podziękowałem za kolację, herbatę, przemily wieczór i wróciłem do namiotu. Noc była bardzo wilgotna, puch w śpiworze nieco się skwalił, przez co z rana było trochę chłodno, bo skwalony naturalny puch ciepła z ciała już nie utrzymuje.

Wstałem skoro świt, żeby jak najsprawniej ruszyć i wjechać na przełęcz. Podjazd był długi i dość stromy, na poboczach leżał świeży śnieg, ciemny, przybrudzony spalinami.

W budynku kontroli granicznej dostałem papierek, który za moment ode mnie zabrano i kiedy myślałem, że już podjazd się skończył i zaraz dojadę do tunelu Los Libertadores, oczom moim ukazała się ginąca gdzieś w oddali serpentyna. Cekał mnie jeszcze kolejny podjazd, w palącym słońcu, kończący się dopiero przed samym tunelem.

Trochę zgrzytania zębami, dwa litry potu i byłem na miejscu. Zatrzymałem się, aby przymocować tylne światło i założyć odblaskową kamizelkę, ale stojący nieopodal robotnicy drogowi uświadomili mi, że nie mogę przejechać rowerem przez tunel, o czym zresztą informowały znaki. Nie znaczyło to oczywiście, że teraz muszę wracać do Santiago. Mężczyźni

zaoferowali się przewieźć mnie na drugą stronę.

— Od tego tu jesteśmy — powiedział jeden z nich, rzucając mój rower na plandekę samochodu.

Dowiedziałem się również, że wczoraj przewozili Japończyka, ale zimą zbyt wiele pracy z rowerzystami nie mają.

Zaraz za tunelem, w Los Horcones, znów była kontrola, gdzie dostałem kolejny papierek, który piętnaście kilometrów niżej miałem oddać *el hombre verde* — zielonemu panu.

Zanim jednak go znalazłem, zatrzymałem się na chwilę w Los Penitentes. W przeciwieństwie do krajobrazu i temperatur towarzyszących mi przez poprzednie dwa dni, tutaj zima rozgościła się na dobre. Cała dolina i szlak prowadzący w stronę Aconcagui były przysypane głębokim śniegiem. Termometr na kierownicy roweru wskazywał cztery stopnie na plusie.

Ubrałem się w jeszcze jeden polar i rozglądałem za jakimś przytulniejszym niż pobocze drogi miejscem na drugie śniadanie. Dokoła żywego ducha. Niedaleko znajdowały się niskie zabudowania i tam też się skierowałem. Nie spodziewałem się znaleźć żadnych czynnych sklepów czy barów, ale okazało się, że jeden z nich jest otwarty. Miałem trochę zapasów jedzenia, ale że do najbliższego miasta było jeszcze dość daleko, postanowiłem zatrzymać je na czarną godzinę, a teraz zjeść dwa gumowate hamburgery.

Kilka kilometrów poniżej dojechałem do szlabanu, przy którym stał mężczyzna, ubrany w mundur koloru khaki. To pewnie oczekiwany przeze mnie zielony człowiek. W istocie, pan odebrał ode mnie papierek i przekartkował paszport.

— *Polaco?*

— *Si, Polaco* — odpowiedziałem, zadowolony, że choć raz nie jestem ani Niemcem, ani Francuzem.

— Służyłem kiedyś z Polakami w Kosowie. — powiedział. — Bardzo dobrzy żołnierze.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. W Kosowie nie byłem, w ogóle na żadnej wojnie nie byłem, tematu wojska nie miałem ochoty poruszać, ale skwapliwie przytaknąłem, że tak, Polacy świetni żołnierze.

— Argentyńscy też — dodałem, ale widząc dziwną minę żołnierza, dorzuciłem jeszcze: — Chilijscy oczywiście też.

— Ja nie jestem z Argentyny ani z Chile — żołnierz uśmiechnął się. — Jestem Rumunem — dodał, wręczając mi paszport.

— Byłem kiedyś w Rumunii — odparłem, na końcu języka mając „że rumuńscy żołnierze są najlepsi”, ale na szczęście w porę ugryzłem się w język i przestałem się bardziej pogrążyć. Za moment zresztą podjechał

samochód, żołnierz spojrzał na mnie wymownie i machnął ręką, abym jechał dalej.

Niezdarnie zsalutowałem i pomknąłem w dół zapadającej się w mroku nocy doliny.

Rozdział 7

Tego wieczora nie udało mi się dotrzeć do Uspallaty. Początkowo planowałem jechać nocą, ale kiedy w oddali zobaczyłem światła jakichś wolno stojących budynków, postanowiłem już nie pedałować na siłę do miasta, a zapytać o możliwość rozstawienia namiotu.

Miejsce okazało się ogromnym placem budowy. Dwaj stróże zgodzili się chętnie, żebym został, ale nalegali, abym spał w baraku razem z nimi.

— Psy spuszczaamy w nocy, lepiej, żebyś był w środku, zresztą słyszysz, jak ujadają.

— Ale ja nie boję się psów, zagrzebię się w namiocie i nie będę wychodził.

— Niemądry jesteś, to dogi argentyńskie, trzy suki, zjedzą cię razem z namiotem.

Nie bardzo wiedziałem, jak wyglądają argentyńskie dogi, ale skoro gustują w namiotach, to może rzeczywiście lepiej spać pod dachem. Kolejne zdanie jednego ze stróżów rozwiało do reszty moje wątpliwości.

— Jest wolny pokój, mamy materac i koce, możesz wziąć prysznic, zjesz z nami kolację, jeśli chcesz, i poopowiadasz, co tam w Polsce słyhać.

Pokój był ciepły, czysty, z prysznicem nie korzystałem, ale chętnie przystałem na propozycję gulaszu.

Dwóch mężczyzn na zmianę zasypywało mnie pytaniami o Polskę i o to, co ja tu robię. Niby nic w tym specjalnego nie było, ale ich pytania nie dotyczyły tego, czy mam żonę i dzieci, czy nie tęsknię za domem i dlaczego się tak morduję na rowerze. W istocie, żadne z tych pytań nie padło. Pytali, co się je w Polsce na kolację, czy są mroźne zimy, czego uczą w szkołach i czy mamy dużo drzew. I czy jest morze i czy jest w nim dużo ryb, bo jeden pan uwielbia ryby i urodził się na wybrzeżu, a tutaj jada głównie wołowinę, i czy mamy kutry i wieloryby. A drugi zapytał, czy mi ktoś za to płaci, że tak jeżdżę, bo on też bardzo chciałby podróżować, ale ledwo go stać, żeby pojechać raz w miesiącu z dziećmi do miasta i to jak już wróci do domu i że w ogóle jest niesprawiedliwość na świecie.

W nocy mocno wiało, cieszyłem się, że nie upierałem się na rozstawienie namiotu. Zgodnie z obietnicą daną wieczorem, wstałem o siódmej, aby zdążyć przed przyjazdem robotników na plac budowy.

Tak naprawdę, to wstałem nawet o szóstej, gdyż po wjechaniu do Argentyny, zmieniłem strefę czasową. W Chile było sześć godzin różnicy pomiędzy Polską, teraz znów tylko pięć.

Pożegnałem się z robotnikami i ruszyłem do miasteczka. Zimno dawało się

we znaki. Jeszcze dwa dni temu o tej godzinie słońce już mocno grzało, a termometr wskazywał dobrze ponad dziesięć stopni. Teraz jechałem w minus pięć, słońce co prawda weszło już ponad horyzont, ale ciągle było bardzo zimno. Śniegu natomiast nie było wcale.

Do Uspallaty dojechałem dość wyziębiony, marzyłem o jakimś zacisznym miejscu, w którym mógłbym zjeść śniadanie i wypić coś ciepłego. Znalazłem bez trudu niedrogą kawiarnię i poszedłem się odmrozić. Kupiłem dwa hamburgery, kawę i usiadłem przy stole.

Siedziałem nad mapą, siorbałem gorący płyn, ze ściany patrzył na mnie Brad Pitt, z szafy grającej bombardował moje uszy przebój z *Arizona Dream*, tybetańscy mnisi uśmiechali się z ceraty, patrzyłem na wijącą się linię Ruty 40, prowadzącą do Patagonii i wtedy stało się coś dziwnego.

Może to przez Brada Pitta, który kiedyś udawał w Uspallacie, że siedem lat był w Tybecie, a może przez pomarszczonych mnichów z ceraty, a może przez *Arizona Dream*, ale nagle zacząłem tęsknić za wysokimi szczytami. Poczulem nieodpartą potrzebę wjechania z powrotem w góry, z których właśnie zjechałem.

Palec jakby sam zaczął odnajdywać drogę na północ, a ja pomyślałem, co by było, gdybym zamiast do Patagonii pojechał w drugą stronę, w górę Ruty 40, przez wysokie andyjskie przełęcze, choćby i do samej Boliwii.

Dopiłem kawę, spakowałem rzeczy i wyszedłem na zewnątrz. Zrobiło się cieplej, nawet całkiem przyjemnie. Pewnie koło południa da się jechać w samym polarze, na razie jednak zostałem jeszcze w kurtce i ciepłych spodniach.

Wsiadłem na rower, dojechałem do rozjazdu. Zatrzymałem się. Droga za miastem prowadziła w dół do Mendozy. Słońce zaczynało mocniej grzać. Spojrzałem na wypakowane sakwy. W Mendozie będzie jeszcze cieplej. Puchowa kurtka, puchowe spodnie, rękawice, ciepły śpiwór, ciężkie buty. Po coś je przecież zabrałem.

Wracam do miasteczka, chowam się w cieniu restauracji, wyjmuję jeszcze raz mapę. Na północy będzie wyżej. Wyżej będzie chłodniej. Przyjemniej będzie. No i kurtka puchowa. Pomarańczowa. I Boliwia na mapie ma pomarańczowy kolor. A Brad Pitt miał wełnianą, pomarańczową czapkę.

Zwijam mapę i siadam na rower. Przewodnik po Patagonii zostawiam na ławce przy parkingu. Miało być na południe, będzie na północ, miała być Patagonia, może będzie Boliwia.

Na skrzyżowaniu odbiłem na drogę numer trzydzieści dziewięć, prowadzącą do miejscowości Barreal. Na wszelki wypadek mocniej naciskałem na pedały, aby się jeszcze nie rozmyślić.

Po dwóch godzinach jazdy zatrzymałem się na posiłek. Rozkładałem na

poboczu karimatę, kiedy zobaczyłem stojącego nieopodal, zziąjanego i ciężko dyszącego psa. Przypomniałem sobie, że widziałem go w miasteczku... Biegł za mną dwie godziny? Po co? Próbowałem go przepędzić kamieniami, przecież nie będzie biegł za mną cały czas po tym pustkowiu. Wykończy się tutaj, nawet strumieni po drodze nie ma, wszystkie wyschnięte.

Pies jednak nie reagował na kamienie, odbiegał na kilka metrów, by za moment wrócić. W końcu zrobiło mi się go żal, zachęciłem go jedzeniem, rzuciłem nim w jego stronę, odskoczył, ale potem podszedł, powąchał i zjadł.

Usiadłem na karimacie, pies położył się w bezpiecznej odległości, rzuciłem mu jeszcze kilka kawałków bułki z parówką. Pomiedzy kolejnymi kęsami, obserwowaliśmy się nawzajem. Wyglądał na zabiedzonego, patrzył ufnym wzrokiem, dyszał. Nalałem trochę wody do menażki, podszedłem bliżej, pies się podniósł, ale nie zbliżył, dopóki ja się nie oddaliłem.

Ruszyłem po półgodzinie, pogodziwszy się z nieuniknionym towarzystwem nieoczekiwanego kompana. Zwierzę nie odstępowało koła i prawie wbiegało mi pod rower. Po godzinie przejeżdżałem przez nieduży strumień, gdzie psiak zatrzymał się, aby ugasić pragnienie. Myślałem, że tym razem uda mi się go zgubić, że chęć zaspokojenia pragnienia będzie większa, niż ochota na bieganie za rowerzystą i wieczorna perspektywa kilku kęsów bułki z parówką. Z początku tak to wyglądało. Odjechałem co najmniej na kilometr, obejrzałem się, psa nie było. Tak będzie lepiej dla niego, pomyślałem, ale po kilku minutach krótkie szczeknięcie triumfalnie oznajmiło powrót mojego towarzysza.

Jechałem bardzo wyboistą, szutrową drogą, taka typowa piaszczysto - żwirowa tarka. Nawierzchnia nie pozwalała na szybszą jazdę niż piętnaście kilometrów na godzinę. Mogłem też zapomnieć o tym, aby zgubić psa. Tego dnia przebiegł za mną prawie siedemdziesiąt kilometrów.

Wieczorem, na jednym z niedużych, ale dość stromych zjazdów, złapałem gumę. To zdecydowało, że zostałem przy drodze na nocleg.



Drogą na północ od Uspallaty

Rozbiłem namiot, pies położył się ufnie obok, bardzo ciężko dyszał, piana spływała mu z pyska, patrzył na mnie, obserwował każdy mój ruch.

Nie wyglądał na rasowego, zresztą nie wiem, nie znam się. Co sprawiło, że biegł ze mną taki szmat drogi? Dlaczego? Po co? Czy miał właściciela, który dużo jeździł rowerem i teraz biega za każdym rowerzystą?

Położyłem karimatę przed namiotem i przygotowałem jedzenie. Fasola, makaron, parówki. W końcu postanowiłem nie gotować makaronu, aby w ten sposób zaoszczędzić więcej wody dla mnie i dla psa. Płyn miałem niewiele, w pobliżu strumyka żadnego nie było, na jutro też powinienem zostawić trochę więcej, na wszelki wypadek, gdyby w Barreal nie było sklepu.

Dwie parówki dla psa, dwie dla mnie, cztery zostaną na następny dzień.

Patrzyłem, jak wpatruje się we mnie, kiedy powoli gotowałem wodę, rozcinałem opakowanie kiełbasek, jak wyjąłem dwie i rzuciłem mu przed łapy. Chwycił łapczywie i pochłonął w okamgnieniu. Wyjąłem jeszcze dwie i wyciągnąłem dłoń w jego stronę. Zawahał się, ale za chwilę przysunął się i sprawnym ruchem szczęki capnął kiełbaski w zęby.

Zrobiło się zupełnie ciemno, zgasilem latarkę, na niebie rozszalały się gwiazdy. Siedziałem jeszcze chwilę przed namiotem na karimacie, słyszałem coraz słabszy i cichszy oddech psa, czasem dochodziło mnie jakby westchnienie, lekkie skomlenie, ciekawe, co siedziało mu w głowie. Jeśli myślał, to o czym? Na moment znalazłem przyjaciela, o którego wcale nie prosiłem i którego za moment będę musiał zostawić.

Wróciłem do namiotu, nawet psa już nie słyszałem, otaczała mnie całkowita cisza, żaden dźwięk nie mącił okolicy. Nie było wiatru, nie było drzew, nie było żadnych oznak ruchu. Słyszałem swój oddech, równy, spokojny, miarowy, szybko zapadłem w mocny sen.

Kiedy rankiem otworzyłem tropik namiotu, zobaczyłem psa w tym samym miejscu, w jakim pamiętałem go wieczorem. Nie ruszył się ani na krok. Kiedy mnie zobaczył, szczeknął krótko, jakby z zadowolenia.

Najpierw wziąłem się za cerowanie dziury. Okazało się, że rozerwało wentyl, zmieniłem więc dętkę, nie bawiąc się już w jej zalepianie. Bez wody i tak jest to utrudnione, a jeśli jest mała dziura, nie zawsze da się ją znaleźć. Zazwyczaj robię to na ślinę, a jak dojadę do większego strumienia, to po napompowaniu dętki wkładam ją do wody i sprawdzam, z którego miejsca lecą bąbelki.

Było dość chłodno, ale bezwietrznie, termometr wskazywał zero stopni, na bezchmurnym niebie, unosząc się powoli, coraz mocniej żółciło się słońce. Na zachodzie iskrzyły się ośnieżone, łagodnie uformowane wierzchołki górskich szczytów. Zapowiadał się kolejny piękny dzień. Dokończyłem wymianę dętki i wziąłem się za przygotowanie śniadania. Aby oszczędzić trochę wody dla psa, zamiast codziennych płatków, zrobiłem bułki z kupionym poprzedniego dnia czekoladopodobnym tłuszczem.

Pies biegał dokoła, węsząc w wysuszonych krzakach, zagwizdałem na niego, przybiegł natychmiast. W menażce podałem mu wodę, położyłem bułkę. Najpierw łapczywie wypił wodę, jednym kęsem pochłonął kanapkę, po czym spojrzał na mnie pytająco, jakby chciał powiedzieć: czy to już wszystko. Nie otrzymawszy dokładki, wstał i znów pobiegł w krzaki z takim animuszem, jakby był trzymany w zamknięciu przez co najmniej tydzień i teraz musiał się wybiegać.

Zwinąłem obozowisko i ruszyliśmy w drogę. Jechałem spokojnym tempem, ze średnią prędkością około dwunastu kilometrów na godzinę. Przed miejscowością Barreal zaczął się asfalt. Przyspieszyłem. Pies nie nadażał. Po dwóch dniach biegu musiał być już bardzo zmęczony.

Zatrzymuję się, tarmoszę psa, próbuję wytłumaczyć, wyglądał, jakby rozumiał, ale co? Co było w jego głowie? Zaczął ujadać, wsiadam na rower, jest z górki, tutaj go zostawię, nie nadąży za mną, asfalt równiutki, rozpędzę się mocno i tyle.

Pędzę w dół jak na złamanie karku, całą siłę wkładam w pedałowanie, już nie wystarcza przełożeń, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt na godzinę, droga się wypłaszcza, ciągle jadę, nie oglądam się za siebie, wreszcie zatrzymuję się, spoglądam wstecz, niemożliwe, ale coś się tam porusza.

Na tle falującego, rozgrzanego powietrza, jakby rozmazana czarna kropka na środku drogi, nie wierzę, to nie może być on, przecież przejechałem kilka kilometrów, wyciągam aparat, kieruję go na poruszający się czarny punkt, przybliżam najbardziej jak się da, niemożliwe, ale tak, to on, pędzący jak w transie, wierny pies, unoszący się nad ziemią, zawieszony nad rozmytymi konturami czarnego asfaltu.

Patrzę, wiem, że nie dobiegnie, wiem, że zaraz padnie i pewnie prędko się nie podniesie, nie można tak biec, przecież kiedyś trzeba się zatrzymać, czego on ode mnie chce, jestem zły, że tak biegnie, że nie mogę się od niego odzepić, może poczekam i dobiję go przy drodze, przecież ja nie buduję więzi, tato, a jakie wy mosty budujecie?

Słyszę *Cycles* Garbarka, całą głowę wypełniają cierniste cienie chorych wspomnień. Barreal jest piękne, ale nie dzisiaj, drzewa w nim piękne, ale nie dzisiaj, jutro pewnie też nie, chciałem wreszcie zostawić psa, nie ciągnąć go dalej, zresztą wszystko było pozamykane, obowiązkowa sješta w gorące popołudnie, na tablicy smakowite *menu del dia*, ale na łakocie za wcześnie, choć na szczęście okazało się, że nie wszyscy pochrapują, w sklepie na stacji benzynowej sandwich *tostado*, w Calingaście tani hostel, namiot tak, piękny jest, jak drzewa w Barreal, albo i piękniejszy nawet, ale nie tego dnia, nie dzisiaj.



Wierny towarzysz podróży



Wyjątkowo prosty odcinek asfaltowej drogi

— A wiesz, że rok temu był tutaj śnieg? — zapytał właściciel, kiedy spisywał moje dane z paszportu.

Skąd wiedział, że myślałem o śniegu?

Wieczorem wybrałem się na spacer, dlaczego ciągle wszystko zamknięte, może jakieś święto? *Muy temprano*, za wcześnie, otworzyli dopiero o dwudziestej, zaszedłem do sklepu, kupiłem pyszny likier, ciasteczka i colę.

Przysiadłem na murku przy moście, miało nie być mostów, ale podszedł do mnie młody chłopak i chciał pieniądze. Najchętniej uszczęśliwiłbym wszystkich potrzebujących na całym świecie i dał każdemu, ile kto tylko zapagnie, ale chyba nie o to chodzi. Nie do końca wiem, o co chodzi, z uszczęśliwianiem zawsze miałem problemy, począwszy od siebie samego, a skończywszy na osobach mi najbliższych, ale chyba nie chodzi o to, aby dawać każdemu, kto wyciągnie rękę.

W Tybecie spotykałem osoby, które przestały pracować i zaczęły czekać na autobusy z turystami, aby zebrać od nich pieniądze. Nie zamierzałem w Calingaście rozprzestrzeniać idei: biały równa się łatwa kasa, ale temu chłopcu naprawdę chciałem zostawić cokolwiek dobrego. Tłumaczyłem, czy też może próbowałem mu wytłumaczyć, że chyba nie jest dobrym pomysłem,

abym mu dawał pieniądze, bo lepiej, jakby je sam zarobił, ale mogę go poczęstować colą albo kupić mu coś w sklepie do jedzenia.

— Ale pracy nie ma, a ja chodzę głodny — i aby nie było wątpliwości, podciągnął koszulkę i zaprezentował żebra.

Rzeczywiście, bardzo spasiony nie był, ale wygłodniały też nie, gdybym podciągnął swoją bluzę i wciągnął brzuch, zapewne wyglądalibyśmy podobnie.

Colę wziął, do sklepu na zakupy iść nie chciał, cała sytuacja zaczynała się robić mało przyjemna, ja w każdym razie miałem dosyć, wstałem i skierowałem się z powrotem do hostelu. Usłyszałem kilka niecenzuralnych zdań pod swoim adresem, ale nie zamierzałem reagować i odpowiadać. Likier dopiłem w zaciszu hotelowego pokoju. Tak na lepsze sny.

Rozdział 8

Miasteczko żegnam następnego dnia. Robię małe zakupy na dalszą podróż i ruszam drogą, zwaną Ruta 12, prowadzącą w stronę Pachaco.

Aura mi sprzyjała. Od rana dał w plecy lekki wiatr, który z godziny na godzinę przybierał na sile, by po południu całkiem mocno pchać mnie do przodu. Dzięki temu, udało mi się tego dnia przejechać prawie sto sześćdziesiąt kilometrów.

Ranek nie zapowiadał niczego szczególnego. Za miastem skończył się asfalt, jechałem szutrówką, będąc raz po raz zatrzymywanym przez robotników drogowych, którzy wysadzali skały, budując nową nawierzchnię drogi. Pomimo tego, z coraz mocniej wiejącym wiatrem, jeszcze przed południem przejechałem czterdzieści kilometrów, dzielące mnie od Pachaco. Dojechawszy do skrzyżowania, zdecydowałem się nie skręcać do wioski, a kontynuować jazdę w stronę Talacasto. Z mapy wynikało, że od kolejnej miejscowości dzieli mnie kilkadziesiąt kilometrów. W brzuchu czułem jeszcze niestrawione śniadanie, sił miałem dużo, a wiatr bardzo sprzyjał, pomyślałem więc, że uda mi się tam dojechać na późne drugie śniadanie.

Niestety, nie mogłem się bardziej mylić. Zaraz za zakrętem zaczął się podjazd, który ciągnął się na przełęcz. Jakoś wcześniej, oglądając mapę, nie zwróciłem uwagi, że poziomice dziwnie się zagęściły akurat w miejscu, gdzie Ruta 12 zmierzała w stronę słynnej Ruty 40.

Tysiąc metrów przewyższenia pokonałem nie bez trudu, ale wreszcie oczom ukazał się wyczekiwany zjazd. Kilkanaście kilometrów w dół, by następnie wjechać do bardzo malowniczego Camino Quebrada de las Burras.

Kilka kilometrów przed skrzyżowaniem drogi czterysta czternaście i słynnej czterdziestki zaczął się konkretny zjazd. Niestety, do dziś nie wiem i pewnie już się nie dowiem, czy całe Talacasto istniało jedynie na mapie, a w rzeczywistości jest tylko skupiskiem kilku rozrzuconych ruin przy skrzyżowaniu dróg 414 i 40, czy gdybym jechał na południe w stronę San Juan, to dojechałbym do jakichś zabudowań. Po horyzont nic nie było widać, a ja liczyłem na ciepły posiłek i odpoczynek...



Camino Quebrada de las Burras

Zjadłem herbatniki, chwilę odpocząłem, pomachałem przejeżdżającym kierowcom wielkich ciężarówek i pomknąłem na północ, z jeszcze silniejszym wiatrem w plecy.

Jechało się doskonale, tego dnia miałem już w nogach ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. Zastanawiałem się, czy nie wykorzystać podmuchów i nie jechać jeszcze trochę nocą. Rozsądek tym razem wziął górę, a może i zmęczenie zaczęło ze mnie wychodzić, a kiedy jeszcze na tym pustkowiu zobaczyłem budynki, postanowiłem się przy nich zatrzymać.

Blaszane magazyny i wielkie betonowe bunkry wyglądały na opuszczone, teren otoczony był wysokim płotem, zza którego dochodziło mnie wściekle ujadanie kilku psów. Dokoła wałały się przeróżne śmiecie; zużyte opony, druty zbrojeniowe, pordzewiałe części maszyn. Stałem przy bramie i drażniłem ujadające po drugiej stronie psy. Nic tu po mnie, pomyślałem,

trzeba jechać dalej. Kiedy już miałem odejść, z jednego z budynków wyszedł mężczyzna.

— Czego tutaj szukasz? — zapytał ostro.

— Dobry wieczór. Niczego specjalnego. Jadę rowerem na północ, w stronę Chilecito i robi się ciemno, i przejechałem dziś kawał drogi, jadę z Calingasty i czy nie miałby pan nic przeciwko, gdybym gdzieś tutaj rozbił namiot?

— Gdzie? Tutaj? Tutaj nie wolno, to teren rządowy, nie możesz tutaj nocować.

— Ale ja niczego nie będę dotykał, rozbiję tylko namiot, pójdę spać, a rano pojedę dalej.

— *Hombre*, ja cię wpuścić nie mogę, nie znam cię, zresztą nie wolno mi nikogo wpuszczać, kilka kilometrów dalej jest opuszczona stacja kolejowa, tam możesz spać.

— A tam będzie bezpiecznie?

— A skąd ja mam wiedzieć, czy tam będzie bezpiecznie? — odparł dość opryskliwym tonem. — Dzisiaj nigdzie nie jest bezpiecznie, jak się boisz, to jedź do Jachal, tam jest hotel.

— Ale ja już dzisiaj nie dojadę do Jachal, jest ciemno i jestem zmęczony. Może mógłbym jednak tu gdzieś za bramą?

— Gdzie za bramą? Tutaj? *Hombre*, już ci mówiłem, że tutaj nie wolno, zmykaj stąd i tutaj nigdzie nie nocuj, bo psy na noc wypuszczam za ogrodzenie.

— To może mógłbym chociaż dostać trochę wody do butelki?

— Nie ma wody, tu nie wodopój, zjeżdżaj już stąd wreszcie.

A taki piękny dzień był, pomyślałem, jadąc w stronę wskazanych ruin, taki wesoły byłem.

Było już prawie ciemno, kiedy szutrową drogą dojechałem do opuszczonej stacji kolejowej. Dokoła gruzowisko, sufit jedyne pustego pomieszczenia groził zawaleniem, wszędzie śmierdziało szczynami i jakaś zła energia unosiła się w powietrzu. Nie wiem, czy to przecucie, czy coś innego, w każdym razie jakiś głos wewnętrzny, który czasem odzywa się i podejmuje za nas decyzje, kazał mi się stamtąd zabierać. A może znów dorabiam coś, czego nie było i nie ma, i po prostu zbyt intensywny smród moczu nie do końca współgrał z perspektywą smacznego makaronu na kolację.

Przejechałem jeszcze dziesięć kilometrów i zatrzymałem się obok rozświetlonego, przydrożnego słupa. Zszedłem jakieś sto metrów z drogi i ukryłem namiot za małym pagórkiem. Kiedy przypomniałem sobie o *pinchas*, gwiazdkowych kolcach, ukrytych w sypkim poboczu, było już trochę za

późno. Przyświeciłem latarką, no tak, cała opona pokryta jasnymi pineskami. Wyjąłem kilka, usłyszałem charakterystyczne psssss... jakby dusza z roweru uciekała. Makaron z *pinchadurą* na kolację, albo raczej *pinchadura* z płatkami na śniadanie, bo wieczorem już nie miałem siły na łatanie.

Ranek mroźny, orzeźwiający, pobudzający do ruchu. Płatki z mlekiem, rodzynkami i kakao na śniadanie, szybka zmiana dętki i w drogę. Wiatr ciągle mi sprzyjał, poranne przymrozki zostały mglistym wspomnieniem i znów sunąłem w palącym słońcu po bezdrzewnym płaskowyżu.

Maleńka wioska Niquivil zaskoczyła mnie otwartym i całkiem porządnie zaopatrzonej sklepem. Młody, wyglądający może na dziesięć lat chłopiec skrupulatnie, kilkakrotnie wyliczył sumę na liczydło, a potem jeszcze dwa razy na kartce: cztery i pół, dwa, dwa i półtora, wyszło dziesięć pesos.

Kupiłem herbatniki, orzechy, colę i przysiadłem na ławce, w cieniu, rozkoszując się leniwie płynącym czasem.

Brak pośpiechu, żadnych terminów, spotkań, obietnic, trwanie w czasie, bez potrzeby przyspieszenia go, pędzenia gdzieś, zrobienia czegoś ponad to, czego wymaga ode mnie droga. Bycie tu i teraz, może nigdy więcej tu, świadomość upływającej chwili, świadomość znalezienia się dokładnie w tym miejscu i czasie w jakimś dziwnym celu, nawet jeśli celem było tylko kupienie herbatników, coli i siedzenie w cieniu z dyndającymi nogami na rowerze.

Pod sklep podjechał mężczyzna na rowerze *à la* Ukraina. Usiadł obok mnie, powoli wyjął papierosa, zapalił, zaciągnął się.

Dym osnuwał jego ogorzałą twarz, drażnił mi nozdrza, słońce wolno przesunęło się po mojej łydce, piekło, ale nie chciało mi się ruszać. Jakaś siła przydusiła mnie do ławki.

— Dokąd jedziesz? — zapytał.

— Do Boliwii.

— Aaa, do Boliwii — pokiwał głową. — Oj, to daleko. Bardzo daleko.

— Daleko — przyznałem.

Mężczyzna zaciągnął się głęboko, wypuścił długą smużkę dymu i powiedział powoli, jakby do siebie.

— Jak będziesz zmęczony, to pamiętaj, równo pedału i licz: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, wtedy się nie zmęczysz. Zaraz ci zresztą pokażę, patrz na mnie i licz: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. — Co powiedziawszy, przydeptał połowę papierosa, wsiadł na rower i oddalił się niespiesznie.

Do Jachal dojechałem w czasie sjeisty, wszystko było pozamykane, nie chciało mi się czekać aż do siedemnastej na otwarcie sklepów, miałem jeszcze trochę zapasów, uzupełniłem tylko butelki z wodą i ruszyłem w

dalszą drogę.

Za miasteczkiem długi, ale łagodny podjazd doprowadził mnie w pobliże czerwono-brunatnego pasma, wzdłuż którego ciągnęła się coraz bardziej malowniczo kręcąca się droga. Ruchu praktycznie nie było — wszystkie większe ciężarówki i autobusy skręcają przed Huaco i nie zajeżdżają do Jachał, a robią to z powodu fatalnej nawierzchni drogi i bardzo wąskich, stromych i niebezpiecznych odcinków. Rzeczywiście, eleganckie, o niskim podwoziu samochody, nie miałyby na tej trasie większych szans. Rower dawał radę, ale jechałem bardzo wolno, nawet na zjazdach nie mogłem się zbyt rozpędzić, z uwagi na głębokie muldy, wystające głazy i ostre kamienie.

Zza którymś z zakrętów wyłoniła się wioska La Cienaga. Otoczona stromymi szczytami, schowana w cieniu, pełna zielonych drzew.

Podjechałem do najbliższych zabudowań, aby poprosić o wodę, a tam odkryłem, że na podwórku jest camping! Zajmowała się nim cała rodzina, rodzice i pięcioro dzieci.

— Choć teraz senior widzi, że trudno mówić o zajmowaniu, bo nie ma żadnych turystów. Kilka dni temu nocowało dwóch Francuzów, teraz pan, martwy sezon trochę.

— Toaleta działa, prysznic niestety nie, ale gdyby sobie senior życzył, to możemy zaraz przynieść wiaderko gorącej wody.

Podziękowałem za wodę do mycia, ale poprosiłem o wodę do zagotowania makaronu.

Za moment chłopcy przynieśli dwie wypełnione butelki. Dzieci bardzo grzecznie podchodziły i podpytywały mnie, skąd jestem i dokąd jadę, czy jest mi ciepło, ile mam lat, takie tam.

— Chcą poćwiczyć angielski. Zachęcam je, aby za każdym razem, kiedy mamy turystę, który zna angielski, ćwiczyły język — powiedział tata, który przypatrywał się, jak rozkładam namiot. — Ale jak przeszkadzają, to proszę powiedzieć, zaraz je zabiorę.

— Nie, nie przeszkadzają ani trochę — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Dzieci naprawdę były bardzo grzeczne. Nie było w nich żadnej arogancji, wścibstwa, natręctwa, wchodzenia do namiotu i macania rzeczy, jak to często miało miejsce podczas moich wyjazdów do Azji. Kiedy się ściemniło, wróciły do domu i nikt już mnie więcej nie nagabywał.

— To ile mam zapłacić za nocleg? — zapytałem już rankiem, po spakowaniu rzeczy.

— Ile senior da — odpowiedział mężczyzna i poklepał mnie po ramieniu. — Ile zostawi, tyle będzie dobrze.

Ruszyłem w dalszą drogę, jadąc w stronę Huaco. Czekał mnie podjazd na

około 1000 metrów n.p.m. i potem ostrożny zjazd do miasteczka.

Comedor i inne przybytki z jedzeniem były pozamykane, na ulicy ani żywego ducha, już miałem jechać dalej, kiedy zauważyłem kobietę, która skierowała mnie do Dony jakiejś tam, która robi domowe jedzenie, więc na pewno i ja coś dostanę.

Poszedłem we wskazanym kierunku. Drzwi otworzył postawny pan Pedro, który zaprosił na podwórko i przedstawił Donie jakiejś tam, przygotowującej *empanadas*, czyli pierogi z nadzieniem. Ta bardzo popularna przekąska, konsumowana nie tylko w Argentynie, ale i w Chile, może być dziełem sztuki kulinarnej, a sądząc po wydobywających się z kuchni intensywnych zapachach, mogłem wkrótce liczyć na specyficzne doznania smakowe.

— W Polsce jadacie *empanadas*? — padło pytanie, po pierwszych wymianach wzajemnych słownych serdeczności.

— Nie, choć właściwie tak, mamy coś podobnego, czyli pierogi, ale one są najczęściej gotowane.

— Pierogi — powtórzył Pedro. — Dzisiaj mamy pierogi *de pino*. Z mięsem, cebulą i jajkiem, czasem robimy z serem albo rybami, ale rzadziej.

Gliniany piec, zbudowany z suszonej na słońcu cegły *adobe*, był już odpowiednio rozgrzany i gotowy, aby wrzucić do niego dojrzewające na wielkich szuflach ciasto z farszem.



Empanadas w Huaco



Empanadas w Huaco

Piece należy uprzednio odpowiednio rozpalić, by potem miotełką wygrzebać węgielki, wyczyścić środek i następnie, do rozgrzanego już wnętrza, włożyć przygotowane z wczesnego ciasta. Pozostaje tylko mocno uszczelnić piec, poczekać kwadrans i jedzenie gotowe.

— Zrobimy tyle, że wystarczy dla całej wioski — powiedział Pedro, wkładając kolejną szufłę jedzenia.

— A teraz pokażę ci podwórko — dodał, po czym objął mnie przyjacielskim gestem i zaciągnął pod chlewik.

— Jak przyjedziesz tu za tydzień, to spróbujesz szynki — powiedział, wskazując dokazującą za płotem małą świnkę.

— Raczej nie przyjadę, bo jadę na północ i pewnie będę wracał inną drogą, ale to dopiero za miesiąc.

— E tam, po co tam będziesz jechał, tam nic nie ma, posiedź u nas, mamy łóżko, odpoczniesz, zwiedzisz okolicę, za kilka dni jest festyn, będą piękne dziewczyny, zobaczysz, po co masz jechać i się męczyć? Ale chyba *empanadas* gotowe, chodź, zjesz trochę.

Zasiedliśmy przy stole, zastawionym wielką michą z pierogami, konfiturami w słoikach i dzbankiem z kawą.

— Pierogi w Chile nie je się sztucami. Pierogi i kobiety bierze się gołymi

rękoma — dorzucił Pedro, podając mi kolejną porcję.

Sześć wielkich *empanadas* dostałem jeszcze na drogę. Za cały posiłek, łącznie z kawą, zapłaciłem równowartość kilku złotych.

Siedząc na werandzie, zajadaliśmy pierogi, Pedro ciągle namawiał mnie, abym zostałem u nich na noc, albo żebym pojechał do Chilecito i wrócił do nich, a najlepiej, jakbym w ogóle zostawił rower i wynajął muła albo konia i pojechał bez roweru.

— *Cuesta de Miranda muy hermosa, pero muy dificil*. Droga bardzo piękna, ale trudna.

Pokiwałem głową, myśląc, że jak piękna, to tym bardziej trzeba rowerem przejechać.

— Widzisz, w zimie wielu turystów nie ma, *empanadas* głównie dla miejscowych robimy, ale i dla takich jak ty również, jak się trafią. Latem przyjeżdżają czasem na rowerach. Niemcy, Francuzi, Szwajcarzy, ale Polaków nie było jeszcze u nas. A aparat masz wielki, na festynie mógłbyś ładne zdjęcia porobić, może jeszcze się namyślisz i zostaniesz.

Obiecałem, że jeśli droga będzie zbyt trudna, to wrócę na kolejną porcję pierogów, ale chyba obaj wiedzieliśmy, że przy pożegnaniu ściskaliśmy sobie dłoń raczej na dłużej niż na kilka dni.

Rozdział 9

Jechałem niespiesznie na północ, po dość płaskim terenie, szczęśliwie omijając raz po raz pojawiające się na zachodzie burzowe chmury.

Przed miasteczkiem Guandacol zatrzymał mnie patrol policyjny. Jechałem spokojnie i przepisowo, ale widzę, że dwaj policjanci, stojący przy białej budce, dają mi znak, abym się zatrzymał.

— Dokumenty i papiery na rower.

W pierwszej chwili wziąłem to za żart, ale z miny służbistów wniosłem, że sprawa jest poważna.

— Jakie papiery?? — pytam, szczerze zdziwiony.

— Noo, numer rejestracyjny pojazdu i jakieś papiery.

— Ale ja nie mam żadnych papierów ani numeru. Może panowie obejrzą paszport?

Sięgnąłem do torby i podałem dokument.

— Nie maasz numeeeru — odpowiedział mężczyzna, przeciągając głoski. — To niedobrze, niedobrze, będziemy musieli zarekwirować pojazd.

— Jak to zarekwirować? Ale to nie pojazd, to rower, on nie potrzebuje numeru!

— Wszystko, co po drodze jedzie i nie jest owcą albo kozą, ma mieć numer.

— Ale jaki numer? Panowie, to tylko rower! — patrzę osłupiały, ale miny policjantów pozostają niewzruszone.— Numer, numer, może ja mam numer? Jest jakiś na ramie, tylko musiałbym zdjąć sakwy i zobaczyć, rama ma numer, jak mogłem zapomnieć, jest numer! Zaraz będzie numer!

— To jest ten numer, czy go nie ma?

— Jest, oczywiście, że jest, świetny, dobry numer! — i już wziąłem się za odczepianie sakw i obrócenie roweru do góry kołami.

— To proszę to wypełnić — jeden z policjantów wręczył mi kartkę.

W rubryce pojazd i marka wpisałem: Dynamics. Numer rejestracyjny: PL 666. Współtowarzysz(e): Rafineria i Kermit.

Po dopełnieniu formalności, stróże prawa zrobili się wielkoduszni. Nalegali, abym zostałem z nimi na posterunku, albo chociaż rozbił namiot gdzieś w pobliżu; właściwie nie wiem, czemu nie skorzystałem, bo koniec końców okazali się bardzo mili.

— Po drodze nic nie ma, droga do Villa Union długa i do tego pod górkę, niedługo się ściemni, a tutaj nie uważają zbyt na drodze, rozjadą cię,

lepiej zostać z nami.

— Ale przecież po drodze do Villa Union jest jeszcze jakaś miejscowość?

— Tak, Guandacol, ale tam nic nie ma.

— No to rozbiję się przy drodze, mam namiot, znajdę gdzieś dobre miejsce.

— Takie noclegi na dziko wcale nie są bezpieczne, zobaczysz, doigrasz się i będziesz żałował, że z nami nie zostałeś.

Nocleg może rzeczywiście nie był najlepszy, ale nie był też najgorszy, darmowy, bezpieczny, ciepły, nic wykwintnego, szeroki rów, w miarę równe podłoże, żadnych kolczastych roślin w pobliżu, piękne niebo upstrzone milionem gwiazd, czego chcieć więcej. Czasem wydaje mi się, że to jest wszystko, czego powinienem wymagać od życia.

Za Guandacol czekał mnie dość stromy podjazd, a jak jest taki podjazd, to potem zazwyczaj jest konkretny zjazd i chyba dlatego tak lubię te podjazdy — przez kilka kilometrów trochę potu, a potem pięknie z góry i droga dobra, można zapomnieć, że to tylko rower i że na ziemi, bo podczas szybkich zjazdów często wydaje mi się, że już się oderwałem i urosły mi skrzydła.

Przed Villa Union znów zatrzymał mnie patrol i kolejny raz chcieli ode mnie numer rejestracyjny pojazdu, ale tym razem, już bez zająknięcia, podałem odpowiednie dane, a w rubryczkę wpisałem PL 666.

Pomimo sjeisty, w mieście znalazłem otwartą budę z hot dogami, zjadłem trzy, zdrzemnąłem się pod drzewkiem i późnym popołudniem byłem gotowy, by ruszyć dalej.

Na horyzoncie przybliżały się skąpane w słońcu wzgórza, było ciepło, bezwietrznie, w głowie spokój, serce biło spokojnie, jechałem wznoszącą się powoli malowniczą drogą w stronę Cuesta de Miranda.

Kolorowe, czerwono-brunatne skały, upstrzone gdzieś kaktusami, wszystko dokoła przesycone ciepłymi barwami, może stąd ten dobry nastrój, spokój, jasne myśli, znów wszystko na swoim miejscu, jaki piękny jest świat, banały w głowie, może to te hot dogi, w końcu w Villa Union zjadłem trzy *completos special*, pytałem, dlaczego *special*, ale sprzedawca tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu, może to ten czerwony rarytas z hot dogą, cokolwiek to było, tak mi się dobrze jechało, że nastąpiła noc, a ja ciągle nie miałem ochoty się zatrzymać.



W stronę Cuesta de Miranda. Na południe od Chilecito



W stronę Cuesta de Miranda. Na południe od Chilecito

Potem przyszło mi do głowy, że nic nie widzę, a droga piękna, to może lepiej jednak jechać w dzień i popatrzeć dokoła, zamiast w siebie, więc zatrzymałem się wreszcie obok jakichś zabudowań, jedna latarnia, w budynku ciemno, nawet jeśli ktoś tam mieszkał, to dochodziła jedenasta w

nocy, już na pewno od dawna wszyscy spali, nie chciałem nikogo budzić, w razie czego rano się będę tłumaczył.

No i rzeczywiście, bladym świtem ktoś zaczął nawoływać, nie chciało mi się wygrzebywać z namiotu, pięknie i wygodnie się spało, zły byłem, ale nie będę udawał, że nikogo nie ma w domu, namiot sam się nie rozstawił, a jak nie wyjdę, to pewnie głowa albo i więcej wejdzie do środka, to już może lepiej wyjść.

O! Pan *cowboy*! Albo raczej powinienem napisać, pan *gaucho*. Dzień dobry panu, przepraszam, noc, ciemno, późno, zmęczony, nie chciałem budzić, nie znam drogi, rower, Polska, Niemcy, przyjaźń polsko -argentyńska, gościnni ludzie, piękny koń, piękne sombrero, takie tam, pan przytakiwał, coś mówił, ale prawie nic nie mogłem zrozumieć, czy to w ogóle był hiszpański, czy *quechua*, czy może mix, nawet nie jestem też pewien, czy on rozumiał mnie, ale wyglądał bardzo życzliwie i uśmiechał się dużo, czasem znajomość języka wcale nie jest potrzebna.

Mężczyzna w końcu zrezygnował z prób porozumienia, ale wydawało mi się, że nie ma nic przeciwko temu, że rozbiłem się prawie na jego podwórku.

Zjadłem płatki, zwinąłem namiot i znów ruszyłem na Cuesta de Miranda. Wbiłem się w podjazd, z nadzieją na piękny lot ku dolinie za przełęczą, ale niestety, nadzieje były bardzo płonne. Z wysokości 2020 metrów n.p.m. droga rzeczywiście prowadziła w dół, ale nawierzchnia nie pozwalała na rozpędzenie roweru szybciej niż do trzydziestu kilometrów na godzinę. Poprzeczne muldy skutecznie hamowały moje próby lotu i wytrzęsły mnie okrutnie aż do samego Nonogasta.

Do Chilecito dojechałem późnym wieczorem, chciałem tam przenocować dwa dni i zregenerować trochę siły. Przemiała pani z okienka informacyjnego, znajdującego się na głównym placu miasta, pomogła mi wyszukać tanie schronisko, o którym, o dziwo, nie wspominał przewodnik. W schronisku prawie nikogo nie było, dostałem pokój z czterema łózkami, na trzech rozłożyłem rzeczy, a czwarte zająłem dla siebie.

Na kolację przyrządziłem makaron z fasolą, który mogłem przygotować w dostępnej dla gości kuchni. Z ciepłym posiłkiem zasiadłem w jadalni, gdzie troje turystów z zapamiętaniem oglądało wylewający się z *caja tonta* bełkot. Z jakichś niezrozumiałych dla mnie względów, dla większości populacji na świecie, telewizor stanowi nieodłączny substytut rzeczywistości, choć z drugiej strony, nie ma co negować czy wartościować; dla niektórych to życie, dla mnie strata czasu.



Przemówienia, parady, zabawa, czyli uroczyste obchody Dnia Niepodległości w Chilecito



Przemówienia, parady, zabawa, czyli uroczyste obchody Dnia Niepodległości w Chilecito

Makaron był pyszny, nawet argentyńskie superniusy nie mogły mi popsuć kulinarnych doznań. Betancour uwolniona, lodowiec Perito Moreno się

przełamał, ale prawdziwym smaczkiem, informacją dnia, była wiadomość, że w jednej ze szkół uczniowie podpálili nauczycielce włosy, po czym rzucali w nią napompowaną prezerwatywą, wszystko oczywiście odpowiednio sfilmowali telefonem komórkowym.

From the sublime to the ridiculous, albo odwrotnie, bo następnego dnia święto narodowe, Dzień Niepodległości, parady, przemówienia, lody i gauczowie, czyli typowy jarmark, ale i tak wygrały krótkie spódniczki, kilkadziesiąt długonogich cheerleaderek, tylko skąd oni wzięli tyle zgrabnych kobiet?

Dostałem malutką tasiemkę z flagą Argentyny, wpiąłem sobie w klapę, czemu nie, pospacerowałem między oficjelami, miałem duży aparat, chyba wzięli mnie za pismaka, bo stałem za barierkami, tam, gdzie nikogo nie wpuszczali, a mnie nikt nie wyrzucał.

Nie rozumiem tych parad, bliższy mi Vonnegut i jego pomysł z chrumkaniem; zapraszali mnie na bankiet, jako fotografa, ale miałem już dość, wróciłem do hotelu i posiedziałem do wieczora w cichym patio, czytając lokalne magazyny i zbierając siły na dalszą jazdę.

Rankiem niespodzianka w kuchni. Ktoś wyjadł moje zapasy z lodówki. Trudno, myślę, smacznego, trzeba się cieszyć, że chociaż zostawili suche bułki i neskę. Nie samym chlebem jednak człowiek żyje, poszedłem więc jeszcze raz na zakupy.

Wróciłem z okazałymi zapasami i rozsiadłem się przy stole, przy którym siedziała już jakaś kobieta. Szczupła, żyłasta, na oko pod sześćdziesiątkę.

— *Homemade* — mówi, częstując mnie marmoladą.

Jak domowe, to czemu nie, pomyślałem i choć już trochę miałem dość marmolad na śniadanie, spróbowałem. Kobieta była bardzo zdziwiona, że ja z Polski, pyta czy komunizm już upadł i czy jest bezpiecznie, dużo jeździ, spotyka Amerykanów, Niemców, Szwajcarów, Francuzów, ale Polaka po raz pierwszy, mówiłem do niej w *castellano*, dobrze poćwiczyć język, ona mówiła po angielsku, dobrze poćwiczyć język, po jakimś czasie przysiadł się skacowany hipster i zapytał, czy jesteśmy z Izraela.

Ze spakowanym rowerem poszedłem jeszcze po hot doga na drogę, którego cena, w porównaniu z dniem poprzednim, spadła o połowę. Wczorajszą sprzedawczynię, ufarbowaną na zielono panią, zastąpił starszy, siwiejący mężczyzna. Podając mi gorące bułki zapytał, czy jadę na północ, a kiedy przytaknąłem, dorzucił, żebym uważał na *el deserto*. Pustynia pustyni nierówna, pomyślałem, ale przytaknąłem, że tak, oczywiście, będę bardzo na pustyni uważał.

Około południa ruszyłem w drogę. Teren nie rozpieszczał, w palącym słońcu pokonywałem kolejne, krótkie podjazdy.

Późnym wieczorem zapukałem do pierwszych zabudowań w San Blas. Drzwi otworzył starszy mężczyzna, standardowe pytania, nie ma sprawy, pewnie, że możesz się tutaj rozbić, niczego nie potrzebujesz, nie, mam wszystko, tylko poproszę o butelkę wody, namiot rozstawiłem na podwórku, ziemia twarda, ale można go rozłożyć bez wbijania śledzi, nie jest wtedy zbyt mocno naciągnięty, ale padać w nocy nie będzie, światło w domu szybko zgasło, nikt o nic nie pytał, nawet skąd i dokąd jadę, woda dobra, makaron z fasolą na kolację jak zwykle wyborny, nie wiem, czy były jakieś myśli, nawet jeśli, to puste, jałowe, jak w sumie większość codziennych myśli.

Rankiem już prawie ruszałem dalej, kiedy z domu wyszedł mężczyzna i zaprosił do środka na śniadanie. Zjadłem już swoje płatki, ale pomyślałem, że chętnie napiłbym się herbaty.

— Z Chilecito jedziesz, tak, znam te okolice — zaczął mężczyzna, kiedy już usiedliśmy przy stole w kuchni. — Sam kiedyś jeździłem tam rowerem, jak byłem młodszy, ale dróg takich dobrych nie było, a bywało, że i na piechotę się szło, raz doszedłem w dwa dni, ale nocą trzeba też było iść, pojechałbym z tobą, gdybym był młodszy — odprowadził mnie kawałek, pokazał ciekawe rzeczy po drodze. — Droga z Belen do Santa Maria ciężka, ale bym pojechał, zawsze lepiej w towarzystwie. Nie lepiej? Lepiej, tylko trzeba wiedzieć, z kim się jedzie, jak z byle kim, to rzeczywiście lepiej samemu jechać, ale z tobą pojechałbym kawałek, wzięłbyś mnie?

Kilka poszarpanych wspomnień, mglistych, niewyraźnych, już nawet nie pamiętam, jak wyglądał, smutne oczy, na zatrzymanym kadrze andyjskiej kreskówki, znów poczułem bezcelowość wokół, ten człowiek, ze wzrokiem ciągle utkwionym we własne spracowane dłonie. Chciałem zabrać go ze sobą, o co mi chodziło, dlaczego nie mogłem się ruszyć, gniotłem rękawiczki w dłoniach, podnosiłem do ust pustą filiżankę, odkładałem, przeciągałem wyjazd, zgęstniało w pokoju, wreszcie droga, powietrze, choć w myślach duszno, karmelowe rogaliki po sześćdziesiąt groszy w przydrożnym zajeździe, to niech pan dorzuci jeszcze, w zimie zimno? Co on gada, przecież jest piętnaście stopni, słońce praży, w zimie ruch niewielki, Argentyna piękna, co?

Pusto, gorąco, asfalt przede mną faluje, znów widzę jakieś cienie, ale przecież nie ma drzew, może to przez jednostajność krajobrazu, prawidłowe funkcjonowanie mózgu wymaga otrzymywania zmiennych pobudzeń zmysłowych, trzeba się zatrzymać, może jakieś podskoki, wymachy ramionami, fajnie jest, można się rozebrać, poopalać, to i tamto, nikt nie zauważy, zawsze trochę lżej, nie na długo, ale zawsze trochę. Tak mi się dobrze zrobiło, że chyba zasnąłem, inaczej zauważyłbym wcześniej, a nie dopiero nad głową, jakieś cienie, jeszcze nie do końca rozbudzony widzę dwóch astronautów.

— Hej, wszystko w porządku?

Unoszę głowę, nie, to motocykliści.

— W jak największym.

— Myśleliśmy, że zasłabłeś. Masz wodę, niczego nie potrzebujesz, dokąd jedziesz?

— Nie, zdrzemnąłem się tylko, jadę do Belen.

— O, my właśnie stamtąd jedziemy. Za miastem będziesz miał podłóż drogę — dorzucił

drugi z mężczyzn. — Nieźle dziś smaży. Tam, gdzie pracujemy, jest zimno i śnieg, a tutaj upał prawie.

— Śnieg?? Gdzie? — zainteresowałem się.

— Na przełęczy San Francisco, na przejściu granicznym. Zakręt już minąłeś, musiałeś widzieć drogowskaz, kilka kilometrów stąd na północ. Nie chciałeś jechać do Chile?

— Jadę z Chile, może jeszcze wrócę, tylko nie wiem, którym przejściem, na razie chcę pojechać do Boliwii.

— Sprawdź wcześniej, czy przejścia są otwarte, bo niektóre zimą nie funkcjonują. Przełęcz San Francisco jest na razie otwarta, ale jak spadnie dużo śniegu, to granica przez dzień, dwa, może być zamknięta. Gdybyś się rozmyślił i ruszył stąd do Chile, to pytaj na górze o Pablo. Nawet jak śnieg spadnie, to jest co zjeść, wypić i góry piękne dokoła.

Podziękowałem grzecznie za zaproszenie, ale tym razem planów nie zmieniłem i kontynuowałem drogę do Belen. Do miasta dojechałem już w zupełnych ciemnościach. Cuchnące, brudne, szare, zgniłe, choć w półmroku przydymionych świateł wyglądało zapewne gorzej niż za dnia.

Maleńki *hospedaje*, do którego zaszedłem za namową spotkanej kobiety, okazał się prywatnym domem wykorzystywanym w celach nie tylko noclegowych. Ściany były cienkie, ale byłem tak zmęczony, że wszystko brzmiało jak kołysanka.

Śniadanie dla odmiany zjadłem w taniej jadłodajni. Cztery *empanadas* w towarzystwie mężczyzny, który zaprosił do stolika. Przysiadłem się do niego, na stole otwarta cola, dwa wina i jedna butelka wódki. Za alkohol podziękowałem, ale colą chętnie się poczęstowałem. Co napisać o człowieku, który wygląda, jakby był już tylko cieniem, jakby nie było go wcale. Był zaprzeczeniem chęci życia. Bełkotał, niewiele mogłem zrozumieć, pytałem, dlaczego, pytanie oczywiście pozbawione sensu, coś się stało, pokazywał mi zdjęcie kobiety, aż taki banał? A niech tam, wypiję kieliszek, nic się nie stanie, a pan nalega, widać, że zrobiło mu się lepiej, mocna? Trochę tak, nie przywykłem, wódki nigdy nie lubiłem, już nawet na mnie nie patrzy, jestem przezroczystry, ciągle mówi, ale przerwy dłuższe, znów nie mogę się ruszyć, krótki dotyk, głowa na stole, półmrok w środku, a słońce na

zewnątrz takie jasne, takie piękne, ciepłe, jeszcze jestem, trzeba się cieszyć, niedługo mnie nie będzie, kto wie, może i za chwilę, jeszcze jedna noc, kołysanka w wersji dla dorosłych i ruszam do Świętej Marii.

Od rana ostro pod górkę, tego mapa nie pokazywała, asfalt za miastem zwinęli i zaczęła się szutrówka, wiatr mnie do rowu spychał, piaskiem ciskał, stromo jak cholera, kto tę drogę budował i dla kogo, skoro nikt nią nie jeździ?

Trzy paskudne dni do Santa Maria, sto osiemdziesiąt kilometrów, dobrze, że kapliczki z wodą były, *santos populares*, współcześni uzdrawiacze, martwi, a ciągle żyją, wizerunki dawnych bogów zdecydowanie mniej popularne, niż te niegdyś żyjące, Deolinda Correa, symbol miłości i rodziny, opiekunka podróżnych, kościół nie uznaje? A co mu do tego? I dlaczego nie uznaje?

Ciało Deolindy wraz z jej maleńkim synkiem znaleziono w latach 40. XIX wieku. Synek przeżył, ssąc pierś matki, ciągle pełną mleka. Wiele lat później, szukający zaginionego stada bydła pasterze natknęli się na grób Deolindy i pomodlili się do niej o pomoc. Bydło znaleźli, a z wdzięczności, wybudowali małą świątynię, która z czasem stała się miejscem kultu i pielgrzymek. La Difunta (zmarła) Correa stała się patronką podróżnych, którzy przy każdej poświęconej jej kapliczce zostawiają butelkę z wodą. Wiele razy natykałem się na te miejsca kultu, obstawione setkami wypełnionych życiodajnym płynem plastikowych butelek.

Z błogosławieństwem Difunty dojechałem do Santa Maria. W mieszczącym się na centralnym placu biurze informacyjnym zapytałem, gdzie mógłbym tanio przenocować, ale wszystkie proponowane miejsca miały horrendalne ceny. Nie pozostawało mi nic innego, jak spróbować znaleźć jakąś prywatną kwaterę. Zapytałem pierwszą napotkaną osobę, która skierowała mnie do Dony Amelii.

Bramę otworzyła bardzo zadbana kobieta, z której miny wywnioskowałem, że wzięła mnie co najmniej za włóczęgę bez gorsza. Od kilku dni wodę używałem jedynie do picia i gotowania, więc rzeczywiście mogłem wyglądać nie najlepiej. Usłyszałem, że nie ma wolnych pokoi, zapytałem więc o możliwość rozbicia namiotu, wskazując stojący nieopodal rower. To chyba trochę ją przekonało, że nie jestem bezdomnym i zaproponowała patio. Po rzeźnickim odcinku z Belen chciałem się trochę zająć rowerem, ale najpierw późna kolacja i wizyta w kafejce internetowej.

Zginął Bronisław Geremek. Żalodne wpisy na forach internetowych, właściwie po co ja to czytam, jacy ludzie są podli czasem, świat oczywiście kręci się dalej. Piwo Salta Negra pyszne, wróciłem na patio, piękny księżyc, ciemny strumień w ustach, smak Salty, której i tak nie zobaczę, już zdecydowałem, że ruszę w góry, nie jadę do Salty, nie jadę do Boliwii, może później, na razie wrócę do Chile. Hałas z pokoju obok wylewa się przez okna, bazarowy język, nie mam ochoty na zabawę, nie mam ochoty na

towarzystwo, *don't speak, no abla* i mam święty spokój, może to i niemiłe, ale czułem się zupełnie niezdolny do tworzenia słów mówionych, bo w środku oczywiście wrzało, jak zwykle, choć niekoniecznie zawsze świadomie.

Rozdział 10

Rankiem pożegnałem panią Amelię i ruszyłem na południe. Miało być *mucho lindo*, ale autorowi przewodnika chyba coś się pomyliło, choć może w samochodzie było przyjemnie, ale na rowerze trochę mniej, bo Ruta 40 zaraz za miastem zamieniła się w szutrówkę, do tego mocno zapiaszczoną, przez co przez pierwsze trzydzieści kilometrów więcej rower pchałem, niż na nim jechałem.

Późnym popołudniem dojechałem do ruin Quilmes. Przewodnik opisywał je jako jedną z największych atrakcji w okolicy. Zazwyczaj taka informacja wystarczy, abym wiedział, gdzie nie jechać i co omijać szerokim łukiem. Być może jednak, słońce tego dnia grzało za mocno i coś przestawiło mi w głowie, bowiem, na przekór sobie, postanowiłem ów przybytek odwiedzić.

Obawiałem się, że nie znajdę drogi, ale zjazd do ruin był dobrze oznaczony. Podjechałem na parking, zaparkowałem rower, opłata za wejście co łaska. Z warownego miasta Calchaqui, liczącego kiedyś dwieście tysięcy mieszkańców, zostały prawie same fundamenty.

Być może z racji wyuczzonego, acz nigdy niewykonywanego zawodu, powinienem być bardziej zainteresowany ruinami, ale jakoś to miejsce nie pobudziło mojej wyobraźni. Zrzuciłem to na karb ignorancji. Choć właściwie odjeżdżałem z Quilmes zadowolony, głównie za sprawą spacerujących lam i ogromnych kaktusów kandelabrowych, które wydały mi się o wiele ciekawsze, niż pozostała po warowni kupa kamieni.

Do Cafayate pozostało mi pięćdziesiąt kilometrów, ale ponieważ nawierzchnia bardzo się poprawiła i podjazdów po drodze nie było, jeszcze tego samego dnia dojechałem do miasta. Zachęcony opisem z przewodnika, zameldowałem się w hostelu Huayra Sanipy.



W Cafayate



W Cafayate

Hostel obsługiwała *una pareja de solteros*. Miła młoda dziewczyna, która nie

mówiła po angielsku i jej chłopak, który radził sobie trochę lepiej.

— Szczególnie wtedy, kiedy pojawiają się u nas niemówiący po hiszpańsku Amerykanie.

— Ciągle jeszcze jesteśmy na dorobku — tłumaczył, kiedy sączyliśmy mate na ocienionym patio. — Mieszkamy tu razem, ale to nie jest nasz budynek, wynajmujemy to miejsce. Dużo nie zarabiamy, ale można się utrzymać i bardzo lubimy ten hostel, prawie codziennie nowi ludzie przyjeżdżają. Latem w ogródku jest zielona trawa, a kiedy wprowadziliśmy się tutaj, był tylko piach...

Ciepłe słowa na drogę, małe zakupy w sklepie i ruszam w stronę Cachi. Kolejny gorący dzień, kolejne przebite dętki, nawet porządne, solidne, niemieckie gumy nie dają rady z argentyńskimi *pinchos*, łątek na szczęście w sakwach dostatek, można się poopalać, wulkanizując kolejną dziurę, czasem jakiś samochód przejedzie, zatrąbi, a zdarza się, że i zatrzyma. Cola albo fanta, pewnie, chętnie wezmę, woda i kalorie w jednym, nie, do Cachi już dziś nie dociągnę, zresztą nie muszę się nigdzie spieszyć, odbiję od czterdziestki i pojedę do Angastaco, zawsze trochę przyjemniej pod miastem, niż na pustej drodze. zabudowania niedaleko, chyba jeszcze nie miasto, zapukam, zapytam, niestety, nie chcą, abym się blisko rozbijał, nieprzyjemni jacyś, drudzy nawet drzwi nie otworzyli, trzeci kazali jechać do miasta, bo tam camping, ciemno się zrobiło, pomarańczowe światło latarni rozświetla obdrapany budynek, jest sklep, zajadę, zapytam.

— Dobry wieczór, podróżuję rowerem do Cachi, ale dziś już za późno, żebym tam dojechał, podobno jest tutaj gdzieś jakiś camping, nie wie pan może gdzie?

— Camping? Campingu nie ma, ale możesz zanoć u seniora Lopeza, on ma pokoje. — Odpowiada sprzedawca.

— A jak ja trafię do tego seniora?

— Poczekaj, zamknę sklep, to cię zaprowadzę.

— Nie, ja trafię, tylko proszę mi wytłumaczyć, gdzie, nie chcę przeszkadzać.

— Nie przeszkadzasz, zresztą i tak już zamykałem, senior Lopez mieszka niedaleko, ale tam trudno trafić, pójdę z tobą.

Przeszliśmy przez pół wioski, częściowo w zupełnych ciemnościach, wydawało mi się, że lewa strona była oświetlona, a prawa nie, rzeczywiście nie byłoby łatwo trafić.

— Dobry wieczór, czy mógłbym u pana rozbić namiot? — pytam, kiedy już doszliśmy na miejsce.

Senior Lopez coś odburknął, zrozumiałem tylko: chodź za mną, co potraktowałem jako zgodę, więc posłusznie poszedłem we wskazanym kierunku.

Doszliśmy do budynku, wyglądającego na jakiś robotniczy hotel, mężczyzna otworzył drzwi, zapalił światło i mówi, że tutaj mogę spać.

— Ale ja chciałem w namiocie — oponuję.

— Jak chcesz, to możesz sobie w środku rozstawić namiot, masz tutaj klucz, zamknij się, nikt tu nie wejdzie, jest łazienka, prysznic, ale z zimną wodą, bo turystów teraz zbyt wielu nie mamy i nie grzejemy, nocleg kosztuje pięć pesos, możesz zapłacić jutro, zostajesz?

Początkowo chciałem stamtąd odejść, wyraźnie przecież powiedziałem, że szukam miejsca na camping, ale po chwili pomyślałem, że miejsce jest przyjemne, ciche, suche, na zewnątrz coraz mocniej wiało, będę miał światło, podładuję baterie, poczytam sobie, a wszystko za jedyne pięć pesos. Zostałem.

Obudziłem się bardzo wcześnie, a dzięki temu, że nie musiałem składać namiotu, miałem bardzo wczesny start. W dzień wioska wyglądała o wiele atrakcyjniej. Piały koguty, jakiś mężczyzna przyjaźnie uchylił rąbka czapki, przygarbiona kobieta z chrustem, niesionym w wielkiej chuście, odpowiedziała dzień dobry, młody chłopak uśmiechnął się przyjaźnie. Powietrze było jeszcze rześkie, lekkie, niespiesznie wypełniało się gęstniejącym ciepłem i kolorami. Na otaczających mnie czerwono-brunatnych skałach cienie ustępowały światłu dnia.

Jechałem na południe po bardzo wyboistej, kamienistej, spalonej słońcem ziemi. Temperatura podnosiła się błyskawicznie. Po kilku przejechanych kilometrach zatrzymałem się, aby zdjąć kurtkę i wierzchnie spodnie. Podnosiłem rower z drogi, kiedy zza zakrętu dał się słyszeć tętent końskich kopyt. Za moment zobaczyłem sylwetkę galopującego mężczyzny. Wyglądał znajomo. Zaraz, zaraz, to senior Lopez!

— Zapomniałeś oddać klucz do budynku! — krzyknął mężczyzna.

Ojej, rzeczywiście, zamknąłem drzwi za sobą, a o kluczu zupełnie nie pomyślałem, tylko bezwiednie włożyłem go do torby z portfelem.

— Bardzo przepraszam, już oddaję — powiedziałem.

— Nie szkodzi, dobrze, że cię złapałem, myślałem, że będę cię gonił do samego Molinos.

Przeprosiłem raz jeszcze, ale pan Lopez nie wydawał się zły, nawet chyba był zadowolony, że udało mu się mnie dogonić.

— Jak tobie się chce na tym rowerze tak jechać, ja na koniu się zmęczyłem, goniąc cię, konia lepiej sobie kup i zostaw ten rower.

Dalsza droga była taka, że rzeczywiście zacząłem się zastanawiać nad zmianą środka transportu. Wyboista, kamienista nawierzchnia potwornie wytrzęsała rower i przy okazji mnie.

Oczekiwałem w miarę płaskiego odcinka aż do Cachi, ale teren okazał się bardzo interwałowy. Za Molinos czekał mnie ośmiokilometrowy, stromy podjazd, potem krótki zjazd i za moment znów pod górkę. Niestety, mimo najlepszych chęci musiałem się poddać i tego dnia do miasta już nie dojechałem. Zbliżał się wieczór, byłem zmęczony, kiedy więc zobaczyłem w oddali kilka zabudowań, nie wahałem się, tylko od razu udałem się w ich kierunku.

Drzwi otworzyła bardzo zdziwiona staruszka, na oko co najmniej osiemdziesięcioletnia. Usłyszawszy moją krótką, powtarzaną już jak mantra inwokację, kiwnęła głową, że oczywiście mogę rozstawić namiot. Na moją prośbę przyniosła wodę i dodając dobranoc, zniknęła za drzwiami.

Rankiem obudziło mnie pianie koguta. Prawie nad głową. Wyjrzałem z namiotu. Na podwórku, zamiatając obejście, krzątała się babcia, a przy piecu z *adobe* kręciły się dwie dziewczynki.

— *Buenos dias*. Jak senior spał? — zagadnęła staruszka.

— Dzień dobry, bardzo dobrze, cicho, spokojnie, nikt nie przeszkadzał.

— A, to pewnie my obudziłyśmy z rana, ale tak wstajemy wcześniej, trzeba chleba narobić, upiec i do miasta zawieźć.

— Nie, naprawdę już się wyspałem. Może mogę w czymś pomóc?

— Nie trzeba, wszystko już gotowe, najwyżej trochę chrustu jeszcze senior może przynieść, mnie już ciężko nosić, a dziewczynki przy piecu zajęte.

Chrustu dokoła domu było pod dostatkiem, zebrałem, ile mogłem i przyniosłem pod piec.

— A senior skąd przyjechał i dokąd jedzie? — zapytała babcia, jak już usiedliśmy z kawałkami sera pod rozpalonym piecem.

— Z Polski. I jadę do Boliwii, ale chyba najpierw do Chile i stamtąd do Boliwii.

— Z Polski? I za czym tak senior jedzie, czego szuka?

— Nie wiem, tak jadę, żeby jechać.

— Ale po co? To w tej Polsce tak źle, że trzeba z niej wyjeżdżać?

— Nie, nie jest źle — zaśmiałem się. — Zresztą nie uciekłem przecież, niedługo wrócę. A bardzo lubię jeździć rowerem i przyjechałem do Argentyny.

— Do Argentyny... — staruszka podniosła się i zaczęła dokładać do pieca. — A w domu nie tęsknią za seniorem? Żony nie ma, albo dzieci?

— Nie ma, dzieci też nie. A pani nie chciałaby do Polski przyjechać? — zmieniłem temat.

— Do Polski? Po co? A piece z *adobe* macie? Nie macie? No widzi, senior, sam widzi, po co ja miałabym tam jechać, do tej jakiejś Polski, nawet pieców nie macie... Tutaj mam wszystko. Całe życie tu mieszkam, ponad osiemdziesiąt lat, najdalej w Salcie byłam, sto kilometrów stąd na wschód i wystarczy. Tu mam wszystko. Spokój, ciszę, rodzinę, dom, zresztą *tengo miedo*.

— Boi się pani? Ale czego?

— Nie wiem, wszystkiego, ja nie lubię się włączyć, zresztą dobrze mi tu, wnuczki mnie odwiedzają, wiedzą, gdzie jestem, a jak bym pojechała w świat, to skąd by wiedziały, gdzie jestem? No, ale piec rozpalony, trzeba węgle wymieść i chleb włożyć.

Mokrą szmatą zawieszoną na patyku kobieta zebrała wypalone drewno ze środka pieca, a stojące obok dwie dziewczynki, wsunęły rozłożone na długiej szufli chlebki.



W drodze



Piec z *adobe*



Tradycyjny wypiek chleba

— Teraz trzeba szczelnie zamknąć — powiedziała, przykładając cienkie, metalowe blachy — i poutykać dziury szmatkami, o tak, poczekać trochę i

gotowe.

To powiedziawszy, westchnęła głęboko i przysiadła na ławce.

— Przynieście jeszcze sera — zwróciła się w stronę dziewczynek. — Dobry ser, prawda?

— Pyszny, teraz już się najadłem, ale chętnie wezmę na drogę. A te chlebki też będzie można kupić?

— *Claro*, pewnie, że tak, przecież wszystkiego same nie zjemy, dziewczynki wożą do miasta i sprzedają, po peso za sztukę, można potem za to mąkę kupić i sól, i cukier, i ludzie chętnie biorą, bo smaczne przecież i świeże, a w miastach to już coraz rzadziej ludzie pieką, leniwi się robią, mówią, że nie mają czasu, ale mają, w domach siedzą, telewizję oglądają, widziałam u moich córek, same nie robią, do sklepu pojadą i kupią, potem mówią, że nie mają czasu. Wnuczki teraz wakacje mają, przyjechały do mnie, pomogą trochę, a przy okazji nauczą się czegoś, może im się w życiu przyda, no, ale co ja tyle gadam, trzeba chlebki wyjąć.

Gorące bochenki powędrowały na stojące obok drewniane ławy.

— Trzeba przykryć, żeby muchy nie siadały — powiedziała kobieta przykrywając chlebki czystymi ścierkami.

— Podrumienią się jeszcze trochę, ale już i takie można jeść.

Dostałem jeden do ręki, odłamałem kawałek, pochuchałem, wgrzyłem się w chrupiącą skórkę. Pieczywo smakowało fantastycznie. Smak chleba, jego zapach, drażniący nozdrza, smak sera na podniebieniu i posmak mleka, dom, rodzina, rower, coś się stało z kolejnością, na razie nie da się odwrócić, na razie jest czas na drogę, lekki wiatr chłodzi ciało, nie chce mi się dalej jechać, ale w końcu trzeba dupsko ruszyć, nie chcę już nadużywać gościnności. Domownicy wrócili do codziennych zajęć, idę do namiotu, pakuję graty, siadam na rower i *que te vaya bien* na drogę. Znow interwałowy teren, pytam, kto budował tę drogę, spoglądam czasem na rower i zastanawiam się, jak to się dzieje, że się jeszcze od tych wstrząsów nie rozleciał. Nie oszczędzamy się obaj, chcemy do miasta dojechać, zjeść coś i ruszyć dalej, z przewodnika wynika, że Cachi to turystyczna mekka, i rzeczywiście, tylko skąd ci wszyscy ludzie się tam wzięli?

Jak to się dzieje, że wszyscy wydają mi się za czyści, za kulturalni, za mało realni, dlaczego drażnią mnie ich powolne ruchy znad suto zastawionych talerzy, pucharów z lodami, kieliszków z trunkami, dlaczego drażni mnie ich znudzone spojrzenie, przykryte cieniem z ronda wielkiego kapelusza albo bejsbolowej czapki, które wyłapuję, siedząc obok pod sklepem, jedząc chleb z marmoladą i popijając chrupiące kęsy czerwonym płynem o smaku zimnego kisielu.

Rozdział 11

Nawierzchnia się poprawiła, słońce jest, ale do upału daleko, powoli wjeżdżam na wysokość 3000 metrów n.p.m., *sorocze* mi niegroźne, od kilku dni zdobywam nieznacznie wysokość, aklimatyzacja będzie odpowiednia i nie powinienem niczego szczególnego odczuwać.

Przed przełęczą Abra del Acay, leżącą na wysokości 4895 metrów n.p.m. została jedna duża miejscowość — La Poma. Zjeżdżam z głównej drogi i kieruję się do rozciągających się na wschodzie zabudowań, aby uzupełnić zapasy na drogę. Następny sklep może się trafić najwcześniej za dwa dni, a może i za trzy, w San Antonio de los Cobres. Sklep niestety był zamknięty, ale za namową przygodnie spotkanej kobiety, idę do *hospedaje* El Acay i tam zjadam wielką *milanesę* z frytkami, popijając wszystko ogromnym dzbankiem kawy.

Za miasteczkiem wbiłem się w podjazd, który miał mnie wynieść kolejne dwa kilometry ponad poziom morza. Drogę urozmaicało przekraczanie płynących w poprzek strumieni i krótkie postoje na wyrównanie oddechu. Powyżej czterech tysięcy metrów już nie jedzie się tak lekko, jak na nizinie, organizm jeszcze się nie przyzwyczyił, w głowie znów mętne myśli. W oddali kolejny kamień, wydaje się rozrastać, może to rozgrzane powietrze tak go porusza i przekrzywia, ale coraz wyraźniej widzę, że to chyba jakiś człowiek idzie, może pasterz, ale przecież owiec już tu nie ma, od dawna zabudowania się skończyły, to kobieta, starsza pani, idzie w moją stronę i robi coś na drutach.

— Dzień dobry, a dokąd to senior jedzie? — pyta, kiedy zrównaliśmy się ze sobą.

— Jadę do San Antonio de los Cobres. A pani z daleka?

— Ja spod Antonio właśnie idę. Do miasta.

— Do Cachi? Ale to jeszcze ze sto kilometrów?

— Nie wiem, ile kilometrów, ale ze trzy dni jeszcze i dojdę, może dwa, bo z górki jest. Do miasta idę — mówi, a widząc moje zdziwione spojrzenie, dodaje: — Idę sprzedać trochę rękodzieła i na drutach jeszcze trochę robię, czapki mam i rękawiczki, i szaliki, w sam raz na zimę, może senior coś kupi?

— i rozkłada przede mną zawiniątko z robótkami.



Osobliwości argentyńskiej przyrody



Osobliwości argentyńskiej przyrody

Czapek było najwięcej, wybrałem jedną, podziękowałem za rękawiczki i szalik, ale dałem się jeszcze namówić na kupno sera.

— *I que te vaya bien!* — rzuciła na odchodne.

Postałem chwilę, patrząc, jak ruchomy kamyk się oddala, zniknął za zakrętem, do przełęczy daleko, na cztery dwieście łapią mnie jakieś zawroty głowy, ale jeszcze trochę i będzie z górki.

Na cztery pięćset oddycha się ciężko i robi mi się trochę słabo. Stoję i patrzę, jak z dołu, po wijącej się serpentynie, podjeżdża powoli jakiś samochód. Za chwilę zatrzymują się przy mnie młodzi Argentyńcy: dwie dziewczyny i dwóch chłopców. Proponują, że podrzucą mi część bagażu na przełęcz, zgadzam się bez wahania. Wrzucam sakwy do bagażnika i *arriba*. Bez ich pomocy tego dnia na przełęcz raczej bym nie wjechał.

Na górze robimy sobie wspólne zdjęcie, wieje mocno, chcą mnie zabrać ze sobą na wieczorną imprezę, mówią, że zamarzną w nocy, ale przecież teraz już z górki, mówię, nie szkodzi, że robi się ciemno, mam latarkę, zresztą, w razie czego rozstawię namiot i pójdę spać. Szkoda czasu na dyskusje, przebieram się szybko w ciepłe rzeczy, wieje mocno, rzeczywiście, za moment będzie ciemno, jeszcze wymiana adresów i mknę w dół. Nawierzchnia nie pozwalała na zbyt szybki zjazd. Zatrzymałem się w końcu na wysokości około 4000 metrów n.p.m. Rozbiłem namiot niedaleko drogi, czołówka niezbyt dobrze rozświetlała ziemię i nie byłem pewien, czy nie czyhają tam jakieś ostre kolce, a nie miałem już siły na szukanie lepszego miejsca, upewniłem się tylko, że nie będę spał na drodze i rozłożyłem domek. Byłem już tak zmęczony, że nawet nie gotowałem kolacji, zagrzebałem się w śpiworze i momentalnie zasnąłem.

Rankiem temperatura w namiocie wynosiła minus jednaście stopni. Mocno wiało, więc nie spieszyłem się bardzo ze wstawaniem. Oczekiwałem, że tego dnia, do samego San Antonio de los Cobres będę jechał z górki. Niestety. Po dojechaniu do drogi numer pięćdziesiąt jeden, okazało się, że muszę się zmierzyć z podjazdem, niby niewielkim, ale z potężnym wiatrem w twarz. Wiatr wzniecał ogromne tumany kurzu, ciskał po oczach piachem i małymi kamykami, do tego zaraz za zakrętem złapałem gumę, a po kilku kilometrach następną...

W końcu dojechałem do miasta, ale jedyną rzeczą, o jakiej myślałem, był odpoczynek i nocleg w jakimś osłoniętym od wiatru miejscu. Informacja, znajdująca się przy wjeździe do miasta, była niestety zamknięta. Wróciłem do opartego o ziemię roweru, rozłożyłem karimatę i wyjąłem przygotowaną rankiem herbatę z termosu. Kilka łyków ciepłego płynu i parę ciastek poprawiło trochę cyrkulację myśli.

Oddech miałem spokojny, aklimatyzowałem się prawidłowo, pomimo ponad 3700 metrów n.p.m. nie czułem żadnych ubocznych objawów związanych z przebywaniem na takiej wysokości. Termometr wskazywał dwa stopnie na plusie, było już późne popołudnie, więc chyba cieplej nie będzie.

Dokoła żywego ducha, wreszcie jakiś mężczyzna na horyzoncie, podjadę,

pan z żandarmerii, dziwi się, że rowerem jadę.

— *Mucho frio*. Nie za zimno w taką pogodę?

— Da się wytrzymać, w Polsce mamy surowsze zimy.

— W Polsce? Z Polski rowerem przyjechałeś?

— Nie, samolotem, potem do Santiago i teraz jadę do Chile.

— Do Chile? Pewnie przez Paso de Jama? Nie było łatwiej prosto z Jujuy jechać?

— Ale ja nie jadę z Jujuy, przyjechałem z Cachi i teraz chciałbym przejechać przez Paso de Sico.

— Paso de Sico? Ale tam po drodze nic nie ma, żadnych miast ani ludzi.

— No właśnie dlatego tamtędy.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— A gdzie nocujesz dzisiaj?

— Nie wiem, myślałem o *hospedaje* Palenque, może wie pan, gdzie to jest?

— Tak, chętnie cię tam zaprowadzę, to nie jest daleko.

Zwinąłem karimatę, zebrałem rzeczy i poszliśmy w stronę miasta.

— Uważaj na siebie i do zobaczenia — powiedział mężczyzna, kiedy już doszliśmy na miejsce. — Miasteczko jest maleńkie, na pewno się jeszcze potem spotkamy.

W hotelu Palenque, który według jednego z przewodników miał być najtańszy, nocleg kosztował sześćdziesiąt pesos, tańszych pokoi podobno nie mieli.

Poszedłem więc szukać szczęścia gdzie indziej, tym bardziej że po drodze mijaliśmy kilka innych, o czym informowały kolorowe szyldy.

Hostal del cielo — trzydzieści pięć, prawie zostałem, ale pomyślałem, że sprawdzę jeszcze kilka. Koniec końców zatrzymałem się w *hospedaje* La posta de los Andes, za dwadzieścia pięć pesos za noc.

Właściciel zaprowadził mnie do pokoju bez okien, dwa łóżka, ogromna ilość koców, zapachy nie najpiękniejsze, ale w taki ziąb kto tam myśli o myciu.

Rozpakowałem rzeczy, po czym poszedłem zapłacić za nocleg. W sąsiednim pokoju, gdzie miał być właściciel, nikogo nie było. Na stole leżał zeszyt z pamiątkowymi wpisami, zacząłem go bezwiednie przeglądać. Trzy lata wcześniej nocowali tutaj trzej Polacy.



Odcinek między Cachi a La Pomą



Odcinek między Cachi a La Pomą

Wreszcie pojawił się mężczyzna okutany w kilka warstw grubych swetrów.
— Że też w taki ziąb chciało ci się tutaj przyjeżdżać — zaczął. — Trzymaj,
napij się, dobrze ci zrobi na tę pogodę.

Wziąłem podaną butelkę, łyknąłem solidnie, oczy lekko wyszły z orbit.

— *Pisco*, dobre?

Pokiwałem głową, że świetne, a zanim oddałem butelkę, zerknąłem na etykietkę. No tak, trzydzieści trzy procent, mógł mnie uprzedzić, że nie częstuje mnie kompotem.

— Chilijski. Spokojnie tutaj, prawda?

— Dopiero co przyjechałem, ale chyba tak, wydaje się spokojnie.

— Ja lubię spokój, ciszę, nawet jak jest zimno, to da się wytrzymać. Studiowałem kiedyś grekę i łacinę, nawet dostałem stypendium, żeby w Rzymie studiować, ale w końcu zrezygnowałem. Tutaj spokojniej, nie interesowało mnie, żeby tak daleko jechać, po co się tak włączyć. A tobie tak się chce włączyć?

— Nie wiem, czy mi się chce.

— To łyknij sobie jeszcze.

Wróciłem do pokoju, dorzuciłem jeszcze jedną warstwę ubrania i wyszedłem na spacer po mieście. Spotkałem pana żandarma, miał rację, miasteczko małe, pozdrowił mnie, zaprosił do restauracji, którą jego znajoma otworzyła specjalnie dla mnie, bo innych turystów nie było. Napaliła w piecu, zrobiło się cieplej, włączyła telewizor.

— Zatrzymałeś się u *el veterano*?

— U kogo? — zapytałem, pochylony nad talerzem z kurczakiem.

— U weterana — powtórzył z uśmiechem, a widząc w moich oczach pytanie, dodał: — Nazywam go weteranem, *porque es viejo*, bo jest stary.

— Tak, zatrzymałem się u niego, dostałem pusty pokój, bez okien, może to i lepiej, będzie cieplej.

— Zdecydowałeś się jechać przez Paso de Sico czy jednak pojedziesz na północ w stronę Paso de Jama?

— Nie wiem, pewnie pojedę przez Sico, a da się przejechać?

— Pewnie, że się da, chyba że cię wiatr porwie — uśmiechnął się i dodał: — Uważaj, bo tam mocno wieje, ale po drodze przed przełęczą będzie jeszcze wioska, jakieś sześćdziesiąt kilometrów stąd, gorzej po drugiej stronie, bo tam prawie nic nie jeździ.



W San Antonio de Los Cobres



Kolacja w San Antonio de Los Cobres

Rankiem wybrałem się na małe zakupy do sklepu. Niestety, był zamknięty. Dokoła wszystko zmrożone, kałuże, ściany budynków, mała rzeczka. Przeszłowałem z nogi na nogę, szczelnie opakowany w puchową kurtkę oraz spodnie i kiedy już miałem wrócić do *hospedaje*, z budynku wyszła jakaś kobieta.

— Nie wie pani, o której otwierają sklep?

— Oj, dziś to nie wiem, czy otworzą, *mucho frio*, bardzo zimno jest. Może później otworzą, jak się cieplej zrobi.

Myślę sobie, że wczoraj byłem tu koło jedenastej i rzeczywiście było trochę cieplej. No nic, trzeba będzie spróbować później. Akurat zdążę spakować rzeczy i przyjadę już prosto z rowerem.

Wracam do pokoju, ale widzę, że pani idzie za mną.

— A skąd jesteś? — pyta, kiedy zrównaliśmy kroki.

— Z Polski.

— Z Polski? Oj, nie wiem gdzie to jest, ale pewnie daleko. A po co przyjechałeś do San Antonio?

— Bez szczególnego celu. Było mi po drodze, bo teraz jadę do Chile.

— Autobusem?

— Nie, rowerem.

— Rowerem? O, to może czapkę chcesz kupić? — Widzę, że sięga do torebki.

— Nie, dziękuję, mam już dwie.

— To może rękawiczki?

— Nie, też już mam.

— To może szalik?

Chciałem już powiedzieć, że też mam, ale było coś takiego w tej kobiecie, że pomyślałem że chciałbym jednak coś od niej kupić. W końcu zdecydowałem się na parę rękawiczek i obiecałem, że jak jeszcze się na coś zdecyduję, to zapytam w sklepie, gdzie mieszka Conchita i oni mi pokażą.

Sklep otworzyli przed południem. Do tego czasu zdążyłem spakować wszystkie rzeczy i przygotować się do dalszej drogi. *El veterano* usiadł obok i przyglądał się, jak przepakowywałem sakwy. Tłumaczył coś jeszcze o drodze, rysował na piasku esy floresy, z rozjazdami, zakrętami, budynkami, myślałem, że przecież jest tylko jedna droga — numer pięćdziesiąt jeden i jeśli są budynki, to puste, ale słuchałem cierpliwie i przytakiwałem, nie do końca zresztą wszystko rozumiejąc. Właściciel hostelu radził zostać jeszcze w San Antonio, bo zła prognoza pogody, jakiś front nadciąga, będzie mocno wiać i będzie jeszcze chłodniej, lepiej przeczekać, albo najlepiej wsiąść w autobus, pojechać do Jujuy i stamtąd dopiero na rowerze.

Z dobrych rad nie skorzystałem, ale żałować miałem dopiero później.



Właściciel *hospedaje* La Posta de los Andes

Rozdział 12

Droga za miastem szutrowa, wyboista, ale to nie nawierzchnia była najgorsza, tylko przenikliwy wiatr i zimno. Ruszyłem w puchówce, by po dziesięciu kilometrach zdjąć ją z powodu przegrzania. Teren jednostajnie, choć uparcie wznosił się coraz wyżej, słońce prażyło mocno, a wiatr jakby się wzmacniał. Dobrze radził *veterano*, aby posiedzieć jeszcze ze dwa dni i odpocząć, ale było trochę za późno, żeby się wracać.

Po dwudziestym kilometrze podjazd już nie był taki łagodny, mocny wiatr chwilami uniemożliwiał jazdę, coraz częściej musiałem pchać rower, ciesząc się z każdego pokonanego zakrętu.

Przeszywające zimno i brak siły, to wszystko co pamiętam z tego dnia. Może to wysokość robiła swoje, może nie byłem aż tak dobrze zaaklimatyzowany, jak myślałem, w głowie ciągle miałem obraz wioski Olacapato, zabudowań, ciepłego posiłku, namiotu i śpiwora. Powoli zaczęło się ściemniać, a wioski nie było. W końcu, wyczerpany, zszedłem z roweru i pchałem go po piaszczystej drodze.

Nie wiem jak długo, czas się rozmył, rozwlekleł, rozszerzył, wreszcie dostrzegłem nikłe światła na horyzoncie. Jasne kropki bardzo powoli nabierały kształtów latarni.

Dojechałem do zabudowań. Może lepiej nie pytać? Nie pukać? Jak mnie skierują z powrotem na drogę albo psami poszczują?

Zapukałem. Otworzył lekko przestraszony mężczyzna, zza którego pleców wзираło kilkoro dzieci. Zacząłem standardowy monolog, ale już po pierwszych słowach wiedziałem, że będzie dobrze. Nie musiałem nic mówić. Z jego oczu wyczytałem, że nie wyrzucą mnie z powrotem na drogę, że pozwolą przenocować w pobliżu. Mężczyzna zapytał, czy mam wodę, jedzenie i czy chcę się umyć. Spojrzałem z wdzięcznością, poprosiłem tylko o wodę. Za chwilę wrócił z wielkim termosem.

— Chodź, pokażę ci, gdzie będziesz mógł przenocować.

Zaoponowałem, powiedziałem, że mogę spać w namiocie.

— A gdzież tam w namiocie będziesz spał w taki ziąb, woda zamarzła w bani, zaprowadzę cię do magazynu, w domu mamy mało miejsca, ale w magazynie też ciepło i miejsca dość, zaraz doniosę ci jakieś koce.

— Ale ja mam śpiwór, nie trzeba.

— Jak chcesz, ale i tak przyniosę, to sobie na podłodze rozłożysz. Od ziemi też ziąb idzie.

Przeszliśmy pustawę, bardzo skąpo oświetlone podwórko i doszliśmy do

drugiego budynku. Mężczyzna otworzył drzwi. Włączył kontakt, wskazał ręką pomieszczenie i powiedział, że mogą spać, gdzie tylko zechcą. Nikłe światło z małej żarówki nadało rzeczom wyraźniejsze kształty. W środku rzeczywiście walało się trochę sprzętów, ale miejsca było aż nadto.



San Antonio de Los Cobres



San Antonio de Los Cobres

Wypiłem herbatę, zalałem chińską zupkę, siorbałem ciepły makaron, myśląc już tylko o przyjęciu pozycji horyzontalnej i spokojnym śnie. Jeszcze kwadrans i zasnąłem jak kamień.

Wstałem późno, spałem prawie dwanaście godzin. Wyszedłem na podwórko, ale nie było śladu nikogo, z komina pobliskiego domu unosił się lekki słup dymu. Przestało wiać albo jeszcze nie zaczęło, bo jest dość wcześnie. Trzeba się sprawnie spakować i ruszać, dopóki nie ma wiatru.

Wróciłem do swojej noclegowni, zjadłem płatki z mlekiem i rodzynekami, poszedłem pożegnać się z gospodarzami, ale nikt nie wyszedł, kiedy pukałem...

Pierwsze dwadzieścia kilometrów, pomimo piaszczystej drogi, pokonałem zadziwiająco łatwo, aż sam się zdziwiłem, ale od mniej więcej południa wiatr coraz bardziej przybierał na sile. Dojechałem do zakrętu, na którym napisano, że do *aduany*, czyli przejścia granicznego, zostało pięćdziesiąt kilometrów, więc powinno się ono znajdować około dziesięciu kilometrów przed przełęczą.

Do południa średnia prędkość skoczyła prawie do jedenastu kilometrów na godzinę. Godzinę później spadła do dziewięciu, a po czternastej wiatr robił już ze mną, co chciał. Podmuchy były momentami tak silne, że kładły mnie na ziemię, były odcinki, że dawałem za wygraną i pchałem rower pod wiatr, bo szedłem z tą samą prędkością, z jaką jechałem, a przy okazji pracowały też inne partie mięśni.

Na odcinkach z górki jechałem dziesięć na godzinę. Piach czułem już w ustach, uszach i oczach.

Około szesnastej zatrzymałem się na drugie śniadanie, nie było gdzie się ukryć, żadnych naturalnych kryjówek, o rozbiciu namiotu nie było mowy, schowałem się pod kurtkę, leżąc na ziemi, skonsumowałem kanapkę z piaskiem. Myślałem nawet, żeby już tak leżeć, zasnąć i przeczekać, wtopić się w krajobraz, zostać razem z wiatrem, piaskiem, rowerem, w końcu wstałem, zostało mi jeszcze kilkanaście kilometrów, rozpocząłem nową formułę jazdy. Pchałem rower przez około dwieście metrów, potem zatrzymywałem się na złapanie oddechu, znów pchałem i tak przez prawie sześć godzin. Dosłownie czułem przed sobą naturalną barierę, ścianę wiatru, przez którą z wysiłkiem musiałem się przedzierać.

Paradoksalnie, im mniej miałem siły, tym bardziej uparcie parłem do przodu. Zapadł wieczór, ale ciągle wierzyłem, że uda mi się dotrzeć do *aduany*. Zabudowania posterunku granicznego dostrzegłem z odległości kilku kilometrów, czy też raczej światła zabudowań. Musiały upłynąć co najmniej dwie godziny od momentu, kiedy je zobaczyłem po raz pierwszy, a kiedy wreszcie, słaniając się na nogach, dotarłem do budynku.

Zapukałem, ale nikt nie otwierał, wszedłem więc do środka. Nie oczekiwałem zbyt wiele, miałem nadzieję, że ktoś zaproponuje nocleg pod dachem, da wodę, nie wyrzuci na dwór.

Z jednego z pokoi dochodziły strzępy rozmów, słyszałem włączony telewizor. Uchyliłem drzwi, dzień dobry, dobry wieczór, jadę do Chile, rowerem, pewnie już przejście nieczynne, ale może będę mógł gdzieś tu przenocować, albo chociaż namiot rozbić, dobre słowa, żadnego zdziwienia, pokaż panu pokój, jeden z nich wziął mój paszport, wracam po sakwy, drugi idzie ze mną, pomaga z bagażem, prowadzi krętymi korytarzami, po drodze zwiedzam ubikację, łazienkę, jest i prysznic, pusty pokój z czterema piętrowymi łóżkami, możesz sobie wybrać, nikogo tu więcej nie będzie, kto tu przyjedzie w taką psią pogodę, to część dla robotników, ale oni na razie wyjechali, przyjdź potem na kolację.

Rzuciłem się na łóżko, nie mogłem się podnieść, może i nawet przysnąłem, wstałem w końcu, chciałem iść spać, ale obiecałem, że przyjdę na chwilę do jadalni.

— Dlaczego jedziesz tędy, a nie północną drogą? — usłyszałem, kiedy już siedziałem przy stole, zając gulasz. — Tam jest o wiele lepsza nawierzchnia, niedawno zbudowana, asfaltowa, i zajazdy są przy drodze, w razie czego zawsze możesz liczyć na kogoś, a tutaj, jak coś ci się stanie, to pół dnia będziesz czekał, aż cię ktoś znajdzie, albo i dłużej.

Chciałem powiedzieć, że właśnie dlatego tędy jadę, ale z ust wyszło coś innego.

— Myślałem, że będzie na skróty, bo jadę z południa i nie chciałem zajeżdżać do Jujuy.

Chwila milczenia przy stole, kawa, na wysokim regale wielki telewizor. Poza jednym z mężczyzn nikt ze mną nie rozmawiał, nikt o nic nie pytał, jakieś ciężkie powietrze było w pokoju, niektórzy grali w karty, ale cicho, praktycznie bez słów, reszta siedziała wpatrzona w telewizor.

Wiadomość dnia: wścieklizna w okręgu. W Jujuy zmarł chłopiec, ugryziony przez psa. Media wróżą apokalipsę, ludzie chcą wybić wszystkie psy w mieście, to nie katedra, ale rozmawiają o tym, czy rzeczywiście wszystkie zwierzęta uśpić, czy nie, długie ujęcia z pogrzebu chłopca, przerywane zbliżeniami na wałęsające się, bezpańskie psy. Patrzę na twarze mężczyzn, nie wiem, czy współczują chłopcu, czy też są za tym, aby psy w worki pobierać i wykończyć, ich twarze nie wyrażają niczego, chciałbym się dowiedzieć, co myślą, ale nie mam odwagi zapytać, jestem śpiący, nie mam siły wstać, czuję, że jeszcze chwila, a zasnę na stole.



San Antonio de Los Cobres



San Antonio de Los Cobres



W stronę przełęczy Paso de Sico



Na granicy chilijskiej

- Proszę, dostałeś stempelek — z apatii wybudził mnie mężczyzna, który wziął wcześniej mój paszport.
- Będziesz jeszcze musiał zajechać do *aduany* w San Pedro. Nie zapomnij, bo potem będziesz miał problemy przy wyjeździe z kraju. Stąd masz jeszcze

ponad dwieście kilometrów, jak długo będziesz jechał rowerem?

— Nie mam pojęcia. To zależy, czy ciągle będzie tak wiać, jak dzisiaj.

— Jeszcze jutro nie będzie lekko, ale pojutrze powinno już być lepiej. I tak dziś nie było najgorzej. Zdarza się, że wieje tak, że nie można ustać na drodze. Dobra, teraz czas spać.

Rozdział 13

Obudziłem się dość wcześnie, a raczej obudził mnie pracujący na zewnątrz budynku buldożer. Spojrzałem na zegarek: siódma trzydzieści. To nawet lepiej, pomyślałem, ruszę szybciej i zdążę jeszcze popedałować, zanim wiatr znów da mi popalić. Zjadłem potężne śniadanie, napełniłem bukłak kranówką, pożegnałem się z kilkoma pracującymi na zewnątrz mężczyznami i ruszyłem w dalszą drogę.

— *Que te vaya bien!* — odbijało się w głowie, w rytm zapadających się w poprzeczne muldy szerokich opon.

Z rana jeszcze tak bardzo nie wiało, jedenaście kilometrów dzielących mnie od przełęczy pokonałem w miarę sprawnie. Długi, zdrowy sen zregenerował trochę siły, podjeżdżałem równym tempem, aż zza którymś z zakrętów ukazały się znaki informujące, że przekraczam granicę chilijsko - argentyńską.

Myślałem, że słowo „przełęcz” do czegoś zobowiązuje, w wyobraźni widziałem się zjeżdżającego do jakiejś doliny, a tutaj okazało się, że za „przełęczą” jest kolejny podjazd. Samego zjazdu było mniej niż sto metrów i za chwilę, z mozołem, znów wspinałem się pod kolejną górę.

Jechałem w cudownej scenerii i zupełnej ciszy, przerywanej jedynie zgrzytającym pod kołami roweru żwirem. Pasma górskie, wzdłuż którego pięła się droga, chroniło mnie przed wiatrem, który zapewne dał już po drugiej stronie urwiska.

Około południa, przy solnisku Salar de Laco, zatrzymałem się na drugie śniadanie. Cicho, bezwietrznie, pusto, jakby życia trochę ubyło. Od rana nie jechał żaden samochód, w żadną stronę. Świadomość, że w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma nikogo, działała na wyobraźnię. Paradoksalnie, nie wiedzieć czemu, ale czułem się bezpiecznie. Brzmi to idiotycznie, bardzo naiwnie, ale jakbym wyczuwał czyjąś obecność, jakbym podświadomie wiedział, że nic złego nie może mi się teraz przytrafić.

Za kolejną przełęczą w końcu mnie dopadła. Od razu, bez litości. Ściana wiatru, niepozwalająca nawet zjechać z górki. Po godzinie pchania roweru, daleko, po drugiej stronie szerokiej doliny, dostrzegłem budynki chilijskiej żandarmerii. Przypomniałem sobie, że mówili o niej w *aduanie*, że jeśli uda mi się tam dotrzeć w ciągu dnia i kogoś zastanę, to pewnie będę mógł w środku przenocować.

Jadę w warunkach, w jakich w innych okolicznościach nie jechałbym za żadne pieniądze. To nie jest jazda, tylko rzeźnia. Jest zjazd, jest z górki, jakieś pięć, sześć procent, a ja pcham rower pod wiatr. Kiedy próbuję jechać, nie mam siły pedałować szybciej niż cztery, pięć kilometrów na

godzinę. Wreszcie udaje mi się zejść do doliny, gdzie teren robi się bardziej płaski, ale nadal muszę iść, nie ma mowy o jakiegokolwiek jeździe.

Budynki widzę od dwóch godzin, są na wyciągnięcie ręki, może dwa, trzy kilometry, a ja zbliżam się do nich w żółwym tempie. Ponawiam formułę z dnia poprzedniego. Dwieście metrów pchania roweru, potem minuta, dwie na wyrównanie oddechu i kolejne dwieście metrów do przodu.

Wreszcie dotarłem do budynków żandarmerii. Na zewnątrz stał samochód, ale drzwi były zamknięte i pomimo mojego nawoływania, nikt ich nie otworzył. Odpocząłem chwilę, zjadłem kilka herbatników, napiłem się ciepłej herbaty i ruszyłem dalej. Czekał mnie kolejny podjazd, niezbyt długi, w „normalnych” warunkach pewnie wjechałbym na górę w kwadrans, tym razem zajęło mi to ponad godzinę. Nie byłem w stanie pchać roweru szybciej, do tego, po kilkudziesięciu metrach, musiałem się zatrzymać na wyrównanie oddechu.

„Zjazd” z przełęczy był nieznacznie szybszy, a droga skręciła na południe o prawie dziewięćdziesiąt stopni, przez co nie wiało już prosto w twarz, za to kilka razy, od bocznych podmuchów, prawie powaliło mnie z rowerem na ziemię. Momentami wiatr jakby zmieniał nieco kierunek, dzięki czemu mogłem wsiąść na rower, dostając nagłego przyspieszenia, ale za moment z powrotem dęło z boku, spychając mnie, czasami skutecznie, do wyschniętego, przydrożnego rowu.

Zza któryś z zakrętów natknąłem się na obóz robotników drogowych. Kilku z nich wyszło na drogę, oczywiście, musieli trochę poczekać, zanim dopchałem rower i wykrztusiłem z siebie jakieś słowa.

Pogodę i przy okazji mnie, okraszono najwymyślniejszymi formami słowa *puta*, w najdziwniejszych konfiguracjach, z wiadomo jakimi częściami ciała. Proponowano, abym został na noc, ale dochodziła siedemnasta, zapasy jedzenia powoli się kończyły, a do Socaire zostało mi jeszcze dziewięćdziesiąt kilometrów — dystans, jakiego nie miałem szans pokonać w jeden dzień, w takich warunkach pogodowych. Porozmawiałem więc tylko chwilę z mężczyznami, wziąłem kawałek chleba i pchałem dalej.



Zjazd z przełęczy Paso de Sico w stronę Salar de Atacama



Zjazd z przełęczy Paso de Sico w stronę Salar de Atacama

Znów zaczął się interwałowy teren. Krótkie, strome podjazdy, na których się mocno pocilem, by za chwilę być wyziębionym na zjazdach. Nie mogłem się przebierać za każdym razem, jak wjeżdżałem na szczyt pagórka, bo to by

oznaczało zmianę ubrania co kwadrans. Zresztą koszulki miałem tylko dwie, obie mokre, a na ich szybkie wyschnięcie, nawet w tym palącym słońcu, na razie nie mogłem liczyć, gdyż temperatura oscylowała w granicach zera stopni.

Zatrzymałem się już po zachodzie słońca, w cudownej scenerii, nad słonym jeziorem Laguna Aguas Calientes. Z braku drzew i jakichkolwiek innych naturalnych form, chroniących mnie przed wiatrem, już po ciemku, w świetle czołówki, uzbierałem trochę kamieni, aby obłożyć nimi namiot. W nocy potwornie wiało, bałem się trochę, czy wiatr nie przeniesie mnie z całym dobytkiem do laguny, ale materiał tropiku wytrzymał, a namiot był bardzo mocno przytwierdzony wielkimi szpilami i kilkoma, dokupionymi jeszcze w Polsce, solidnymi śledziami.

Rześki, mroźny, bezwietrzny poranek przywrócił mi dobry humor. Woda w butelkach pozamarzała, ale bukłak trzymałem w śpiworze, dzięki czemu nie musiałem najpierw odmrażać lodu na herbatę i płatki. Gazowy palnik na wysokości ponad 4000 metrów n.p.m., a już szczególnie w temperaturze minus dziesięciu stopni, działa bardzo słabo: płomień jest minimalny i zagotowanie litra wody przeciąga się w nieskończoność. Jego zaletą jest to, że można, zachowując odpowiednie środki ostrożności, przygotować posiłek w namiocie.

Kuchenkę benzynową oczywiście też można używać w namiocie, ale trzeba bardziej uważać, żeby nie zrobić z siebie żywej pochodni, do tego kuchenka ta smoli i mocno brudzi, ale to już są właściwie nieistotne drobiazgi. Po kilku dniach jazdy bez mycia człowiek przestaje zwracać uwagę na takie rzeczy, a spodnie, bluza czy kurtka stają się podręczną ścierką, w którą można wytrzeć ręce, wysmarkać nos albo przeczyścić śpiwór czy karimatę, bo na przykład wylał się makaron z garnka (choć i tak bardzo uważałem) albo mleko, herbata czy kawa (choć uważałem jeszcze bardziej).

Tego dnia już przed siódmą rano ruszyłem w dalszą drogę. Chciałem wykorzystać możliwie najpełniej kilka bezwietrznych godzin, z nadzieją, że zdołam przed wieczorem dojechać do Socaire.

Pomimo interwałowego terenu pierwsze trzydzieści kilometrów udało mi się przejechać, a nie przejść, ale kolejne, dzielące mnie od miasteczka, pokonałem w znajomy już sposób, pchając rower i co dwieście metrów łapiąc zadyszkę.

Około południa mijają mnie dwa jeepy z turystami. Kierowca jednego z nich zatrzymał się, pytając, czy wszystko w porządku i czy mam odpowiednią ilość picia. Za wodę podziękowałem, miałem jeszcze wystarczający zapas, ale chętnie wziąłem colę, zawsze to jakieś dodatkowe kalorie, a i smak niczego sobie, szczególnie po makaronie i płatkach na wodzie. Co do samopoczucia — to chyba widzieli, że w szczycie formy nie byłem, ale tak, odpowiedziałem z uśmiechem, że wszystko świetnie, jest pięknie i Chile

piękne, i cały świat jest piękny i że w ogóle, to strasznie miłe, że się zatrzymali i oferują pomoc, ale patrząc na bladotrupią twarz jednej z pasażerek, pomyślałem, że to ja powinienem zapytać, czy wszystko w porządku i czy przejazdka się podoba, i czy aby na pewno wszyscy czują się dobrze.



Salar de Atacama

Kilkanaście kilometrów przed Socaire otworzyła się przede mną ogromna dolina, na dnie której rozlewało się solnisko Salar de Atacama. Byłem blisko, a ciągle tak daleko. Jechałem, zjazd był stromy, ale wiatr trzymał mocno i były momenty, że musiałem schodzić z roweru i jak poprzedniego dnia, pchać rower w dół doliny.

Przed Socaire wjechałem na asfaltową drogę. Myślę, że podobną transgresję przeżywają marynarze schodzący ze statku na ląd. Nie wiem, czy dla nich to też orgazm (choć pewnie wilki morskie częściej szczytują na wodzie niż na lądzie, więc powinienem napisać o przemianie w drugą stronę — z lądu na statek), ale dla mnie, intensywność doznań pierwszych chwil jazdy asfaltem, po czterech dniach tłuczenia roweru po tarce, jest nieporównywalna z niczym.

Asfalt! Socaire! *Comedor*! Czyli wreszcie odpoczynek, picie, jedzenie. Zachodzę do pierwszej z przydrożnych restauracji. Z budynku dochodzą

mnie wspaniałe zapachy, zostawiam rower pod opieką dwóch leżących w cieniu psów i wchodzę do środka.

— Czy jest coś do zjedzenia? Najchętniej coś ciepłego? — pytam u progu.

— *Claro*. Oczywiście, przecież to restauracja, mamy jedzenia w bród. Może *empanadas*?

— *Empanadas*? Z przyjemnością! Poproszę osiem.

— Ile?!

— Osiem — powtarzam, nie rozumiejąc, co w tym dziwnego, że jestem głodny.

— Ale one są duże — co powiedziawszy, kobieta wyciąga z piekarnika jeden i podtyka mi pod nos.

— Ojej, rzeczywiście, są wielkie.

Zamówiłem trzy, co i tak było przesadą, bo pierogi naprawdę były ogromne.

Już po jednym byłem najedzony, po drugim przejedzony, a po trzecim myślałem, że pęknie mi brzuch.

Wyszedłem na zewnątrz, usiadłem pod płótem, ale za chwilę rozłożyłem karimatę i położyłem się obok psów. Leżałem i nie mogłem się zdecydować, czy wymiotować, czy nie. Myślałem, że rozsadzi mi wnętrzności. Cztery dni o bardzo marnym jedzeniu sprawiły, że mój żołądek mocno się skurczył i teraz musiałem swoje przecierpieć.

Po kwadransie ból przybrał na sile, *empanadas* były pyszne, ale moje wnętrzności uparcie nie chciały ich przetrawić. Po wizycie w ubikacji ciało odetchnęło nieznacznie, ale zanim wsiałem w powrotem na rower, poleżałem jeszcze z godzinę na ziemi.

Dochodziła osiemnasta (czyli siedemnasta, bo znów wjechałem w inną strefę czasową), pozostało około godziny dnia, nie chciałem nocować w wiosce, ruszyłem więc w stronę Salar de Atacama.

Za Socaire same niespodzianki. Nie dość, że wiatr zmienił kierunek i zaczął wiać mi w plecy, to jeszcze czekał mnie kilkunastokilometrowy zjazd, aż do samego jeziora, leżącego na wysokości 2500 metrów.

Słońce powoli zachodziło za otaczające solnisko wzgórze, a ja bez wysiłku, z bardzo silnym wiatrem w plecy, pokonywałem kolejne kilometry. Postanowiłem spróbować dojechać do Toconao, małego miasteczka, leżącego około czterdzieści kilometrów na południe od San Pedro de Atacama i tam poszukać noclegu.

Światła Toconao widać było już z bardzo daleka, wydawało mi się, że miejscowość jest bliżej, dosłownie za kolejnym zakrętem, ale światła przybliżały się bardzo powoli.

Wreszcie pierwsze budynki. Ładne miasteczko, myślę sobie, jadąc wysadzaną drzewami alejką. Choć jakoś tak za ładnie, zbyt drzewnie, za czysto, jakbym podświadomie wietrzył jakieś kłopoty.

Zajeżdżam pod bramę, akurat ktoś stoi nieopodal, z dziećmi, może będę mógł rozstawić namiot na podwórku. Nic z tego, wysyłają do hotelu. Przy drugiej bramie to samo. Przy trzeciej już nie próbowałem.

Nawet mnie to za bardzo nie zdziwiło. Stojące za ogrodzeniami domy były ogromne, czyste, zadbane, za zielono było, trawę bym zdeptał, śmieci na patio naniósł i w ogóle musiałem wyglądać podejrzanie, po czterech dniach jazdy w kurzu, piasku i pyle. Twarz ogorzała, włosy w nieładzie, niepokój w oczach, ciuchy ma brudne, widziała pani, włóczęga jakiś, co będziemy obcego na podwórko wpuszczać, a pewnie, łachudra jeden, i takie to jedzie, gdzie to się wlecze, jeszcze coś ukradnie, albo dzieciom krzywdę zrobi, domu to nie ma, *puta de madre*, da pani spokój, niech to jedzie w cholere.

W centrum miasteczka nie było lepiej, powoli zacząłem już się przyzwyczajać do myśli, że zaraz wrócę na drogę i spróbuję dojechać do San Pedro, gdy nagle zobaczyłem dwóch przyjaźnie wyglądających chłopców, o wyraźnie indiańskich rysach twarzy.

— Hej, nie wiecie, czy gdzieś tu można bezpiecznie rozstawić namiot? — podjechałem bliżej i aby nie wzbudzać podejrzeń swoim wyglądem, dodałem:

— Jadę z Argentyny, jestem zmęczony i nie bardzo miałem się gdzie umyć, i dlatego jestem taki brudny i w ogóle.

— Namiot rozbić? — odpowiedział jeden z nich. — Oj, *peligroso*, niebezpiecznie tutaj, może obok żandarmerii?

— A dlaczego nie pójdziesz do hotelu? Musiałeś przejeżdżać niedaleko, jeśli jedziesz z Socaire — dodał drugi.

— Tak, hotel widziałem, ale nie mam wystarczająco dużo *pesos chilenos*, a dolarów i euro też nie za dużo i muszę dojechać do San Pedro, żeby wyjąć pieniądze z bankomatu.

— To dlaczego nie pojedziesz jeszcze dzisiaj do miasta?

— Już nie mam siły, przejechałem od rana ponad sto trzydzieści kilometrów i wolałbym się przespać gdzieś tutaj i dalej ruszyć jutro.

Chłopcy są nieufni, widzę, że się nad czymś naradzają, mówią do siebie w obcym dla mnie języku, to nie hiszpański.

— Dobrze, zabierzemy cię do siebie, mamy wolny pokój, możesz w nim spać, będzie przyjemniej niż w namiocie, noce są zimne teraz.

Po drodze okazało się, dlaczego byli tacy nieufni i podejrzliwi. Okazali się Peruwiańczykami, którzy przyjechali do Chile za pracą. Jeden z nich

przebywał w miasteczku nielegalnie, stąd, na wszelki wypadek, woleli być ostrożni.

— Wychodzimy z domu o szóstej, ale ty możesz spać dłużej, zamknij za sobą drzwi, a klucze zostaw w słoiku pod oknem.

Nie miałem już siły ani na zaproponowaną herbatę, ani na prysznic, ani tym bardziej na pogawędkę. Chłopcy też nie nalegali, powiedzieli dobranoc i kiedy tylko wyszli z pokoju, padłem na łóżko i momentalnie zasnąłem.

Rozdział 14

Obudziłem się przed dziesiątą. Dopiero teraz zauważyłem, że spałem w ubraniu, ledwo przykryty grubym kocem. Wstałem, ochlapałem się zimną wodą w łazience i wypilem duszkiem litr kupionej jeszcze poprzedniego dnia coli.

Porządny posiłek chciałem zjeść już w samym San Pedro, a przed jazdą zadowolilem się kilkoma ciastkami. Pomyślałem, że skoro poprzedniego dnia tak lekko mi się jechało, to i teraz, w dwie godziny, spokojnie dojadę do miasta.

Niestety, mocno się przeliczyłem. Pomimo płaskiego terenu i przyjemnej aury, czułem się, jakby zupełnie zeszło ze mnie powietrze, jakby ktoś wysssał ze mnie całą energię.

Mniej więcej po godzinie jazdy dostrzegłem jadącego w moją stronę rowerzystę, a raczej rowerzystkę. Kolorowa, krótka sukienka falowała na wietrze, a kiedy zbliżyliśmy się do siebie, uniosła się nad drogą i zrównała ze mną.

— Hej! Jak masz na imię? — zapytała jej właścicielka.

— Piotr, a Ty?

— Jestem Yu, jedziesz do San Pedro?

— Tak, jadę z Argentyny, z San Antonio de Los Cobres.

— Ojej, to znaczy, że jechałeś przez Paso de Sico! Ja też chcę pojechać do Argentyny, ale ludzie mówili, żeby jechać przez Paso de Jama. Jak było? Da się przejechać?

— Da się przejechać. Tylko wiało mocno. No i droga szutrowa.

— To nic, że szutrowa, to nawet lepiej, bo ja za bardzo nie lubię po asfalcie jeździć, tylko nie wiem, czy rower wytrzyma, kupiłam go w Calamie, *shity bike*, ale daję radę, nie masz nic przeciwko, że pojedę trochę z tobą?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Miałam jechać do Toconao, ale nie muszę. A ile masz lat?

Yu jest Malezyjką, podróż zaczęła w Bangkoku, jeździ od roku, teraz zarabia w barze w San Pedro na kolejny rok podróży. Mieszka z dwójką przyjaciół w jednym pokoju, jest ciasno i oni są trochę hałaśliwi, ale też jeżdżą rowerami i jak nie mam nic przeciwko, to mogę się u nich zatrzymać, tylko trzeba będzie jeszcze zapytać dozorczynię z dołu, bo ostatnio, jak ktoś nocował i Yu tego nie zgłosiła, to okazało się, że jest problem, ale jak zgłosi, to raczej problemu nie będzie, więc jeśli chcę, to mogę przyjechać.

— Dobra, to ja już jadę, masz tu adres, jak chcesz, to wpadaj, a jeśli zapomnisz gdzie, to pytaj o Yu, wszyscy mnie znają w mieście, spaliłeś sobie nos, kiedy przyjedziesz, to dam ci krem, ale ty naprawdę już jesteś taki stary?

Może coś jej się nagle przypomniało, albo ja jechałem zbyt wolno, bo rzeczywiście średnia mi spadła do dziesięciu kilometrów na godzinę, ale dziewczyna w końcu nacisnęła na pedały, pomknęła do przodu i za chwilę kolorowa sukienka rozmyła się w unoszącym się nad drogą rozgrzanym powietrzu.

W punkcie granicznym, znajdującym się przed samym miasteczkiem, sprawnie załatwiłem wszystkie formalności. Od ręki dostałem stempel do paszportu i papierek, który będzie trzeba oddać przy wyjeździe z kraju.

Przejechałem zaledwie czterdzieści kilometrów, a czułem się kompletnie wymięty. Nie miałem ochoty szukać Yu, nie miałem ochoty na hałaśliwe towarzystwo, nie miałem ochoty na innych rowerzystów, chciałem się położyć i pogrążyć w błogim bezruchu.

Zameldowałem się w jednym z licznych hosteli w miasteczku, opłacając z góry pobyt na dwie noce. W pobliskim miejscowym barze zjadłem ogromną porcję frytek z ćwiartką kurczaka i z pełnym brzuchem, powłócząc nogami, wróciłem do pokoju na wytęsknioną sjętę.

Późnym popołudniem wybrałem się do lokalnego muzeum, przedstawiającego historię i kulturę pierwszych osadników okolic dzisiejszego San Pedro. Na kilka godzin pogrążyłem się w ciekawych eksponatach, opowiadających o początkach osadnictwa ludów, należących do tak zwanej kultury atacameńskiej; o sposobach mumifikacji zmarłych, o wpływach inkaskich i o podboju tych ziem przez Hiszpanów, ale prawdziwym rarytasem dla mnie okazał się film o Indianach Shipibo i śpiewaniu wyszywanych przez nich wzorów na tkaninach.

Jedna z bohaterek dokumentu opowiadała, że już w momencie wyszywania układa do wzorów melodię, którą potem można zaśpiewać. Niestety, dzieci coraz rzadziej są zainteresowane nauką wyszywania i powoli umiejętność ta zanika.

Wieczorem powłóczyłem się jeszcze po miasteczku. Bardzo ładne, ale przez mrowie turystów nie do końca czułem się w nim komfortowo, choć oczywiście, sam byłem jednym z nich...

W sklepach, jak przystało na turystyczną mekkę, ceny odpowiednio wysokie, do tego produkty na półkach nie miały metek. Sam byłem świadkiem kuriozalnej sytuacji, kiedy w tym samym sklepie za butelkę wody, za którą w drodze do muzeum zapłaciłem tysiąc dwieście pesos, jakiś chłopiec zapłacił tysiąc sześćset. Zaszedłem tam po raz drugi, szukając czegoś na kolację, ale kiedy usłyszałem, że w ciągu kilku godzin ceny wody skoczyły o trzydzieści

procent, stwierdziłem, że w tym miejscu zapasów na drogę robił nie będę. Dodam jeszcze, że zazwyczaj za wodę płaciłem trzy razy mniej, nawet poprzedniego dnia w Socaire półtoralitrowa butelka kosztowała pięćset pesos...

Wieczorem w hostelu poznałem kilka interesujących osób, dałem się wkręcić w grę w kości, stwierdzając, że wcale nie jest to takie nudne zajęcie, jak uprzednio myślałem, a może wcześniej trzeba wypić pół butelki wina, wtedy już nic nie jest takie, jak zawsze, *I never say „no” to alcohol and women*, jak to ładnie przetłumaczyć na polski, a jak to będzie po szwedzku, jaki ładny język, jakie jasne włosy, nie, w Szwecji nie byłem, w Norwegii tak, dużo komarów, zrobiło się chłodniej, grzane wino, jeszcze więcej sportu, a wiesz, że w okolicy są dwa wulkany, które dotykają się cieniami? Jeden to Juriques, a drugi Quimal, niedoszli kochankowie, skazani za miłość. Każdego dnia, o świcie, Juriques rzuca swój cień na Quimal, a Quimal dotyka swym cieniem Juriquesa z każdym zachodem słońca. I tym sposobem oboje po dziś dzień są razem.

Pyszne wino, mówię, cienie się zapętłają w nikłym świetle patio, a tu nagle wiązanka angielskich inwektyw, fak tak, fak siak, różne kombinacje, najpierw z góry, potem z dołu, aż dziwne, że nikt się nie bronił, właścicielka *hospedaje* w południe *no abla ingles*, ale wieczorem już angielski zna, nauczyła się w kilka godzin, ciska przekleństwa, grozi, że nas wszystkich zaraz powyrzuca, że za głośno i że spać nie może, a tak się przyjemnie zrobiło, nawet nabrałem ochoty znów kośćmi porzucać, grzańca popić, chociaż może to i lepiej, że kobieta zrobiła awanturę, cienie zabrała, bo następnego dnia o jakiejś chorej godzinie wybierałem się na wycieczkę do gejzerów El Tatio, powiedziałem więc dobranoc i życzyłem wszystkim miłego, nocnego spaceru.

O czwartej nad ranem pojechałem z kilkusobową grupą zwiedzić gejzery. Miejsce, owszem, ciekawe, ale nie z tymi tłumami, nie w takim pośpiechu.

Na wysokości 4000 metrów n.p.m. tryskają sobie w górę obłoki pary i strumienie gorącej wody. Zabawa przednia, ale nie po nieprzespanej nocy, nie w temperaturze minus dwanaście stopni, nie w otoczeniu tłumów piszczących Amerykanek i półnagich, zażywających siarkowych kąpiele niemieckich osiemdziesięciolatków.

Powłóczyłem się trochę samopas po okolicy, przez co spóźniłem się na ugotowane w gorących źródłach jajka na twardo. Śniadanie w cenie, wykład o geologii miejsca niestety też.

Z radością wróciłem do miasteczka i oddałem się leniwym zajęciom typu przejażdżka rowerem po okolicy i wizyta w kawiarence internetowej. Przy okazji skonfrontowałem przewodnikowe informacje z tymi, które mogłem znaleźć w sieci.



Gejzery El Tatio



Gejzery El Tatio

Z San Pedro de Atacama czekał mnie stukilometrowy odcinek na zachód do Calamy i stamtąd, trochę dłuższy, na północny wschód do Ollague, leżącego na granicy chilijsko-boliwijskiej. Źródła internetowe podawały, że niedaleko

Ollague znajduje się wulkan o nazwie Aucanquilcha, na który prowadzi droga do nieczynnej już górnej stacji kopalni siarki, znajdującej się na wysokości prawie 6000 metrów n.p.m.

Na wulkan ten próbował już dwukrotnie wjechać rowerem Polak Czarek Matulewicz w 2006 i 2007 roku. Rowerem ostatecznie nie wjechał, ale wszedł na wierzchołek podczas drugiej wyprawy.

Siedziałem przed monitorem i patrzyłem na zdjęcie lotnicze przybielonego śniegiem wulkanu. Jestem w odległości kilku dni od góry. Skoro jest góra, która ma wysokość 6000 metrów z kawałkiem i jest droga prawie na szczyt, a góra jest blisko, ja jestem blisko, to wszystko razem równa się, że trzeba spróbować tam pojechać.

Rozdział 15

Rankiem ruszyłem do Calamy. Dobrze, że wstałem wcześniej. Na przełęczy przecinającej pasmo Gór Domejki byłem dopiero po siedemnastej. Wiało mocno. Droga mnie niezłe zgnoiła. Nie miałem siły nawet myśleć o przebieraniu się i jedzeniu. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w miejscu osłoniętym od wiatru, zatrzymać, odpocząć. Do miasta tego dnia już nie udało mi się dojechać. Kiedy zaczęło się ściemniać, rozbiłem namiot przy samej drodze, pod największą kupą piachu w okolicy, za którą miałem chociaż namiastkę bezwietrznego schronienia.

Calama trochę ogłuszyła mnie cywilizacją. Właściwie od z górą miesiąca nie byłem w większym mieście. Ulice, sklepy, ruch, hałas. W parku zjadłem bułki z marmoladą i uciałem sobie drzemkę. Znalazłem dobry sklep rowerowy, w którym zakupiłem jeszcze dwie dętki i pojechałem poszukać informacji turystycznej.

Siedząc w parku, zajadając śniadanie i czytając przewodnik, wpadła mi w oko informacja, że z Calamy odjeżdżają do Ollague pociągi, które potem jadą do Boliwii. Gdyby była możliwość dostania się do granicy pociągiem, oszczędziłoby mi to kilku dni jazdy z przeładowanym rowerem, bowiem byłem niejako zmuszony zrobić zakupy żywniowe na najbliższe dwa tygodnie. Wszystkie informacje, jakie udało mi się znaleźć, potwierdzały, że w Ollague może być problem z zaopatrzeniem, a ja jeszcze chciałem próbować wjechać na wulkan. Mogło się okazać, że następne porządne zakupy będę mógł zrobić dopiero za dwa tygodnie, należało się zatem odpowiednio zaopatrzyć.

Najpierw jednak odwiedziłem informację. Na miejscu dowiedziałem się, że niestety linia kolejowa łącząca Calamę z Boliwią jest zawieszona i pewnie już nie będzie wznowiona. Nie miałem więc innego wyjścia, musiałem wwieźć wszystko do Ollague rowerem.

W supermarkecie zrobiłem porządne zakupy, głównie suchy prowiant: makarony, kaszki, otręby, płatki, suszone owoce, rodzynki, orzechy, suszoną kiełbasę, parówki, mleko w proszku, ciastka i niezastąpione chińskie zupki.

Zjadłem jeszcze kolację w barze i po krótkim odpoczynku, potężnie obciążony, późnym popołudniem ruszyłem w stronę miejscowości Chiu Chiu.

Droga jednostajnie pięła się w stronę majaczących w oddali szczytów, jechałem powoli, mając nadzieję, że przeciążony rower, a szczególnie jego bagażnik i koła, wytrzymają chociaż do granicy z Boliwią.

Do Chiu Chiu dojechałem już w nocy. Pierwszy napotkany tubylec, po moim pytaniu o możliwość noclegu, skierował mnie pod kościół i tam też rozbiłem

namiot. Budynek był już zamknięty, dokoła nie było żywej duszy, miejsce wydawało się spokojne, ale na wszelki wypadek, wybrałem dobrze zacieniony fragment, aby z drogi nikt mnie w nocy na pewno nie wypatrzył.

Rankiem przepakowałem sakwy, rozłożyłem równomiernie prowiant, zjadłem śniadanie i po uzupełnieniu wody, ruszyłem na północ w stronę Ollague.

Spodziewałem się marnej nawierzchni, morderczego wiatru, kreśliłem czarne scenariusze i ewentualne możliwości wybrania trasy alternatywnej, albo nawet konieczności powrotu do Calamy, ale za Chiu Chiu czekała mnie niespodzianka — jechałem ciągle po asfaltowej drodze! Do tego wiatr jakby trochę zelżał, kilkudziesięciokilometrowy podjazd był jednostajny i dość łagodny, dzięki czemu do wieczora zrobiłem sześćdziesiąt kilometrów, dojechawszy na wysokość 3300 metrów n.p.m. Cieszyłem się, że podjeżdżając w ten sposób, dobrze się zaaklimatyzuję, przez co nie powinienem mieć potem problemów z *soroche*, chorobą wysokościową.

Ściemniało się, a ja, stojąc przy dwóch niedużych kupkach żużlu, zastanawiałem się, za którą lepiej będzie rozbić namiot, kiedy zatrzymała się przy mnie ciężarówka.

— Hej! *Hombre!* Co tam? Stało się coś? — krzyknął kierowca, wychylając się z szoferki.

— Nie, wszystko w porządku! A dlaczego pan pyta?

— No, bez powodu. Zobaczyłem, że stoisz, to pomyślałem, że może się coś stało, nieraz już rowerzystów z drogi zabierałem. *Hombre*, wody masz dość?

— Tak, mam dużo, do Ollague mi wystarczy.

— Do Ollague? *Que mierda!* To jeszcze kawał drogi. Dziś nie dojedziesz.

— Tak, tak, wiem, ale dziś nie zamierzam tam dojechać — uśmiechnąłem się. — Myślę, że jeszcze ze dwa dni będę jechał.

— Dwa dni! *Putá madre! Hombre!* To może chcesz ze mną jechać? Ja nie jadę aż do granicy, ale zawsze będziesz miał bliżej.

— Nie, dziękuję, jakoś dojadę.

— *Hombre*, dobrze ci radzę, jutro ma porządnie wiać, zdmuchnie cię z drogi.

— Nie, naprawdę, jakoś dam sobie radę — nie wiedzieć czemu, uparcie odmawiałem podwózki.

— Jak wolisz, *hombre*. To trzymaj chociaż to na drogę — i z szoferki wyleciało duże opakowanie pierników. — Może jeszcze gdzieś się spotkamy po drodze. *Y que te vaya bien!*

— Dziękuję! Panu też życzę szerokiej drogi!

Jakoś tak kojąco podziałało na mnie to spotkanie, *hombre*, uspokoiło,

wyciszyło, czerwone kropki wielkiego Mana zniknęły za Świętym Piotrem, dwie czarne kupki żużlu przy drodze, w oddali San Pedro i San Pablo, śpią wulkany, w powietrzu siarką jedzie, pierniki pyszne, makaron z zupką chińską też smakował wybornie, niebo rozgwieżdżone, spać się nie chce, wsłuchany w niemą symfonię, leżę przed namiotem, cisza niezmacona żadnym dźwiękiem, nie tęsknię za niczym, nie potrzebuję niczego, ciemność upstrzona jasnymi gwiazdami, w półotwarte usta pustka historię tka, opowieść tka, pustka, którą wszystkim można wypełnić. Jestem.



Droga z Calamy w stronę Ollague



Droga z Calamy w stronę Ollague

Ranek już nie napawał mnie aż takim optymizmem jak wieczór. Wiać zaczęło około czwartej nad ranem, a kiedy się rozwidniło, namiotem łopotało całkiem porządnie. Wtedy tego jeszcze wiedzieć nie mogłem, ale miał to być dzień pełen niespodzianek.

Najpierw miałem duże problemy, aby na silnym wietrze złożyć namiot i nie odlecieć razem z nim w stronę Świętego Pawła. Kiedy już mi się to udało, mogłem zacząć spacer z rowerem, bo o jeździe pod taki wiatr musiałem zapomnieć. Przez pierwsze dwie godziny nastrój miałem minorowy. Żałowałem oczywiście, że poprzedniego dnia nie dałem się namówić na podwózkę. I kiedy już pogodziłem się z myślą, że pewnie cały dzień będę pchał rower w stronę Ollague, wiatr zmienił kierunek o prawie sto osiemdziesiąt stopni.

Po kolejnej godzinie dojechałem do niskich, glinianych zabudowań. Carabineros del Chile. Nie bardzo wiem, w jakim celu panowie ci pracują w tak podłych warunkach przy drodze, którą przejeżdżają dwa samochody dziennie, ale może z racji bliskości granicy mają tutaj czasem jakieś zajęcie.

Na zewnątrz nie było nikogo, ale na wszelki wypadek poszedłem się przedstawić. Zapukałem. Nic. Zapukałem raz jeszcze, mocniej. Znowu nic. Pewnie nikogo nie ma, pomyślałem, wracając do drogi. Kiedy już miałem odjechać, z budynku jednak dało się słyszeć wołanie.

— Ej, ty tam, chodź no tutaj!

— Dzień dobry — dygnąłem ładnie, zbliżywszy się do funkcjonariusza. —

Jestem z Polski, jadę na rowerze do Ollague.

— Gdzie jedziesz? Do Boliwii czy z Boliwii?

— Do Boliwii, ale najpierw do Ollague.

— Do Ollague... Narkotyków nie wiesziesz żadnych? Koki nie żujesz?

— Nieee, żadnych narkotyków, żadnej koki.

— No to szerokiej drogi i uważaj na siebie. — Co powiedziawszy, mężczyzna wrócił do budynku i trzasnął za sobą drzwiami.



Przed Ollague



Przed Ollague

Schowałem paszport, wrzuciłem ramionami, pomyślałem, że w sumie szkoda, że nie mam koki. Wysokość 4000 metrów n.p.m., oddycha się ciężko, pożałuję sobie trochę, powietrze rozrzedziłoby się nieco, a pewnie i widoki byłyby piękniejsze.

Kilometr dalej rozpocząłem zjazd w stronę słonego jeziora Salar de Ascotan. Tym razem wiatr okazał się moim sprzymierzeńcem. Popychany przez potężne podmuchy, z łatwością osiągałem prędkość, przekraczającą chwilami osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Za kilka minut byłem nad brzegiem jeziora.

Wrak ciężarówki przy drodze posłużył za dobrą ochronę przed unoszonym przez wiatr pyłem i kurzem, dzięki czemu mogłem spróbować rozpalic kuchenkę i przygotować drugie śniadanie. Chociaż schowałem się pod podwoziem pojazdu, zabarykadowałem karimatą i rowerem, to i tak raz po raz dostawałem w twarz garścią piachu i kamyków. W niecce, w której się teraz znajdowałem, wiatr wydawał się wiać ze wszystkich stron, a najgorsze było to, że ciągle przybierał na sile.

Po krótkim odpoczynku ruszyłem dalej na północ. Jechałem wzdłuż jeziora, okrążając go od zachodu, będąc coraz silniej spychanym do rowu przez napierające podmuchy. W oddali, za wzniesieniem, widziałem unoszące się nad ziemią ogromne, białe obłoki kurzu, pyłu, soli, boraksu i innych minerałów, w które obfitowała okolica. Minuta po minucie zbliżałem się do szalejącego żywiołu.

Zabawa zaczęła się na sto czterdziestym kilometrze drogi numer

dwadzieścia jeden. Kiedy wyjechałem zza wzgórza, które jako tako chroniło mnie jeszcze przed wiatrem, dostałem tak silnie w twarz, że momentalnie znalazłem się na ziemi. Poczułem się, jakby ktoś dosłownie pchnął mnie z całych sił i powalił na kamienie. Podniosłem rower i rozpocząłem spacer farmera. Kilkadziesiąt metrów do przodu i odpoczynek na wyrównanie oddechu. Gdyby nie widok pobliskich zabudowań Cebollar, pewnie odwróciłbym rower i ruszył w drugą stronę, może do ciężarówki, a może nawet i na samą przełęcz do Carabineros del Chile, aby w czterech ścianach przeczekać nawałnicę.

Baraki Cebollar przybliżały się powoli, niechętnie, ale przybliżały i w końcu mogłem rzucić rower pod ścianę i wejść do środka jednego z budynków.

W pokoju, przed telewizorem, siedział ubrany w roboczy kombinezon mężczyzna.

— Dzień dobry — powiedziałem, stojąc u progu. — Przepraszam, że tak wchodzę, pukałem, ale przez ten wiatr chyba nic nie było słyhać.

— Dzień dobry! Jesteś! — mężczyzna nie wyglądał na ani trochę zdziwionego, jakby już od dawna mnie oczekiwał. — Nie szkodzi, *hombre*, siadaj, rozgość się. Jesteś głodny?

— Głodny nie, ale zmęczony — odpowiedziałem. — Czy mogę tutaj trochę odpocząć, zanim ruszę dalej?

— *Que mierda! Hombre!* Co ty gadasz! Pewnie, że tak, siadaj, dzisiaj już nigdzie nie jedziesz.

Opadłem na krzesło, spojrzałem raz jeszcze na mężczyznę i dopiero teraz rozpoznałem w nim kierowcę ciężarówki, spotkanego wczoraj wieczorem przy drodze.

— *Hombre! Puta madre!* To jednak jakoś tutaj dojechałeś, mówiłem, że cię mogę podrzucić.

— Rzeczywiście, lekko dziś nie było, ale do południa dobrze się jechało.

— Masz szczęście, miało wiać gorzej, zaraz dostaniesz zupę. Jose!

Z sąsiedniego pokoju wyszedł drugi mężczyzna.

— Zjesz zupę, zaraz będzie ci lepiej.

— Jest mi dobrze, tylko trochę zmęczony jestem.

— *Puta madre, hombre!* Co ty gadasz, ledwo na nogach stoisz! Jakbyś nie siedział na krześle, to byś się przewrócił.

Jose przytaknął, coś tam zaklął pod nosem i poszedł po jedzenie. Obaj mężczyźni mieli rację, byłem nieźle wypluty. Poszedłem na chwilę do ubikacji i przejrzałem się mimochodem w lustrze. Twarz czerwona, z nosa schodzi skóra, włosy tłuste, wzrok błędny, spękane usta, coś zielono -

brązowego na czole, ale przynajmniej policzki i ręce trochę obmyłem.

Wróciłem do pokoju i usiadłem przy stole, na którym czekała już na mnie zupa i makaron z kurą. W czasie, kiedy zajadałem się pysznym posiłkiem, mężczyźni opowiedzieli mi trochę o sobie. Że są z okolic Iquique i że przyjechali zarobić trochę tutaj przy boraksie. Praca ciężka, ale coś trzeba robić, żeby zdobyć pieniądze, a mają po kilkoro dzieci na utrzymaniu. Że nie mają tu tak źle, bo jest i co zjeść, i co wypić, i w miarę ciepło, i telewizor jest, i wideo, filmy można oglądać, tylko kobiet brakuje.

Na wieczór i na noc dostałem kilka koców i pusty pokój z jednym łóżkiem. Poradzono, abym nie wychodził na zewnątrz w nocy, bo psy są spuszczone i choć nie gryzą (zazwyczaj), to lepiej uważać.

Z pełnym brzuchem rozłożyłem się na łóżku, z myślą, że tego dnia już nigdzie nie muszę jechać, nigdzie nie muszę wstawać. Spać mogłem, ile tylko będę potrzebował, bo mężczyźni wczesnym rankiem wyjadą do pracy, a ja mam tylko pamiętać o wyłączeniu czajnika elektrycznego.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po przebudzeniu, było skonfrontowanie mało optymistycznej prognozy pogody z rzeczywistością. Wyrząłem przez okno. Słońce już rozświetliło nagie górskie zbocza, różnokolorowe skały ciągnęły się po daleki horyzont, którego nie przesłaniała nawet najmniejsza chmurka. Poddasze nie skrzypiało, nad placem nie unosiły się obłoki kurzu i piachu. Wydawało się, że jest bezwietrznie.

Zapukałem do sąsiedniego pokoju, ale nikt nie odpowiadał, mężczyźni pewnie już wcześniej wyjechali do pracy. Wyszedłem na zewnątrz. Wokół żywego ducha. Mroźno, kałuża na podwórku zamrznięta, ale najważniejsze było to, że w istocie nie było wiatru. Należało się jak najszybciej zebrać, zjeść śniadanie i ruszyć w drogę, wykorzystując przyjazną aurę. Do Ollague zostało około czterdziestu pięciu kilometrów.

Teren dzielący mnie od miasteczka był dość łatwy, żadnych większych podjazdów, pogoda też sprzyjała, trzy godziny z okładem pedałowania i byłem na miejscu.

Ollague, zgodnie z opisami znalezionymi w internecie, okazało się w pełni zasługiwać na przypisywany jej tytuł „dziury zabitej torami”. Miejsce to rzeczywiście było, jest i pewnie pozostanie dziurą, ale z mojego punktu widzenia, wcale nie w pejoratywnym sensie tego słowa. Stanowiło bowiem amalgamat, w którym się świetnie odnajduję, było dokładnie takie, jak sobie wyobrażałem, było dziurą zaprawdę doskonałą.

Podejrzałem, że w takim miejscu będę miał problem ze znalezieniem noclegu, ale czekała mnie miła niespodzianka. Ledwo przekroczyłem tory kolejowe i znalazłem się na czymś wyglądającym na główną ulicę, gdy po prawej stronie dostrzegłem szyld. Restauracja Brin Bran oferowała *alojamiento*.

Zostawiłem rower pod pomarańczową ścianą i wszedłem do środka. Mocno niedosłyszający właściciel, *el veterano*, zaprowadził mnie do wolnego pokoju. Nie był to szczyt komfortu, ale na luksusy nie liczyłem. Ważne, że cena była odpowiednia. Za równowartość dwudziestu pięciu złotych miałem do dyspozycji pusty pokój z dwoma łózkami, stolikiem, stertą koców i wiaderkiem wody. Zgodziłem się dopłacić do wyżywienia, a cenne zapasy wykorzystać podczas podejścia na Aucanquilchę.

W restauracji można było również kupić trochę prowiantu, głównie ciastka, czekolady, batoniki, napoje, ale ceny były oczywiście bardzo wysokie, dobrze więc, że przywiozłem odpowiednią ilość jedzenia w sakwach.

Po południu wybrałem się na spacer po miasteczku. Okazało się, że po drugiej stronie torów jest drugi sklep, z cenami podobnymi do tych w restauracji, tyle że o wiele gorzej zaopatrzone. Właściciel, który we czwartki zamyka sklep i staje się miejscowym pracownikiem komunalnym, wywożącym śmieci i odpadki, tłumaczył mi, że teraz, kiedy skasowali linię kolejową z Calamy do Uyuni, jest o wiele mniej turystów, bo ci, którzy jadą autobusem, raczej od razu udają się do Boliwii, albo wybierają krótszą drogę, jadąc z San Pedro de Atacama prosto do granicy.

W hotelu Arbergue skorzystałem z internetu. Rzuciłem okiem na kilka newsów z kraju, polityczny bełkot na fali, dobrze, że z daleka od tego, wróciłem do myśli o górze, prognoza pogody napawała optymizmem, odpocznę od roweru, a następnego dnia spróbuję wjechać na Aucanquilchę. Po co? Bo jest.



Ollague, czyli „dziura zabita torami”



Ollague, czyli „dziura zabita torami”

Rozdział 16

Następnego dnia, w ramach lepszej aklimatyzacji, wybrałem się na spacer na wulkan Ollague. Sama miejscowość znajduje się na wysokości 3660 metrów n.p.m., a za dwa dni miałem zacząć próbę podjazdu na ponad 6000 metrów, czyli czekało mnie dwa i pół kilometra przewyższenia w stosunkowo krótkim przedziale czasowym. Wejście na wulkan zapewniłoby lepsze przyzwyczajenie organizmu do zmniejszonej ilości tlenu w powietrzu. Wziąłem wodę, dwie kanapki i ruszyłem na widoczną z miasteczka dymiącą górę.

Do samego krateru nie doszedłem, zresztą i tak nie było to moim celem, ale osiągnąłem wysokość ponad 5000 metrów, którą uznałem za wystarczającą.

Schodząc, natknąłem się na *carabineros*. Dostrzegłem ich już z oddali, ale zanim doszło do spotkania, upłynęła dobra godzina. Wydawało się, jakby szli w moją stronę, zastanawiałem się, w jakim celu wybrali się na forsowny marsz i czy to tylko ja jestem jego powodem.

Za chwilę wszystko było jasne. *Carabineros* szukali śladów przemytników. Zaintrygował ich dziwny ślad po oponach na piasku, który znaleźli rankiem w dolinie. Pytali mnie, czy nie widziałem nikogo po drodze i czy tam wyżej nie ma jakichś śladów stóp, na co odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że niczego nie widziałem, ani człowieka, ani śladów.

Schodząc razem z nimi do doliny, opowiedziałem trochę o sobie i o swoich planach wjechania na wulkan Aucanquilcha. Mężczyźni odpowiedzieli, że drogi na sam szczyt nie ma, co więcej, nawet ta, która została, jest już prawie cała zasypana, więc na rowerze będzie mi bardzo trudno wjechać na szczyt, czy choćby dojechać do tak zwanego *campamento*, gdzie niegdyś mieszkowali pracownicy kopalni.

Przypadkiem okazało się, że jeden z mężczyzn pamiętał wypadek jeepa z Polakami z 2006 roku i że był chyba nawet z nimi jakiś rowerzysta. Sprostowałem, że wypadek rzeczywiście był, ale rowerzysta nie brał w nim udziału. W 2006 roku samochód wiozący grupę Polaków, kierowaną przez Wojciecha Lewandowskiego, dachował w drodze z Calamy do Ollague. Nikomu na szczęście nic się nie stało, ale podróżnicy do Ollague już nie dotarli. Na miejscu czekał na nich Czarek Matulewicz, który z pomocą przyjaciół miał ponownie próbować wejść na Aucanquilchę. Podjęty przez niego kilka dni wcześniej wysiłek wjazdu rowerem na wulkan zakończył się niepowodzeniem, głównie za sprawą złych warunków atmosferycznych. Czarek zostawił część ekwipunku w *campamento* Aucanquilcha, będąc pewnym, że wróci po niego razem z ekipą Wojciecha Lewandowskiego. Niestety, ekipa z dachującego jeepa wróciła do Calamy, a rowerzysta musiał radzić sobie sam. Na szczęście udało mu się znaleźć życzliwych ludzi, którzy

pomogli przywieźć ekwipunek i załatwić transport z Ollague do Calamy.^[3]

Kiedy następnego dnia zaczynałem podjazd na wulkan, miałem nadzieję, że będę miał więcej szczęścia. Poranek był piękny, bezwietrzny, spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy do dwóch sakw, a resztę zamierzałem zostawić w restauracji. Po sutym śniadaniu chciałem jeszcze dokupić trochę zapasów na drogę.

— Czy mógłby pan sprzedać więcej chleba? — zapytałem właściciela, oddając talerze.

— Ile? — pyta — Dwa, trzy?

— Osiem.

— Osiem! — wykrzykuje pan i marszczy brwi. Wychodzi na zaplecze, skąd dobiegają mnie strzępy konwersacji. — Chłopak chce osiem chlebów! — krzyczy do żony staruszek.

Nie dosłyszałem, co odpowiedziała małżonka, ale widzę, że właściciel wraca.

— Nie ma chlebów, ale są ciastka.

— Jak to nie ma chlebów? Przecież widziałem rano, że są.

— Rano jeszcze były, ale się skończyły, no i musimy dla siebie zostawić kilka...

— No dobrze, wezmę dziesięć paczek herbatników — odpowiadam zrezygnowany.

Jak już wspomniałem, chciałem zostawić część rzeczy w restauracji i wrócić po nie, jak zjadę z góry. Nie było sensu zabierać wszystkiego ze sobą, niepotrzebne drobiazgi zmieściły się do dwóch przednich sakw. Niestety, następnego dnia właściciel z małżonką wybierali się do Calamy i zamierzali wrócić dopiero za tydzień.

— Muszę jechać do lekarza — powiedział mężczyzna — a trzeba też zrobić zakupy do hotelowej spiżarni, bo nam się powoli kończą zapasy...

Trudno, pomyślałem, że może uda się zostawić rzeczy u *carabineros*, a i tak za moment miałem tam pojechać, aby się zarejestrować i przypomnieć, gdzie się wybieram.

— Uważaj na siebie i *que te vaya bien* — rzucił jeszcze na pożegnanie właściciel.



Podczas pierwszej próby podjazdu na wulkan Aucanquilcha



Podczas pierwszej próby podjazdu na wulkan Aucanquilcha

Pojechałem na drugą stronę miasteczka do budynku żandarmerii. Chyba trafiłem na jakąś inną zmianę, bo nie zauważyłem nikogo z mężczyzn, których spotkałem poprzedniego dnia, ale nowi funkcjonariusze, byli równie mili. Pozwolili mi zostawić, co tylko zechcę, po warunkiem, że nie zostawiam

w sakwach żadnej bomby ani narkotyków.

Sakwy powędrowały pod stół, a ja obiecałem, że za cztery, najpóźniej pięć dni je odbiorę.

Pierwsze kilometry w stronę wulkanu nie były zbyt trudne. Szutrowa droga powoli wspinała się na strome zbocze, a pomimo pokaźnych zapasów jedzenia i wody, jakie zabrałem, rower był lżejszy niż przed kilkoma dniami.

Plan był prosty. Pierwszego dnia nocuję na wysokości 4800 metrów, następnego podjeżdżam do *campamento*, znajdującego się na wysokości 5340 metrów i kolejnego, trzeciego dnia, próbuję wjechać na wierzchołek. Czwartego dnia powinienem być z powrotem w Ollague.

Pierwsze 800 metrów przewyższenia pokonałem do późnego popołudnia. Rozstawiłem rower przy drodze, z pięknym widokiem na pozostawiony za plecami wulkan Ollague. Zjadłem wczesną kolację, a pod wieczór wybrałem się jeszcze na godzinny spacer w stronę masywu Aucanquilchy. Nawierzchnia była ciągle zadziwiająco dobra. Spodziewałem się piachu i kamieni, ale szlak był dość mocno ubity, choć od dawna nie było w okolicy żadnych opadów.

Nastrój miałem dość euforyczny, nie wiem, czy to z racji dość łatwego podjazdu, czy działającej na mnie wysokości. Właściwie nie czułem jej wpływu na organizm, a znajdowałem się prawie na 5000 metrów n.p.m. Jedynie podczas jazdy oddech był krótszy i szybko łapałem zadyszkę, przez co nie mogłem się też zbyt mocno rozpędzać, ale i okazji do rozpędzania tego dnia nie było zbyt wiele. Od momentu, kiedy minąłem zamkniętą kopalnię Amincha, droga cały czas pięła się pod górę.

Następnego dnia, ciągle w pięknej, bezwietrznej pogodzie, kontynuowałem jazdę w stronę *campamento*. Teren już nie był tak łatwy, jak poprzedniego dnia, coraz częściej trafiały się odcinki, gdzie z powodu zapiaszczenia drogi albo jej nachylenia musiałem pchać rower, bo jechać nie dawałem rady.

Do *campamento* dotarłem w południe. Kilka kilometrów wcześniej, z za którymś z zakrętów, wreszcie ukazała się góra w całej krasie, z zarysowaną linią prowadzącą na szczyt. Pośrodku zapiaszczonej niecki znajdowały się ceglane ruiny jakichś zabudowań, częściowo już zasypane. Po ich lewej stronie zionął pustką metalowy hangar z dolną stacją kolejki, a po prawej skrzypiały powyginane blachy, stanowiące pozostałości mieszkalnych baraków.

Zaczynało wiać i to mocno. Zastanawiałem się nad najlepszym miejscem na rozbicie namiotu, rozważałem blaszane baraki, ale w końcu rozstawiłem namiot w trzech ceglanych ścianach. Entuzjastyczny nastrój dnia poprzedniego trochę przygasł. Czułem jakiś dziwny niepokój, jakaś nagromadzona zła energia mąciła mi myśli. Nie wiem, co sprawiało, że to miejsce wydawało się bardzo przygnębiające. Może te porzucone,

niepotrzebne już nikomu metalowe sprzęty, niby przedmioty, ale jakby martwe istoty zostawione na pożarcie przez piasek i czas. Chodziłem między stalowymi linami, wózkami, przęsłami, kołami, niemalże słysząc dźwięki, jakie musiały kiedyś wydawać, w czasach, gdy jeszcze ktoś ich używał.

Zjadłem makaron i korzystając z pozostałych kilku godzin dnia, „wjechałem” jeszcze po bardzo piaszczystej drodze, na wysokość 5700 metrów n.p.m. Pomyślałem, że z jednej strony będę miał jeszcze lepszą aklimatyzację na następny dzień, a z drugiej, łatwiej mi będzie wjechać na górę.

Zostawiłem rower z kilkoma niezbędnymi rzeczami na drodze i zszedłem na nocleg do namiotu. Oczywiście do niczego go nie przypinałem, wiedząc doskonale, że nikt go zabrać nie może, ale i tak czułem się jakoś nieswojo zostawiając go na środku drogi.

Ranek nie był zbyt wesoły. Wiatr dął od samego rana. Oddychało się ciężko, nie było mowy o szybszym marszu, powolne, miarowe kroki i potem długie przerwy na wyrównanie oddechu.

Około godziny dziesiątej doszedłem do miejsca, gdzie zostawiłem rower i dalej kontynuowałem „jazdę”, choć powinienem napisać, że spacer, gdyż droga była tak zapiaszczona, że zupełnie wykluczała pedałowanie.

Prawie już zasypana linia kieruje mnie na drugą stronę zbocza, ale tam, za ostrym zakrętem, droga urywa się. Kilkaset metrów dalej pojawia się znów, ale wyraźnie prowadzi w dół. Za nic nie mogę odnaleźć szlaku prowadzącego na górę. Wspinam się po osypującym się żwirze i piachu pokonując kilka metrów w kilka minut, ciągnąc za sobą rower. Po godzinie takiego szamotania, nie mam już siły na dalszy marsz z rowerem. Próbuje raz z tej, raz z drugiej strony, ale ciągle podchodzę do miejsc, które z rowerem są zbyt ryzykowne do przejścia.

Jestem na wysokości prawie 6000 metrów n.p.m. Jest zimno. Nie mam już siły. Chce mi się płakać. Od dwóch godzin tracę siły na szamotanie się po piaszczystym osuwisku. Nie daję rady. Wokół jest pięknie, wspaniała dolina, jak okiem sięgnąć, kolorowe skały, jeziora, łagodne zarysy odległych górskich pasm. Co ja robię? Po co tu wchodzę? Przecież nie jadę już od rana, ciągnę za sobą rower jak wariat, do tego zupełnie bezcelowo, bo drogi nie ma, a po osuwisku nie daję rady.

Trzeba się było na siłownię zapisać, żelazem pomachać, kabel wyrobić, a nie książki czytać, powie po powrocie znajomy. Po powrocie poprawię kabel. Na razie jednak jest zimno, siłkę mam na stoku, z atrakcjami, z peelingiem i solarium w jednym, wiatr sypie piaskiem po oczach, słońce smaży jak w piecu, nie chce mi się już nigdzie wchodzić, ale najgorsze jest to, że nie chce mi się też nigdzie schodzić. Nie chce mi się w ogóle ruszać. Chce mi się spać. Cały jestem senny, najchętniej przytuliłbym się do skały i piasku i nigdzie już nie ruszał. Mózg kiepsko pracuje, ale jednak wola życia tym razem bierze górę. Trzeba zasuwać na dół, póki jeszcze zostało mi trochę

sily.



Nocleg pod wulkanem Aucanquilcha



Nocleg pod wulkanem Aucanquilcha

Jestem zmęczony. Tak, pisałem już przed chwilą, ale teraz jestem jeszcze bardziej zmęczony. Już nie zależy mi na górze, nie zależy mi na wchodzeniu.

Chcę się położyć, zakopać w śpiworze albo w czymkolwiek i przestać poruszać, wyciągnąć nogi, rozłożyć ręce i spać.

W dół, mimo wszystko, nie było już tak niebezpiecznie, jak początkowo myślałem. Docieram do namiotu, wieje jak cholera, zimno jeszcze bardziej niż na górze, pewnie zmęczenie wychodzi ze mnie, nocował jednak nie będę, zwijam się stąd, zabieram do miasteczka, zmykam do Ollague, póki widno jeszcze, tam coś zjem dobrego i zagrzebię w ciepłym śpiworze.

Jechałem na łeb na szyję, nie bacząc na dziury, muldy, kamienie, za nic mając ostrożność i rozsądek. Myślałem o górze, myślałem, dlaczego nie wszedłem, co zawiodło, ja zawiodłem, dlaczego ja zawiodłem, mózg trochę się przejaśnił, myśli wyraźniejsze, światła Ollague coraz bliżej, już dawno minąłem miejsce pierwszego noclegu, już się wypłaszczyło, już minąłem kopalnię Amincha, rozmyślałem o drodze, myślami jeszcze ciągle jestem na górze, przypominam sobie relacje Czarka Matulewicza, przecież pisał, że z drogi na szczyt prawie cały czas widać *campamento*, no i przecież pod koniec mojej drogi nie widziałem żadnych śladów prowadzących na górę, a wcześniej całkiem dużo odcisniętych śladów butów, po co więc szedłem na drugą stronę góry, bo była droga, myślałem, że da się podjechać, ale śladów nie było, podchodziłem nie z tej strony, podchodziłem ze złej strony, no i wreszcie dotarło do mnie, kiedy powoli dojeżdżałem do miasteczka, że droga na szczyt prowadziła z drugiej strony góry.

W całkowitych ciemnościach dojechałem zdruzgotany do Ollague i udałem się do *carabineros* po sakwy. Drzwi otworzył młody żołnierz.

— Dobry wieczór, wracam z Aucanquilchy, czy mógłbym zabrać swoje rzeczy?

— Jakie rzeczy?

— No te, które zostawiłem trzy dni temu. Próbowałem wjechać rowerem na wulkan Aucanquilcha i zostawiłem tutaj część rzeczy, w dwóch sakwach i chciałem je teraz zabrać.

— Ja nie wiem, gdzie są twoje rzeczy, przyjdź jutro.

— Ale ja wiem, gdzie są. Pod stołem w pokoju. Jak mnie pan wpuści, to pokażę.

— Nie mogę cię wpuścić, ja nic nie wiem, jutro przyjdź.

— Nie, proszę mnie posłuchać — prawie błagam, widząc, że żołnierz chce zamknąć drzwi. — Bardzo proszę, ja panu pokażę gdzie leżą, w pokoju obok, pod stołem, albo proszę sprawdzić samemu, ja tutaj poczekam, nie muszę wchodzić.

— Dobrze, poczekaj tutaj.

Zamknął drzwi. Ciemno, nikłe światło latarni z ulicy prawie tu nie docierało. Zimno, byłem spocony i stygłem, przez co momentalnie mnie wychłodziło.

Żołnierz długo nie wychodził, zastanawiałem się, czy pukać raz jeszcze, czy nie, wszystko zaczynało być trochę frustrujące, nie, żebym oczekiwał ze strony *carabineros* fanfarów (zresztą nie było za co) i wystawnej kolacji, ale rzeczywiście liczyłem na choćby filiżankę gorącej herbaty. A tu nawet bagaży nie mogę odebrać... Miałem już odejść i iść poszukać miejsca na rozbicie namiotu, kiedy mężczyzna wyszedł z moimi sakwami.

— Proszę, to chyba te?

— Tak, to te, dziękuję panu bardzo.

— A gdzie teraz jedziesz? Do hotelu?

— Nie, raczej nie. Myślę, że poszukam jakiegoś miejsca na rozbicie namiotu. Zostało mi bardzo mało pesos, a następny bankomat będzie pewnie dopiero w Uyuni.

— Jedziesz do Uyuni? Rowerem? To kawał drogi, ponad dwieście kilometrów, lepiej pojedź autobusem, rowerem nie dasz rady.

— Dobrze, jutro się rozejrzę za jakimś autobusem — uśmiechnąłem się. — Ale na razie muszę znaleźć miejsce do spania. Nie wie pan, czy gdzieś tutaj nie mogę rozłożyć namiotu na noc?

— Gdzie? Tutaj? Na ulicy?

— Nie, nie na ulicy, gdzieś obok, w jakimś ustronnym miejscu, tak aby nikomu nie przeszkadzać.

— No nie wiem, do środka nie mogę cię wziąć, przepisy nie pozwalają, a namiot w taki ziąb... i nie boisz się?

— Ale tutaj chyba bezpiecznie, prawda?

— Bezpiecznie czy nie, ale nieprzyjemnie, nigdy nic nie wiadomo. Boliwijczycy i inne typy się kręcą, przemytników dużo, a i tym tutaj nie wiadomo, co do głowy wpadnie, jak cię zobaczą w nocy z namiotem, psy też się włóczą głodne. Na pewno nie chcesz do hotelu? Jest kilka, Arbergue, Brin Bran...

— Ale już mówiłem panu, że za bardzo mnie nie stać na hotel... A w Brin Bran już nocowałem, ale na kilka dni jest zamknięty, właściciele mieli jechać do Calamy uzupełnić zapasy.

— No tak... no tak. Słuchaj, jest tutaj jeszcze jedno miejsce, co prawda nie dla turystów, ale może będą mogli cię przenocować, taka noclegownia *Municipalidad*. Zaraz ci wytłumaczę, jak tam dojść, to niedaleko, a gdyby się tam nie zgodzili, to wracaj tutaj, zadzwonię do naczelnego i zapytam, czy możesz zostać u nas.

Do *carabineros* już nie musiałem wracać. W *Municipalidad* przesympatyczny mężczyzna zgodził się, żebym został na noc, a nawet i na trzy, jeśli sobie

zyczę, bo potem będzie miał gości, ale przez trzy noce mogę wypocząć.

Rzeczywiście, zgodnie z tym, co mówił *carabinero*, nie było to miejsce dla turystów, tylko dla specjalnie zaproszonych gości: lekarzy, urzędników, najczęściej kogoś z Calamy, ale jeśli wszystkie inne miejsca w mieście w sezonie są zajęte, a w *Municipalidad* jest wolne, to można tam przenocować.

Dostałem pokój z grzejnikiem w środku, taką farelką, mogłem wziąć gorący prysznic i zjeść porządny posiłek. Nie było za darmo, ale pomyślałem, że już niech będzie, jakoś do Uyuni dojadę z tym, co mam.

Wieczór bardzo smutny, bardzo ciężkie myśli krążyły mi po głowie. Pracownik *Municipalidad* potwierdził, że droga na górę prowadzi nie od tej strony, z której próbowałem wjechać i że nie trzeba okrążyć góry, żeby wejść na szczyt. Siedziałem na kocu, wymyty, zmęczony, opierając się o ścianę i rozpamiętując dwa poprzednie dni. Płakałem. Idiotyczne łzy leciały po policzku. Bo przecież nic się nie stało. Świat się nie zawalił, nie drgnął nawet, nikogo to, co próbowałem zrobić nie obchodzi i obchodzić nie będzie, nikt nawet nie zauważył, a poza kilkoma znajomymi i trójką *carabineros*, nikt nawet nie wiedział, że próbowałem wjechać na jakąś pieprzoną górę w jakimś tam Chile. Z jakichś sobie wiadomych racji uważałem, że wjazd na górę po prostu mi się należał, za cały wysiłek i trud, jaki włożyłem w dojechanie do Ollague i za każdy metr przebyty pod wulkanem. Byłem bardzo blisko, a jednocześnie tak daleko.

Za łatwo zrezygnowałem, dlaczego nie zostałem na jeszcze jedną noc w *campamento*, dlaczego nie próbowałem ponownie wejść następnego dnia?

Im bardziej zapadałem się w noc, a jednocześnie w ciemne myśli, tym bardziej dojrzywałem do wniosku, że trzeba na górę wrócić.

Byłem zmęczony, byłem bardzo zmęczony. Jeszcze kilka godzin wcześniej marzyłem o przytulnym, ciepłym kącie, bezruchu, odpoczynku. Pałace pragnienie powrotu na wulkan nie przywróci mi nagle sił, nie doda więcej do kabła ani na ramionach, ani na nogach. Próbowałem myśleć racjonalnie, doszukiwać się szans powodzenia w powtórnej próbie wejścia na szczyt. Wiedziałem, że wjechać się nie da, ale mogę spróbować wnieść rower choćby i na wierzchołek. Jedzenie mogę dokupić. Wiem, którądy należy iść, znam drogę, jestem w odległości dwóch dni od *campamento*, a jak się postaram, to dotrę tam w jeden dzień. Jestem dobrze zaaklimatyzowany, dam radę. Dam radę. Proste. Jutro wracam pod górę.

Rozdział 17

Spałem płytko, miałem dziwne sny, obudziłem się podenerwowany, ale decyzję już podjąłem. Pracownik Municipalidad puka się w czoło, ale po chwili klepie po ramieniu, częstuje chlebem, serem i kawą. Radzi poszukać pana Donato, który zna każdy kąt w okolicy i dopytać się go dokładnie o drogę na szczyt.

Pana Donato znalazłem przed dziewiątą przy transformatorze. Jego praca w osadzie polega na włączaniu i wyłączaniu prądu, bo w ramach oszczędności w nocy prąd jest wyłączany. Przedstawiłem się i poprosiłem o radę. Mężczyzna przyznał, że droga na szczyt prowadzi z *campamento* prosto w górę i podczas wchodzenia na wierzchołek, prawie cały czas widać budynki. Że jadę rowerem, już nie dodałem i tak wystarczająco wymownie na mnie patrzył, kiedy mówiłem, że już tam byłem i wracam spróbować raz jeszcze.

Wróciłem do Municipalidad. Do *carabineros* nie zamierzałem jechać, w razie czego, jeśli nie wrócę za trzy dni, pan z noclegowni obiecał, że zawiadomi kogo trzeba i zorganizuje ewentualną pomoc.

— *Hombre*, wracaj szybko! Pokój czeka razem z ciepłą kolacją! *Y que te vaya bien!*

Tym razem zabrałem jedynie trzy litry wody i trzy litry coli, z zamiarem powrotu następnego wieczora, albo najpóźniej trzeciego dnia w południe.

Czułem się zmęczony fizycznie, ale psychicznie chyba nigdy jeszcze nie byłem silniejszy. Wyruszałem z ogromną determinacją i siłą woli, która ma wielką moc.

W jeden dzień zrobiłem prawie dwa kilometry przewyższenia. Jechałem jak w jakimś transie, naładowany myślą o wejściu na górę. Przypominałem sobie znajome muldy, większe kamienie, kolejne zakręty, im byłem wyżej, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że to, co robię, nie jest czystym idiotyzmem, ale ma jakiś sens. Nie wiem jaki. Taki mój własny.

Przed osiemnastą minąłem ostatni zakręt i po raz kolejny zobaczyłem porzucone zabudowania *campamento*. Czułem się dziwnie. Może wróciłem tylko po to, żeby kolejny raz dać się upokorzyć, już nie byłem taki pewny siebie, jak kilka godzin wcześniej, ściemniało się, było zimno i przeraźliwie pusto.

Namiot rozbiłem na świeżutkich jeszcze śladach. Zjadłem puszkę fasoli, nawet jej nie odgrzewając, po czym wyjąłem resztę rzeczy z sakw i ruszyłem po piachu, ciągnąc rower w stronę stoku. Po całym dniu rzeźnickiego podjazdu, nabrałem ochoty na jeszcze więcej sportu. Postanowiłem, podobnie jak poprzednim razem, wnieść rower kilkaset metrów wyżej, żeby

ułatwić sobie podejście następnego dnia.

W głowie miałem dziwne myśli, trochę radości, ale też trochę wstydu, że tak bez pokory pcham się znów na wierzchołek. W miejscu, w którym nie miało prawa być żadnego życia, bardzo mocno i silnie czułem czyjaś obecność. Niemal dotyk, i to nie wiatru, bo wieczorem ustał zupełnie i nastąpiła wielka cisza, nawet blachy zabudowań przestały zawodzić, a ja czułem tylko swój oddech i przyspieszone bicie serca. Ktoś obserwował, obejmował mnie.

Nad głową zawisło rozgwieżdżone niebo, nieprawdopodobnie nisko, nieprawdopodobnie blisko, przedstawienie trwało, ni to komedia, ni dramat, ziliard gwiazd patrzyło na mnie, a ja grałem dalej, ziliard gwiazd, których może już nie ma, przecież widzę tylko odbite światło, ziliard gwiazd nad głową, nieprawdopodobnie nisko, nieprawdopodobnie blisko, byłem pewien, że jeśli tylko wyciągnę rękę, to strącę je wszystkie na ziemię.

Wróciłem ledwo żywy do namiotu, nie miałem już siły na przygotowanie ciepłego posiłku. Schrubałem zupkę chińską i jak tylko przyłożyłem głowę do ziemi, natychmiast zasnąłem.

Dziwna to była noc. Pomimo zmęczenia spałem bardzo płytko, często budziłem się dosłownie łapiąc powietrze, w głowę ktoś jakby szpile wbijał, serce mocno przyspieszało i chwilami miałem wrażenie, że jestem w dusznym wnętrzu, niewietrzonym od tygodnia, a nie w przewiewnym namiocie. Pokonane w przeciągu kilku godzin dwukilometrowe przewyższenie poprzedniego dnia, nie pozostało chyba tak zupełnie bez wpływu na mój organizm.

Ranek był już znośniejszy, oddech jakby się wyrównał, miałem czym oddychać, ból w głowie minął, nastrój się poprawił.

Saperka w dłonie i poranny spacer, kilka wymachów ramionami, skłony tułowia, od razu cieplej, szybkie śniadanie, automatyczne ruchy, powielane po raz kolejny, zapach benzyny i kakao, zagrzebuję się jeszcze na chwilę do śpiwora, wyciągam bukłak z wodą, kuchenka działa bez zarzutu, delektuję się ciepłem, namiastką przytulnego kąta, na zewnątrz już wieje, w dłoni ciepły kubek, gorący płyn rozkosznie rozlewa się po przełyku, jeszcze chwilę, prolonguję ruchy, przekładam moment, kiedy trzeba będzie wstać i ruszyć dupsko na górę po rower, śniadanie rozleniwia, nie chce mi się bardzo, mózg znów gorzej działa, właśnie, dziś przecież moje urodziny, jak zwykle obchodzę bez rodziny, manowce, organki, Stachura, życzenia od Rafinerii, ona zawsze pamięta, jakoś się smutno zrobiło, pewnie przez ten wiatr, biorę picie, ciastka, rodzynki i ruszam w górę.



Aucanquilcha



Aucanquilcha

Kilka kroków do przodu i przerwa na wyrównanie oddechu. Chyba trochę się przeliczyłem z siłami, ale idę, innej drogi nie ma. Dopiero po jakiejś godzinie doszedłem do roweru; gdybym go tam nie zostawił poprzedniego dnia, nie wiem, czy nie zrezygnowałbym z podejścia i nie wrócił do Ollague.

Kiedy już jednak się przy nim znalazłem, jakby sił trochę przybyło. Zjadłem herbatniki, poprawiłem rodzynkami i pokruszoną, zlodowaciałą colą i ruszyłem dalej. Doszedłem w końcu do miejsca, w którym poprzednim razem skręciłem na zachód. Tym razem wybrałem drugi kierunek. Kilka razy widziałem odbite w piachu ślady butów, w dole ciągle widać było zabudowania *campamento*, wyglądało na to, że idę w dobrą stronę. Wiało mocno, podchodząc, nie czułem zimna, ale wystarczyło na moment się zatrzymać, aby od razu poczuć lodowate podmuchy. Podejście stało się bardziej strome, szedłem po rumowisku skalnym, niosąc rower na plecach, wcale już nie będąc takim pewnym, czy jest to dobra droga. Być może gdzieś niedaleko była lepsza, mniej kamienista, ale na rekonesans nie miałem ani siły, ani czasu. Z godziny na godzinę słabłem, poruszałem się coraz wolniej i coraz dłuższe robiłem przerwy na wyrównanie oddechu. Znajdowałem się na wysokości ponad 6000 metrów, do szczytu zostało niecałe dwieście, widziałem go, był na wyciągnięcie ręki. Jeszcze trochę bólu i będzie po wszystkim.

I wtedy urodziła się w mojej głowie myśl, że cały ten wysiłek jest zupełnie bez sensu. Siedziałem na kamieniu, wyrównywałem oddech i kiedy wyobraziłem sobie, że ktoś z boku stoi i przygląda się, jak po kamieniach wchodzę na szczyt z rowerem na plecach, zacząłem się głośno śmiać, a cały ten pomysł wniesienia jednoślada na wierzchołek wydał mi się idiotyczny. Dlaczego nie wszedłem bez roweru? Nie wiem. Pomyślałem, że skoro nie mam siły wejść z rowerem, to nie wchodzę wcale.

Wygrzebałem jeszcze trochę coli ze sztywnej butelki-grzechotki i zacząłem schodzić. Co czułem? Już w zasadzie nie pamiętam, ale w głowie było bardzo mało rozczarowania, a więcej świadomego pogodzenia się z losem i pewnego rodzaju zadowolenia. Nie było fanfarów na szczycie i prezentu na urodziny. A jednak jechałem z uśmiechem. Przecież ciągle żyłem. Żyję. Spróbowałem. Próbowałem wjechać, wnieść rower, nie udało się, kogo to obchodzi, poza mną? Jaki to ma wymiar? Żaden. Absolutnie żaden. Ale spróbowałem przynajmniej i to się liczyło. Miało sens. Mały, ale zawsze jakiś.

Zwijając namiot szybko, w pośpiechu, chciałem wykorzystać jeszcze trochę światła dnia w drodze do Ollague. Przed zakrętem ostatni rzut oka na jasne zbocze i *campamento*. Wrócę tam kiedyś? Nie wiem. Jak zmądrzeję, to pewnie nie, a jak nie zmądrzeję?

Zjeżdżając w stanie, w jakim się znajdowałem, musiałem tym bardziej uważać na piach, doły i kamienie. Ostatni raz czułem się tak zmęczony, kiedy rozładowywałem na stacji kolejowej wagon cementu na palety.

Dojechałem do Municipalidad. Pan nawet nie pytał, jak poszło, chyba wyczytał z mojej miny, a może po prostu zupełnie go to nie obchodziło. Zgodnie z obietnicą, trzymał dla mnie pokój. Wniosłem wszystkie rzeczy do

ciepłego pokoju, wziąłem gorący prysznic, zjadłem przepyszną kolację, pogawędziłem trochę. W końcu zapytał, jak tam na górze, pusto, zimno, i po co to się tak męczyć, jemu by się nie chciało, i słusznie, myślę sobie, trochę zdrowego rozsądku i mnie czasem by się przydało, wróciłem, tym razem znów się udało, wpadłem w zadziwiająco dobry humor, może to dzięki frytkom z *milanesą*, frytki wyborne, kawa palce lizać, wszystko pyszne, pan dobry, a pokój jeszcze lepszy, ciepły, przytulnie, ech, życie jest piękne, aż chce się żyć.

Siedzę w pokoju, jak kilka dni wcześniej, pod tą samą ścianą, na tym samym kocu, w zasadzie nic się nie zmieniło, życie płynie dalej, zasypiam błogo, żadne złe duchy mnie nie męczą tej nocy.

Rozdział 18

Rankiem długo nie mogłem wstać z łóżka. Nie miałem mocy, siły zeszyły ze mnie jak powietrze z koła, bolały mnie wszystkie mięśnie, łącznie z partiami, o których wcześniej nie miałem pojęcia, że istnieją i również pracują na rowerze.

Wreszcie jakoś się przemogłem i wstałem. Okazało się, że jest już jedenasta, spałem trzynaście godzin. Zjadłem szybkie śniadanie, mogłem skorzystać z kuchni, wziąć na drogę gorącą wodę do termosu, trochę pieczywa, sera i herbatników. Na drogę dostałem mały kamyk. Dziękuję. *Y que te vaya bien!*

Przejeżdżam przez Ollague, żegnam opustoszałą osadę z nieodpartym wrażeniem, że więcej tego miejsca nie zobaczę, choć kto wie, życie płata figle.

Formalności na granicy przebiegły prawie niezauważalnie. W chilijskiej *aduanie* oddałem karteczkę, którą dostałem na poprzedniej granicy, tym razem nie musiałem wypełniać druków z potwierdzeniem, że nie wwożę żywności, owoców ani innych, standardowo zakazanych rzeczy, typu broń, narkotyki, amunicja.

Pięć kilometrów ziemi niczyjej i dojeżdżam do osady Aurora, gdzie znajduje się *aduana* boliwijska. Wszedłem do maleńkiego pomieszczenia, w którym za miniaturowym biurkiem siedział umundurowany mężczyzna. Na moje dzień dobry machnął ręką, co odczytałem, jako poczekaj. Stałem i patrzyłem, jak jednym palcem wstukiwiał coś do komputera. Wyglądał na zniecierpliwionego i trochę rozzłoszczonego, więc żeby go nie drażnić, bo i tak pewnie już był wystarczająco zdołowany pracą w takim miejscu, pomyślałem, że wyjdę i poczekam na zewnątrz.

— Hej, gdzie idziesz, stój! — padła komenda.

Zatrzymałem się w pół kroku.

— Nie chciałem panu przeszkadzać, mogę poczekać na zewnątrz.

— Chodź tutaj, nigdzie nie wychodź, paszport!

Podąłem dokument i czekałem na rozwój wypadków.

Spodziewałem się teraz jakichś pytań, problemów, prób wyłudzenia pieniędzy czy rzeczy osobistych, choćby i roweru, w końcu byliśmy teraz sami, ja właśnie oddałem mu paszport, gdyby chciał mnie skuć i postraszyć leżącym w kącie karabinem, pewnie nabitym, nie sądzę, abym dyskutował.

Pan kartkował paszport, oglądał różne pieczętki i naklejki, po czym zapytał:

— Teraz jedziesz do Uyuni? Którą drogą?

— Tak, do Uyuni, ale nie wiem, którą drogą, bo nie mam mapy, myślałem, żeby przejechać przez salar.

— Przez salar lepiej nie jedź, bo się zgubisz, na salar możesz wjechać później, za Alotą, albo jak już dojedziesz do Uyuni, tam są lepiej oznaczone drogi.

— To któreśdy by pan radził? — zapytałem.

Mężczyzna sięgnął do szuflady i wyciągnął podniszczoną mapę.

— Podejdz. Zobacz, jesteśmy tutaj, stąd są dwie drogi, albo siedemset jeden, albo droga na Alota, ta bardziej na południowy wschód. Będiesz miał trochę dalej do Uyuni, ale nawierzchnia lepsza i jest jakiś ruch na drodze. Jak coś ci się stanie, to możesz liczyć na pomoc, a na tamtej nic prawie nie ma. Proszę, tutaj jest twój paszport. A tę mapę możesz sobie zatrzymać, przyda ci się, nie jest może najlepsza, ale zawsze lepsza taka niż żadna.

Podziękowałem za mapę i wyszedłem na zewnątrz. Trochę mi było wstyd za własne chore myśli, za nieufność i podejrzenia, że oto zaraz ktoś mnie wykorzysta. Nagle przypomniałem sobie, że nie mam przecież ciągle boliwijskiej waluty.

W Ollague była możliwość wymiany, ale i właściciel restauracji Brin Bran i pan z Municipalidad poradzili wymienić pieniądze na granicy, bo będzie lepszy kurs. Kantoru w okolicy nie zauważyłem, co w sumie było uzasadnione, mając na względzie ruch na tutejszej granicy. Poza kilkoma samochodami, stojącymi obok punktu granicznego, nie było nikogo.

Kantoru nie znalazłem, wróciłem więc na moment do celnika, aby zapytać go, czy nie mógłby mi wymienić trochę pesos. Mężczyzna nie miał, albo nie chciał, ale poradził iść do pobliskiego sklepu. Rzeczywiście, w sklepie bez problemu wymieniłem pozostałe dziesięć tysięcy chilijskich pesos. Suma ta musiała mi wystarczyć na kolejne trzy, cztery dni drogi do Uyuni.

W sklepie uzupełniłem zapasy, kupiłem makaron, ciastka i kilka konserw.

Zgodnie z sugestią, decyduję się nie jechać drogą numer siedemset jeden, tylko drogą prowadzącą na południowy wschód, która rzeczywiście wyglądała o wiele lepiej i według pogranicznika była główna.

Może i droga ta była główna, ale nie sądzę, aby mężczyzna jechał nią kiedyś rowerem. Zapewne nie omieszkałby wspomnieć, że droga przez kilkanaście kilometrów cały czas prowadziła pod górkę! Do tego wiatr jakby zmienił kierunek i z zachodniego, przeważającego o tej porze roku na tym obszarze, zaczął wiać z kierunku południowo -wschodniego. Kląłem pod nosem, ale nic się zrobić innego nie dało, samo się nie przejedzie.



W stronę Uyuni

Do wieczora wjechałem na wysokość 4300 metrów... Tego w grafiku na ten dzień nie było, miało być płasko i przyjemnie, z wiatrem w plecy prosto na wschód, a tu taka niespodzianka... Do samego wieczora nie jechałem, nie miałem już siły, po prostu wypłułem się tego dnia całkowicie.

Wieczorem coś fantastycznego zaczęło się dziać nad okolicznymi wzgórzami. Na jednolitym niebieskim, niezmiennie bezchmurnym niebie, jakie miałem nad głową od tygodni, pomijając kilka wybielonych *altocumulusów*, nagle zobaczyłem chmury. Masę chmur. Zasnuły całe niebo, a kiedy słońce schowało się za horyzont, rozpoczął się niemy spektakl. W rolach głównych chmury atmosfery wysokiej, na czele z obłokami srebrzystymi i nocnymi świecącymi. Feeria barw na niebie, nie mogłem oderwać oczu, czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem i pewnie już więcej nie zobaczę.

Stałem i stałem, patrzyłem, usiadłem, nadchodząca noc zabrała wszystkie dźwięki, za moment zagarnie barwy, ciemność rozłoży, trzeba namiot rozbić, pięknie jest, jeszcze maleńka czerwono-żółta plamka na niebie, ale zaraz zgaśnie, na końcu i tak zawsze tylko mrok i zimno, w piekle musi być strasznie zimno, myślę sobie, żaden tam upał, żadna smoła i ogień, tylko mróz i lód, i porywisty wiatr, i wszechogarniająca, nieprzenikniona ciemność, żadnych barw, kolorów, żadnych wzruszeń, chowam się pod tropik, makaron z makaronem wciągam powoli, zjadam pół menażki, więcej

nie mogę, reszta będzie na śniadanie, mój żołądek chyba się skurczył, pół porcji i wysiadam, brzuch mi rozsadza, prawie zasypiam nad kartką papieru. Dopiero nocą, zimno skrycie do namiotu wpęzło, brutalnie do śpiwora zaciągnęło, suwak zasunęło, kaptur zacisnęło, wespół zasnęło, zgasło.

Następnego dnia obudziłem się zupełnie bez sił, ciało uparcie odmawiało ruchu, nie wiem, jak długo jeszcze bym leżał, gdyby nie pęcherz moczowy, nawet śniadanie wiele nie pomogło.

W końcu zebrałem się w sobie i ruszyłem, ale jechałem jakby w lekkim półśnie. Nie, żadna koka, żadne piguły, żadne kawowe nalewki firmy Tres Plumas, wiatru nie było, ustał zupełnie, teren nie był ciężki, czasem trafił się jakiś podjazd, ale mizerny, a mimo to jechało się fatalnie.

Często schodziłem z roweru i szedłem, nawet na płaskim terenie, nie mówiąc o pomniejszych pagórkach. W stanie prawie całkowitego wyczerpania niewiele się myśli, albo wiele myśli, a potem niewiele pamięta, w sumie na jedno wychodzi. Z całego dnia pamiętam lamy, dużo lam i dużo białych jeepów. Kilka spotkań. Czy wszystko ze mną okej? Pewnie, że tak, mówiłem, jak najbardziej okej, więc nie wiem, dlaczego ciągle pytali, czy aby na pewno wszystko okej, więc po raz kolejny mówiłem, że oczywiście, najzupełniej okej, więc już nie pytali, czy okej, tylko czy nie chcę pojechać z nimi do Uyuni.

Być może był to przejaw nieklamanej troski i chęci pomocy, który nieopatrznie wziąłem za próbę złowienia frajera i wyłudzenia od niego pieniędzy, co zakładać było oczywiście kompletnym idiotyzmem i nonsensem, ale w tamtym momencie, tamtego dnia, w tamtych okolicznościach, nie myślałem bynajmniej zdroworozsądkowo i odmówiłbym nawet Natalie Portman.

Jeszcze jedna noc, zaraz przed San Cristobal, gradobicie mnie zatrzymało, żadne majaki, prawdziwy grad obijał mi głowę, trochę orzeźwił, dobrze, że w porę rozstawiłem namiot, tyle że już do miasteczka nie dojechałem, a zapasy się kończyły i nie bardzo było co na kolację do makaronu dodać.

W San Cristobal, za resztę boliwianów, kupiłem dwa ogromne hot dogi i ruszyłem na ostatnią prostą. Pomimo stosunkowo krótkiego odcinka i łatwego terenu do Uyuni dojechałem dopiero wieczorem, choć bardziej adekwatne byłoby napisanie, że do miasta „dopchałem się” albo „dospacerowałem”.

Miasto. Budynki. Światła. Ludzie. Ruch. Bankomat. Zameldowałem się za czterdzieści boliwianów (równowartość około dwudziestu złotych) w hostelu International i zapłaciłem od razu na cztery noce. Założyłem, że tyle powinna mi zająć regeneracja sił. W pokoju zimno, ale od czego jest siedemnastoprocentowa kawowa nalewka Tres Plumas! Humor powrócił, ale dobrego nastroju nigdy za wiele, na niezłej już fazie poszedłem więc jeszcze do małej restauracji na frytki z kurczakiem. Zjadłem połowę zamówionej

porcji, resztę wziąłem „na wynos”. Wróciłem do hotelu, zwałem się na łóżko i momentalnie zasnąłem.

Rozdział 19

Rankiem wybrałem się na spacer po Uyuni. Miasto jak miasto. W sumie nic więcej ponad to, czego oczekiwałem. Kolejna mekka turystów, w której, gdyby nie mój wyczerpany organizm, domagający się kilkudniowego odpoczynku, nie zabawiłbym dłużej niż dwie noce.

Cmentarzysko starych pociągów, pani ze świnką *chrum chrum* na spacerze, kobiety w melonikach. Tyle z atrakcji. Ale pomimo całej awersji, jaką odczuwam na samą myśl o miastach, Uyuni miało jedną, ogromną, niezaprzeczną zaletę. Było wprost zalane jedzeniem. Najróżniejszym. Na różne żołądki i każdą kieszeń. Wabiło zapachami wprost z ulicy, z kramów, bazarków, skleconych z blachy prymitywnych piecyków, na których smażyły się frytki, kurczaki, tłuste racuchy i placuszki.

Mogłoby się wydawać, że trudno się będzie do tych kramików dopchać, na bazarze będą się tworzyć kolejki po świeże owoce, pieczywo czy lukrowane pączki, po frytki za jednego boliwiana trzeba będzie czekać kwadrans, a miejscowi będą zachwyceni możliwością zarobku na przyjeżdżających turystach. Nic bardziej mylnego.

Czym najbardziej różnili się przyjezdni od miejscowych? Wcale nie kolorem skóry, nie wyglądem, ubraniem, melonikami czy ich brakiem. Tylko miejscem, do którego chodzili coś zjeść. Co radzi najpopularniejszy na świecie anglojęzyczny przewodnik dla tak zwanych backpackersów, jeśli chodzi o jedzenie? *Avoid the market!* Nie chcesz zachorować, to za żadne skarby nie kupuj niczego na ulicy i trzymaj się z daleka od bazaru, wylęgarni chorób i zarazków. Zamiast tego, idź do pizzerii, radzi przewodnik. Albo do jednej z wielu restauracji, znajdujących się na tej samej ulicy, jedna przy drugiej, restauracji czystych, schludnych, higienicznych, z angielskim menu i odpowiednim, „właściwym” towarzystwem.

Trzy dni stołuję się wśród miejscowych. Pani spod hotelu, sprzedająca przepyszne racuchy, rozkłada kramik późnym popołudniem, do tego czasu można iść na bazar i tam poprzebierać w najróżniejszych kolorach, smakach i kształtach. Na ciepło albo na zimno, owoce, warzywa, włoszczyzna, próbuję to tego, to tamtego, ciastka, pączki, rurki z pysznym kremem, wszystko śmiesznie tanie i naprawdę nie rozumiem, dlaczego spotkałem tam tylko dwie pary turystów, do tego ciągle tych samych, aż ta koincydencja dnia trzeciego sprawiła, że zaczęliśmy rozmowę, o jedzeniu oczywiście, porównaliśmy produkty w koszykach i wspólnie stwierdziliśmy, że bazar jest największą atrakcją w mieście.



Uyuni



Uyuni



Uyuni



Uyuni



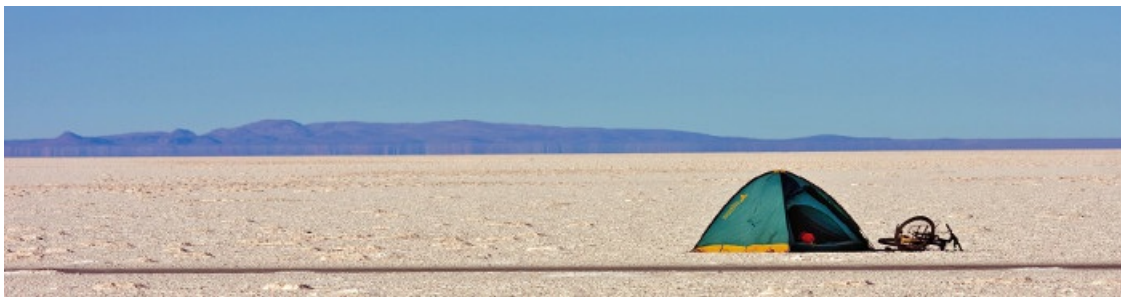
Uyuni

Po kilkudniowym odpoczynku z przyjemnością znów wsiadłem na rower. Obciążony jedzeniem, ruszyłem na północ, w stronę największego na świecie solniska Salar de Uyuni. Dobry humor szybko prysnął, jak tylko wyjechałem za zabudowania. Szutrowa droga była tak wyboista, że wybrałem znajdującą się obok piaszczystą ścieżkę. Niektóre odcinki były jednak tak zapiaszczone, że pomimo najszczerzych chęci, musiałem zsiadać z roweru i go przepychać. Na szczęście do wioski Colchani, gdzie zaczynał się wjazd na salar, nie było zbyt daleko. Kamienne murki oznaczały dokładnie miejsce, gdzie należało rozpocząć przejażdżkę po jeziorze. Te miejsca wjazdu nabierają znaczenia szczególnie latem, kiedy brzegi są roztopione i mocno zabagnione, ale nawet i zimą palące słońce trochę roztopia zamarznąłą powierzchnię i może tworzyć przybrzeżne grzęzawiska.

Wjechałem na słoną drogę i ruszyłem w stronę znajdującej się pośrodku jeziora „wyspy” Pescado. Trochę dziwnie się czułem, jadąc po białej nawierzchni, ale raczej nie musiałem się obawiać, że zgubię drogę. Przejeżdżające codziennie turystyczne jeepy na tyle dobrze rozjeździły powierzchnię, że miejscami odznaczała się ona innym odcieniem od wszechobecnej bieli, tworząc na jeziorze ciągnącą się po horyzont szarą jednopasmówkę. Niezbyt daleko od brzegu minąłem wybudowany na salarze hotel. Z ciekawości zajechałem i zapytałem o możliwość noclegu. Pomimo ostrzeżeń właścicielki hotelu, że w namiocie zamarznę, nie skorzystałem z przyjemności przespania się w pokoju bez okien za równowartość jedynych stu złotych. Ruszyłem dalej w stronę białego horyzontu. Przepiękny zachód słońca, bezwietrzny wieczór, rozbiłem namiot trochę dalej od ciemniejszej linii, na wszelki wypadek, gdyby jakiś pirat drogowy za późno rozpoczął hamowanie.

Przebrałem się w puchowe ciuchy i przed namiotem, siedząc na karimacie, zjadłem makaron z kurczakiem i popijałem ciepłą herbatę z nalewką Tres Plumas. Nad głową jaśniało zyliard gwiazd, cisza zajęła już swoje miejsce, dokoła nie było najmniejszego ruchu, żadnego dźwięku poza tym, jakiego sam byłem źródłem. Było mroźno. Było cicho. Było pięknie.

Rankiem ruszyłem po białych śladach, będąc raz po raz wyprzedzanym przez turystyczne jeepy. Po godzinie jazdy zauważyłem na horyzoncie dwa małe punkciki, nie może być inaczej, rowerzyści, trochę trwało, zanim zrównaliśmy się ze sobą, austriacka para, jadą z Alaski, mają za sobą dwadzieścia trzy tysiące kilometrów. Dostaję karteczkę z adresem strony, pewnie, że napiszę pozdrowienia, ustawiam się jakoś tak mało raźnie do zdjęcia, fotografują po drodze wszystkich rowerzystów, tak, oczywiście, że zajrzę na stronę, ale zrobiłem to dopiero w Polsce (www.2roadrunners-on-tour.at).



Salar de Uyuni



Salar de Uyuni

Patrząc za dwoma oddalającymi się punktami, skąd ten smutek, o co mi chodzi, co z tego, że oni już od roku w drodze, będziesz chciał, to i ty kiedyś pojedziesz, myślę sobie, wcale nie tak łatwo, a może łatwiej, niż mi się wydaje.

Przed szesnastą dojechałem do Isla del Pescado. Wyspa na środku solniska, piękna. Okazuje się, że nawet w takim miejscu można niezłe zarobić na turystach. Choć w sumie nie powinienem się dziwić. Niepotrzebnie dźwigałem z Uyuni tyle wody, na wyspie jest wodopój i to nie byle jaki. Zaraz za parkingiem pyszni się wypasiona restauracja, jest i nowobogacki hotel, właśnie do brzegu dobiła wycieczka amerykańskich emerytów, idą powoli, obwieszeni sprzętem fotograficznym, nie, bynajmniej, nie mam nic przeciwko emerytom, Amerykanie też mnie niewiele obchodzą, ale znów czuję, że siedząc pod kaktusem i wciągając tłuste racuchy, jakoś tu nie pasuję.

Racuchy pyszne, nawet zimne, tłuszcz kapie mi po brodzie, spływa po palcach, czy zawsze ktoś się musi do czegoś przyczepić? Tak, widziałem znak, że nie ma nocowania na wyspie, czy naprawdę pan pomyślał, że będę chciał się rozbić przy kaktusie? Skąd tyle agresji w tym typie, przecież tylko siedzę i jem racuchy, jaki bilet? Przecież niczego nie idę zwiedzać, trzeba kupić bilet? Dobrze, dobrze, co pan taki nerwowy, już idę, wsiadam na rower, już mnie tam nie ma, wracam na salar, jeszcze nieogrodzony, ale pewnie niedługo będzie, wprowadzą bilety wstępu, właściwie to dziwne, że

jeszcze nikt na to nie wpadł. Nie chcę już jeziora, wracam na ląd, góry wydają się być na wyciągnięcie ręki, ale jadę prawie trzy godziny, zrobiła się noc, drogi nie widać, w oddali nikłe światła wioski Tahua, kieruję się na nie i w końcu jestem na lądzie, skręcam w prawo, znów piasek, piasek i kamienie, wkręcam się w podjazd, nieduży, ale się zasapałem, marzną ręce, policzki, przystaję i patrzę, że światła zostały gdzieś z tyłu, skręciłem nie w tę stronę, trudno, wracać się nie chce, przede mną kolejna wioska, zajeżdżam na jakieś podwórko, budynki ciemne, wyglądają na niezamieszkałe, tu będzie dobrze, nikt tu nie przyjdzie, skąd nagle jeszcze większa niechęć do ludzi?

Nie rozpalam kuchenki, chowam się do namiotu, w środku czuję się bezpiecznie, dziwna pewność, że tej nocy nikt nie przyjdzie, racuchy pyszne, woda zamarzała, bukłak trzeba włożyć w śpiwór, pójdę już spać, przytulam się do polarowej bluzy, już jest dobrze, ciepło i cicho, noc mnie zagarnia momentalnie.

Spałem długim, mocnym, ożywym snem. Wysunąłem głowę z namiotu, podwórko w dzień nie wyglądało aż tak odpychająco jak w nocy, ale rzeczywiście teren wydawał się niezamieszkały i najprawdopodobniej od dawna już opuszczony. Namiot schowany był za wysokim murem, z drogi wcale nie było mnie widać, mogłem więc w spokoju rozpałić kuchenkę i przygotować ciepły posiłek.

Z mapy wynikało, że znajdowałem się w wiosce Caquesa, położonej na północ od Salar de Uyuni. Dalej droga prowadziła na wschód, do miejscowości Salinas de Garci-Mendoza, otaczając od strony południowej wulkan Tunupa.

Zjadłem potężne śniadanie, poleniuchowałem jeszcze trochę na karimacie i zanim złożyłem namiot i byłem gotowy do drogi, zrobiło się prawie południe.

Kończyłem mocowanie sakw na bagażniku, kiedy zupełnie niespodziewanie usłyszałem za sobą męski głos.

— Dzień dobry!

Odwróciłem się. Oparty o gliniany murek, przyglądał mi się starszy mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem.

— Dzień dobry! — odpowiedziałem, po czym, czując się jak dziecko przyłapano na kradzieży jabłek z ogrodu sąsiada, zacząłem się tłumaczyć i przeproszać, że nocowałem na podwórku, nikogo nie pytając o pozwolenie.

— Nie szkodzi, tutaj i tak nikt nie mieszka, a przyjechałeś zobaczyć mumie?

— Jakie mumie?

— Mumie Chinchorro. Są nad wioską. Jeśli chcesz, to dam ci klucz, bo jaskinie są zamykane, a rower możesz zostawić u mnie na podwórku.

Z chęcią przystałem na propozycję. Mężczyzna wskazał mi ścieżkę, która miała mnie doprowadzić na miejsce i poprosił, abym nie zapomniał zamknąć

za sobą drzwi do jaskini.

— Różni ludzie się kręcą, lepiej zamykać, a o rower możesz być spokojny, z mojego podwórka nikt go nie zabierze. Klucze oddaj mojej żonie, bo później pewnie nie będzie mnie w domu.

Po godzinnym marszu dotarłem do jaskiń. W środku, w nikłym świetle dochodzącym z otwartych drzwi, naliczyłem siedem sztuk dobrze zachowanych szkieletów, fragmenty włosów, zarysy ścięgien, opadłe żuchwy wykrzywione w odpychającym grymasie. Dziwna sprawa, ale coś pociągającego było w tym miejscu, coś perwersyjnego, patrzyłem na te szkielety, wpatrywałem się w nie i myślałem, jak cienka, jak niezmiernie cienka jest granica pomiędzy jednym i drugim, które nawet nie wiadomo, czy jest. I że to pierwsze w każdej chwili może się skończyć, i że to cholernie nie fair, że jest to jedynie pewna rzecz w życiu.

Wróciłem do wioski, oddałem klucze i ruszyłem w dalszą drogę. Nawierzchnia była fatalna, jechałem albo po szerokich łachach piachu, albo po wielkich kamieniach. Kilka kilometrów dalej stało się coś, czego skutki miałem odczuwać do samego końca tej wycieczki. Otóż, kiedy zjeżdżałem szybko ze stromego, kamienistego zbocza, jakiś dziwnie głęboki dół pojawił się na mojej drodze, niestety, nie miałem już szans, aby wyhamować, zdążyłem tylko lekko podbić rower, ale tylne koło i tak wpadło w rozpadlinę, rowerowe rodeo, rozpędzony rumak prawie wybił mnie z siodełka, rower na moment stał się jakiś lekki, usłyszałem głośne trach, jakby ktoś rozłupał orzech włoski, i zanim zdałem sobie sprawę, co naprawdę się stało, na ułamek sekundy zobaczyłem twarz babci, która od małego powtarzała: żebyś tylko nie jeździł jak szatan!

Zatrzymałem się kilkanaście metrów dalej, postawiłem rower, spojrzałem na drogę. W rowie leżała tylna sakwa. Donośna polska *puta* odbiła się echem od okolicznych wzgórz. Rzut oka wystarczył, aby dotarło do mnie, co się właśnie stało. Ja żyję, dziwnym trafem utrzymałem się na siodełku. Zamiast mnie, wystrzeliła z bagażnika tylna sakwa, dokładnie ta, w której woziłem sprzęt fotograficzny, po czym najprawdopodobniej uderzyła z impetem w wielki, leżący na poboczu głaz. Jeden duży kamień w promieniu co najmniej stu metrów.

Podszedłem bliżej, podniosłem torbę z ziemi i z niepokojem zajrzałem do środka. Niestety, sprzęt wyjąłem w dwóch częściach. Był w futerale, ale włożony do sakwy od strony zewnętrznej. Wyglądało na to, że torba uderzyła w głaz dokładnie w miejscu, gdzie znajdował się aparat. Uderzenie było tak silne, że obiektyw rozerwało na pół. Co ciekawe, pomimo metalowego korpusu, okazało się, że niektóre elementy w środku zbudowane były z plastyku i na granicy elektronicznych styków obiektyw się przepołowił. Pech chciał, że akurat tego dnia nie zapiąłem pajęczkami sakw nad bagażnikiem, a robiłem to przecież codziennie... Straciłem szerokąkątny obiektyw o

ogniskowej 17 -40 milimetrów i zostałem z jednym stałogniskowym 135 milimetrów.

Zdjąłem pozostałą część połamanego szkła i założyłem drugi obiektyw. Zrobiłem kilka zdjęć. Zakrawało to na cud, ale aparat chyba działał. Na pierwszy rzut oka wyglądał dobrze, ale aparat nie mogłem zagwarantować, czy w środku nie uległy uszkodzeniu jakieś delikatne elementy. Miałem jeszcze drugi korpus, tyle że analogowy, a na kupno rolek filmów na tym pustkowiu raczej liczyć nie mogłem. Pozostały mi jeszcze dwa slajdy, które musiały wystarczyć na najbliższe dni.

Rozdział 20

Po tej przygodzie trochę przygasłem i zanim ruszyłem dalej, posiedziałem jeszcze chwilę na piasku. Musiałem sam siebie jakoś przekonać, że nic się nie stało, że żyję i mam się dobrze i że to był tylko przedmiot. W końcu jakoś wyprostowałem myśli i pchnąłem się dalej po kamieniach i piachu, ale i tak było mi smutno i obrazy w głowie miałem ciężkie, cięższe niż rower z bagażem, przez co siły nie miałem wcale i częściej rower pchałem, niż na nim jechałem, choć do tego już się powoli zacząłem przyzwyczajać, że w Boliwii mniej się na rowerze jeździ, a więcej z nim spaceruje.

I tak sobie spacerkiem doszedłem do Colcayi, bez najmniejszej nadziei, że tego dnia uda mi się dojechać do Salinas, co planowałem rankiem i że uda się przespać gdzieś pod dachem, ale oto w wiosce przygodnie spotkany chłopiec, za którym stało chyba ze sto lam, a może już miałem majaki, ale krowy to przecież nie były, więc chłopiec od setki parzystokopytnych zwierząt powiedział, że droga do Salinas dobra i że rowerem dojadę w godzinę, bo on sam jeździ w godzinę, a mój rower lepszy i widziałem błysk w jego oku i dlaczego właściwie nie zostawiłem mu tego roweru, a sam nie podreptałem na piechotę? Byłem blisko, byłem na krawędzi zrobienia tego, choć mimo wszystko, chyba lepiej, że nie wymieniłem roweru na lamę, światła było widać, aż nie chciało mi się wierzyć, że to już Salinas, ale tutaj postrzeżenie jakieś pokręcone, niby blisko, a ciągle daleko, przestrzeń czy czas, wszystko jedno, więc światła widziałem, były na wyciągnięcie ręki, a jechałem do nich ponad godzinę.

W Salinas pusto, nikogo na ulicach, mury wysokie, już miałem gdzieś namiot rozstawić, ale nagle dostrzegłem napis: Hotel Salinas, zaraz za zakrętem. Nocleg za równowartość pięciu złotych, aż trudno uwierzyć, a jednak i pokój schludny, i pani miła, dała mi termos z gorącą wodą i obiecała obudzić, bo śniadanie tylko rano, a mój biologiczny budzik ostatnio nie dzwonił z rana.

Nowy dzień przywrócił trochę optymizmu, na śniadanie jajka sadzone i pyszny chleb, do tego kawa, wszystko za grosze, kończyłem, kiedy przysiadł się do mnie mężczyzna i zapytał, gdzie jadę.

— Do Coipasy — odpowiedziałem.

— Do Coipasy? A po co, po sól?

— Nie — odpowiadam, śmiejąc się — Tak bez celu jadę, po prostu, bo po drodze jest.

— Aa, to nie jedziesz do Coipasy, tylko przez Coipasę, a gdzie dalej?

— Gdzieś na północ i potem pewnie pojedę do Chile.

— Do Chile? Oo, to pewnie do Pisagua jedziesz.

— Nie pamiętam, czy do Pisagua, ale najpierw muszę się dostać do Coipasy.

— Do Coipasy, *claro*, rozumiem, a którądy?

— Którądy do Coipasy? Nie wiem, to znaczy wiem, mam mapę, ale nie pamiętam, jak będę jechać, nie pamiętam nazw miejscowości.

— O, masz mapę! — mężczyzna wyraźnie się ożywił — Pokaż.

Sięgnąłem do spakowanej pod stołem sakwy i rozłożywszy mapę na stole, pokazałem drogę.

— Przez Tres Cruces! Ale tam nie ma drogi!

— Jak to nie ma? — mówię zdziwiony, patrząc na mapę. — Ale tutaj jest, do tego główna, numer sześćset trzy.

— Tak, droga jest, ale nie stąd, do tego daleko, nie dojedziesz w jeden dzień, a po drodze nic nie ma. Jak chcesz jechać do Coipasy, to pojedź przez Acayę, droga zaczyna się tutaj, wyjdiesz, skręcisz w prawo i już dalej prosto, nie zgubisz się, droga dobra, potem dojedziesz do Tauki i przez salar prosto do Coipasy. — Co powiedziawszy, wziął mój długopis i zakreślił kreskę w poprzek mapy.

— Jest pan pewien, że tam jest droga? Na tej mapie nic nie ma — zaoponowałem.

— Jest, jest, wioski też są ładne po drodze, Acaya, Luca.

— Lukę widzę, a Acaya? — patrzę skonsternowany na pojawiające się nowe kreski na mapie.

— Acaya jest tutaj — powiedział mężczyzna, dorysował duże A, po czym spojrzał na mnie z tryumfującą miną i dodał — Teraz się nie zgubisz.

Wyszliśmy obaj przed budynek, wsiadłem na rower, a mężczyzna dopilnował, czy aby na pewno ruszę w dobrą stronę. Moja mina chyba ciągle wyrażała lekkie powątpiewanie z faktu, że mam pojechać drogą, która wcale nie była główna, a dopiero przed kwadranssem pojawiła się na mojej mapie.

— Dobra droga, dobra, nie zgubisz się, tylko jedź, jak zaznaczyłem. Acaya, Luca, Tauca, salar — rzucił jeszcze na pożegnanie.



Przed wioską Tauca



Przed wioską Tauca

Za miasteczkiem okazało się, że moje obawy były nieuzasadnione. Jechałem szutrową, całkiem dobrej jakości nawierzchnią, która doprowadziła mnie aż do Luki. Tam zjadłem obiad, po czym uciałem sobie drzemkę, aczkolwiek

trochę dłuższą niż zazwyczaj. Kiedy się obudziłem, było już dość późno. Wyglądało na to, że jeśli chcę dojechać do Tauki, będę musiał jechać nocą.



Salar de Coipasa



Salar de Coipasa

Za wioską Luca droga bardzo się pogorszyła. Często zakopywałem się w piasku, przez który mozolnie przepychałem rower. Zrobiła się noc i wcale nie byłem już taki przekonany, czy aby na pewno kieruję się w dobrą stronę. Gdyby nie bardzo mocne światło odbite od księżyca, zapewne rozbiłbym się gdzieś przy drodze i poczekał do rana, ale było na tyle widno i właściwie przyjemnie, że pomyślałem, nawet jeśli jadę nie w tę stronę, co trzeba, nie ma to absolutnie żadnego znaczenia. Mam wodę i jedzenie, zawsze gdzieś dojadę.

Po pewnym, trudnym do określenia czasie, bo jazda nocą zakrzywia czasoprzestrzeń, nawet bez nalewki Tres Plumas, dojechałem do brzegu solniska. Z jednej strony wielce mnie to ucieszyło, z drugiej, mocno skonsternowało, bo jeśli był brzeg, to powinny być budynki wioski Tauca. Pomimo mocno rozświetlonego poświatą księżyca krajobrazu, żadnych zabudowań nie widziałem. Przede mną rozlewał się stalowo-szary, świecący salar, a za mną, nad rozłożystym *altiplano*, wyrastał ciemny obrys wulkanicznych szczytów. Pozostawało zdecydować, czy rozbić namiot, czy jechać, a właściwie, czy pchać rower dalej. Opcja numer dwa, czyli nocny spacer farmera, pociągała za sobą kolejny wybór: drogę na wschód albo na zachód. Rzuciłem monetą. Wypadło na zachód.

Brnąłem trochę po omacku, najpierw przez piach, potem przez kamienie, ale po kilku próbach zorientowałem się, że o wiele przyjemniej jedzie się po zamarzniętym jeziorze. Księżyc oświetlał drogę, humor miałem doskonały, jechałbym może i do rana, gdyby nie zupełnie niespodziewanie złapana guma. Pokląłem pod nosem na pecha, bo to była już trzecia dziura tego dnia i pchnąłem rower do brzegu jeziora. Zamierzałem przejść na drugą stronę drogi i wśród krzaków poszukać miejsca na nocleg. Przepychałem rower przez większą łachę piachu, kiedy rzuciła mi się w oczy tabliczka, przypominająca trochę znak drogowy. Poszedłem z ciekawości sprawdzić, co na niej wypisano. Jakież było moje zdziwienie, gdy odczytałem nazwę: Tauca! Czyżby już tutaj była wioska? Rozejrzałem się dokoła, no nie, nic nie ma, czyli Tauca jest gdzieś dalej, a ktoś zapomniał dodać kilometry. Tak czy inaczej, pomyślałem, że przynajmniej skręciłem w dobrą stronę.

Wróciłem do roweru i podniosłem go z piachu, a tu nagle słyszę szczekanie psa. Zaraz. Skąd tutaj pies? Kiedy do pierwszego hau hau dołączyły następne, nie było wątpliwości: w pobliżu muszą być jakieś zabudowania. A skoro jest wioska, to nie będę spał po krzakach, idę do ludzi.

Wszedłem na pobliską skarpe i po drugiej stronie zobaczyłem niewyraźny zarys chałup. Wioska! A jednak Tauca jest już tutaj! Za moment wszedłem między zabudowania. Ciemno, ale z niektórych domów, przez cienkie ściany, dobiegają odgłosy. Trzeba zapukać i zapytać, może się zgodzą, abym zanocował na podwórku.

Puk puk. Odgłosy za ścianą ucichły. Wyłapuję jakiś szept, ale niczego nie

mogę zrozumieć. W końcu drzwi się lekko uchylają i w progu widzę kilkunastoletnią dziewczynę. Mówię szybko, że z Polski, że rowerem, że noc, że *pinchadura*, że gumę złapałem, że szukam noclegu, więcej nie zdążyłem powiedzieć, bo dziewczyna nagle zamknęła za sobą drzwi. Tym razem już wyraźnie słyszałem, co mówili.

— Kto to?

— Nie wiem, jakiś *gringo*, na rowerze, pyta o nocleg.

— O nocleg? Poczekaj, ja zobaczę.

Drzwi otworzył starszy mężczyzna.

— Dobry wieczór, jestem *gringo*, z Polski.

— *Gringo* z Polski? A gdzie to jedzie? Do tego po nocy?

— Jadę do Coipasy, myślałem, że zgubiłem drogę, ale chyba jadę w dobrą stronę, to

wioska Tauca, prawda?

— Tak, Tauca. Dobrze jedzie, stąd przez salar prosto do Coipasy. A tam po co? Po sól?

— Nie, soli nie potrzebuję, jadę, bo to po drodze do Chile, ale to jeszcze kilka dni.

A czy nie wie pan, czy nie mógłbym gdzieś tu rozstawić namiotu na jedną noc? Dziś już dalej nie będę jechał, w dodatku złapałem gumę.

W międzyczasie w drzwiach pojawiło się jeszcze kilka potarganych dziecięcych czupryn.

— Wracajta do domu! — krzyknął do nich mężczyzna, po czym zwrócił się do mnie.

— W namiocie zimno, może spać w domu, tutaj obok jest wolny pokój, dużo koców, cieplej będzie, noce zimne teraz.

Weszliśmy do czegoś, co przypominało obórkę. Zatęchłe zapaszki z wnętrza kojarzyły mi się z noclegami w Tybecie.

— Światła nie ma, ale świece są, rozpalić może, tylko uważa na ogień i dobrze zagasi potem. A rower można wstawić do środka, akurat się zmieści.

Mężczyzna zapalił jedną ze świec i postawił na maleńkim stoliku. Zrobiło się przytulnie, cienie zagęściły gliniane ściany.

— Jeszcze czego potrzebuje? Może głodny?

— Nie, dziękuję, niczego więcej już nie potrzebuję, jadłem niedawno, położę się zaraz, marzę już tylko o śnie — odpowiedziałem.

— To dobranoc.

— Dobranoc.

Kiedy mężczyzna wyszedł, usiadłem na miękkim materacu. Wyjąłem kuchenkę, zagotowałem wodę na herbatę. Dopiero teraz poczułem, jaki byłem zmęczony. Miałem szczęście, że gumę złapałem akurat przed wioską, inaczej pojechałbym dalej i jutro pewnie kontynuował jazdę na zachód. Gdzieś bym dojechał, ale niekoniecznie tam, gdzie zamierzałem.



Salar de Coipasa

Rozdział 21

Rankiem najpierw przygotowałem i zjadłem śniadanie, a dopiero potem wziąłem się za zalepienie dętki. Dziura była duża, wyglądało na to, że wjechałem na jakiś kawałek metalu, bo rozerwałem też oponę, ale nie na tyle, żeby wykluczało to dalszą jazdę.

Mężczyzna, który wczoraj mnie ugościł, krzątał się na sąsiednim podwórku.

— Dzień dobry — pozdrowiłem.

— Dobry, dobry! Spał dobrze?

— Tak, bardzo wygodnie i ciepło było, dziękuję.

— To dobrze — co powiedziawszy, odwrócił się i zajął własną pracą.

Pomyślałem, że skoro nie kontynuuje rozmowy, to i ja nie będę się narzucał i wrócę

do przerwane go zajęcia.

Po kwadransie koło było gotowe, należało tylko je dopompować i mogłem jechać dalej.

Poszedłem się pożegnać, zapłaciłem za nocleg, mężczyzna z uśmiechem przyjął pieniądze, po czym wskazał ręką mniej więcej kierunek północny i powiedział:

— Tam do Coipasy. Prosto przez salar. Dobrej drogi!

Podziękowałem raz jeszcze za gościnę i popchałem rower w stronę jeziora.

Wjazd na salar był dobrze oznaczony. Duży znak wskazywał mniej więcej północ, a poniżej dopisano Sabaya i Coipasa. Mimo wszystko trochę niepewnie wjeżdżałem na powierzchnię jeziora, które nie było tak dokładnie pokryte śladami opon jak Salar de Uyuni. Pociuszające było to, że na horyzoncie, po drugiej stronie solniska, widać było górskie zbocza, nie musiałem się więc obawiać zgubienia drogi, najwyżej nie wyjechałbym dokładnie tam, gdzie powinienem. Tak czy inaczej, kierunek był jeden. Północ.

Do Coipasy dotarłem późnym popołudniem. W wiosce nie było żadnej restauracji ani baru, ale pani ze sklepu, który otworzyła tylko dla mnie, powiedziała, że jeśli mam ochotę, może coś ugotować. Podziękowałem, na kolację miałem jeszcze dużo makaronu, a ciepły posiłek w ciągu dnia tylko by mnie rozleniwił. Zadowolilem się konserwą i chlebem, myśląc, że na drzemkę lepiej się nie decydować, a spróbować dojechać do Sabayi i tam odpocząć dzień lub dwa.

Rozsiadłem się na niedużym placyku. Zajadałem konserwę, popijając

jęczmienną nalewką, kiedy przysiadł się do mnie postawny, barczysty mężczyzna.

— Nie lepiej byłoby jechać na motorze albo samochodem?

Może i lepiej, pomyślałem. Uśmiechnąłem się, ale nic nie powiedziałem.

— A co jesz? Konserwę? Słona chociaż?

— Słona. Dobra. Z Chile.

— O, jak z Chile, to dobra, jak z Chile, to musi być słona. A skąd jesteś?

— Z Polski.

— Z Polski. To chyba daleko?

— Bardzo daleko.

— No tak brzmi, jakby było daleko.

Mężczyzna zasepił się na chwilę, po czym zapytał:

— A sól w Polsce jest?

— Sól? Tak, mamy sól. Dużo soli.

— Dużo macie soli? Ale nie tyle, co w Boliwii, tutaj wszędzie sól.

— Tak, tyle to pewnie nie mamy, ale też mamy dużo, tylko że nie w jeziorach.

— Nie w jeziorach? Hmmm... A po ile w Polsce kilo soli?

— Dwa dolary — mówię i patrzę, jak mężczyźni zaświeciły się oczy.

— Dwa dolary!! *Putá madre!* Jak mówiłeś? Polska? Jaki piękny kraj! Jadę, dwa dolary! *Putá madre!* Daleko do tej Polski? Ile dni samochodem? Sąsiad ma ciężarówkę, załadujemy ją solą i wrócimy bogaci! Dwa dolary za kilogram! Tutaj całe jeziora soli, po horyzont! Powiedz, jak się jedzie do tej Polski?

Zacząłem tłumaczyć, że to trochę dalej niż bliżej, no i że trzeba przez ocean, przez co mężczyzna trochę jakby przygasł, ale i tak nie przestawał powtarzać: Polska, piękny kraj, dwa dolary za kilogram, jadę, *puta madre*, jaki piękny kraj!

Za miasteczkiem wbiłem się w lekki podjazd, za którym czekała mnie przejażdżka przez kolejny salar, potem jeszcze jeden i w takiej solnej scenerii dojechałem wieczorem do Sabayi.

Jak już pisałem, zamierzałem w miasteczku odpocząć dzień lub dwa, należało więc poszukać taniego hostelu.

Według zaczepionego przeze mnie pana od różna, w miasteczku był tylko jeden hotel. Nie wiem, czy był to naganiacz owego miejsca, czy rzeczywiście facet ten myślał, że nie ma innego *alojamiento*, bowiem następnego dnia, na

jednej tylko ulicy naliczyłem ich kilka.



Sabaya



Sabaya

Miałem nawet pojechać do tego poleconego hotelu, ale na ulicy zaczepił mnie jakiś człowiek i skierował do budynku obok, w którym dostałem tani pokój, za równowartość około dziesięciu złotych. Przebrałem się w trochę czystsze ciuchy i wyszedłem coś zjeść do pobliskiej restauracji. Kilku miejscowych zjadało gęstą zupę. O, super, lubię zupy, zamówię sobie jeden talerz. Usiadłem przy stoliku i czekałem na kelnerkę. Zapytałem, co jest na ciepło, ale pani powiedziała, że tylko frytki i kura.

— A zupa?

— Zupa się skończyła, już późno, jutro będzie.

Frytki i kura też brzmi nieźle, pomyślałem i wziąłem od razu dwie porcje. Przysiadłem

się do stolika, przy którym siedział jakiś miejscowy i chętnie przystałem na propozycję spróbowania zupy. Mężczyzna bardzo się zdziwił, że kelnerka powiedziała, że zupa się skończyła.

— Pewnie nie chciała ci dać, bo jesteś turysta.

— Bo turysta? — wyraziłem szczere zdziwienie. — Ale jak to? Turystom nie dają?

— Ano, nie dają, bo zazwyczaj turyści nie jedzą zup, ja też się dziwię, że tobie smakuje. Turyści stołują się po drugiej stronie, w pizzerii albo w hotelu. Ja tu od dawna nie widziałem żadnego. A w Polsce macie zupy z *quinua*?

Okazało się, że coś, co początkowo wziąłem za kaszę jęczmienną, było komosą ryżową, a Boliwia jest jej największym eksporterem na świecie.

Odpowiedziałem, że *quinua* pyszna, że w ogóle cała zupa świetna, że moja babcia byłaby taką zupą zachwycona, tłusta, gęsta, z kawałem mięsa i kością do ogryzienia.

Generalnie, jeśli chodzi o jedzenie, to w miasteczku nie mogłem liczyć na zrobienie większych zakupów na dalszą drogę. W sklepach prawie niczego nie było, najwidoczniej mieszkańcy byli w dużym stopniu samowystarczalni i produkty, jakie my na co dzień kupujemy w sklepie, typu mleko, chleb czy choćby mięso, wytwarzają na własne potrzeby w domu. Zamiast tego w sklepach było dużo mąki, cukru, fasoli, owoców i warzyw. Na szczęście był też makaron, a na nim mogłem jeszcze z tydzień pociągnąć, tyle bowiem mniej więcej dzieliło mnie od granicy z Chile. Poprzedniego dnia dużo czasu spędziłem nad mapą i wyborem dalszej drogi. Nie żebym zaraz planował trasę, ale chciałem chociaż zdecydować się co do kraju. Wybór był większy niż zwyczajowe orzeł czy reszka, wschód czy zachód, białe czy czarne, bo tym razem miałem aż trzy opcje: zostać w Boliwii i skręcić w stronę Quito, jechać do Peru i trochę się powłóczyć przy granicy, albo wrócić do Chile i kierować się powoli w stronę Santiago, skąd, za trzy tygodnie, miałem powrotny lot do Polski. Nie wchodząc za bardzo w szczegóły moich dylematów, doszedłem do wniosku, że najrozsądniej będzie wrócić do Chile i pojechać na wybrzeże. Mapa, która miała już więcej dorysowanych kresek, niż otrzymany na granicy oryginał, mówiła, że najpóźniej za tydzień powinienem być na przełęczy Tambo Quemado, skąd czekał mnie zjazd z wysokości prawie 5000 metrów, prościutko do samego oceanu. Pięć kilometrów przewyższenia na odcinku stu sześćdziesięciu kilometrów.

Jakiś mężczyzna w restauracji postraszył mnie nad kolejnym talerzem zupy, że po drodze będę miał jakąś rzekę do sforsowania i że z rowerem nie dam rady. Trochę się tym przejąłem, ale właściciel hostelu rozwiązał moje obawy.

— Teraz jest pora sucha, rzeka będzie wyschnięta, dasz radę.

— A nie wie pan, ile będę jechał do Tambo Quemado?

— Tambo Quemado? Co to jest?

— Przełęcz, proszę zobaczyć, tutaj — podetknąłem mapę pod nos.

— Tambo Quemado. Chachacomani. Laguna Macaya. Villa Tunari — widzę, że mężczyzna stracił zainteresowanie przełączną i zaintrygowały go inne nazwy.

— To jak pan myśli, Tambo Quemado, o tutaj, ile dni będę jechał? — aby potwierdzić znaczenie miejsca, obrysowałem je raz jeszcze długopisem.

— Nie wiem, długo, samochodem do Laguny parę godzin się jedzie, a droga kiepska, to pewnie z tydzień będziesz jechał.

Mam nadzieję, że szybciej, pomyślałem i poszedłem zrobić zakupy.

Przy sklepie jakaś starowinka pchała koło, zużyte, właściwie nawet nie koło, tylko dziurawą, starą oponę. Podeszedłem i zaproponowałem, że pomogę, widać było, że taskanie kawałka zużytej gumy sprawiało kobiecie trudność.

— To niedaleko, ale jak chcesz, to możesz pomóc. A ty mówisz w *aymara*?

— Nie, w *aymara* nie potrafię, tylko w *castellano*, a pani co zrobi z tą oponą?

— Nie wiem. Do czegoś na pewno się przyda, szkoda taką oponę na drodze zostawiać.

Wróciłem pod sklep i stojący nieopodal stragan. Wyjąłem aparat i zrobiłem zdjęcie budynkom. Nawet nie zauważyłem, kiedy dwie straganiarki podeszły do mnie i zaczęły awanturę. Domagały się, aby im zapłacić za zdjęcia.

— Ale przecież pani nie fotografuję — mówię. — Fotografowałem budynki!

— Ale ja tam mieszkam i trzeba zapłacić!

Cwana jest. Obie są cwane. Mówią, że trzeba zapłacić, bo jestem fotograf albo dziennikarz, sprzedam zdjęcia i zarobię, bo mam dobry, duży aparat. Uparłem się, że nie zapłacę, nie wiem, może przez ton, jakim się do mnie odnosiły, a może przez coś jeszcze. Dogadaliśmy się w końcu, że zrobię odpowiednio duże zakupy na ich straganie. Kupiłem puszki brzoskwiń, ciastka, napoje, ale kobiety i tak nie wyglądały na w pełni usatysfakcjonowane. Aparat schowałem do plecaka, tego dnia odeszła mi całkiem ochota na robienie zdjęć. W ogóle wpadłem w jakiś podły nastrój. Może już o dwa dni za długo siedziałem w tym mieście i trzeba było wreszcie ruszyć w drogę.

Rozdział 22

Ruszyłem następnego ranka. Żadnej rzeki nie musiałem forsować, podejrzewam, że w okolicy najwięcej wody było w moim bukłaku. Droga na północ nie była łatwa, ale nie była też wyjątkowo trudna. Istotnie, często musiałem pchać rower, bo droga była zapiaszczona, ale nie częściej, niż zdarzało mi się to do tej pory. Podróż urozmaicały spotkania z ludźmi i zwierzętami. Po drodze mijałem całe stada lam i alpaka, te drugie, o przedziwnych czasem kształtach, jakby ktoś krzyżował owce z innymi gatunkami udomowionych zwierząt, przez co, z ciekawości, mnóstwo czasu spędzałem na podpatrywaniu ich, podchodzeniu bliżej i fotografowaniu.

Po nieszczęsnym upadku sprzed tygodnia aparat cyfrowy mimo wszystko chyba działał prawidłowo. Zdjęcia na tylnym wyświetlaczu wydawały się ostre, ale czy są w istocie, byłem w stanie sprawdzić dopiero po powrocie do domu. Jak już pisałem, zostałem z jednym obiektywem o ogniskowej 135 milimetrów, więc o szerokich planach i obszerniejszych kadrach mogłem zapomnieć. Jeśli chodzi o zwierzęta i ludzi, to akurat ten obiektyw wystarczał, problem był czasem ze mną, kiedy robiłem sobie samemu zdjęcia z rowerem, bo aby wstrzelić się w kadr, musiałem się więcej nabiegać, a na wszystko miałem jedyne dziesięć sekund.

Mapa, według której jechałem, miała mnóstwo błędów. Niektóre wyróżnione na niej miejscowości albo w ogóle nie istniały, albo stanowiły zlepek kilku chałup. Inne, ledwo zaznaczone, okazywały się całkiem dużymi skupiskami rdzennych mieszkańców Andów. Tak było na przykład w miejscowości Negrillos, gdzie drugiego dnia od wyjazdu z Sabayi zatrzymałem się na późne drugie śniadanie. Usiadłem na środku rynku, wyjąłem zapasy i termos z dość ciepłą jeszcze herbatą. Nawet nie zauważyłem, kiedy otoczyła mnie gromada kilkunastu dzieciaków i zaczęła bez żenady nagabywać. Upłynęła chwila, zanim się przyzwyczailem do towarzystwa, bowiem do tej pory spotykani ludzie byli zazwyczaj dość zdystansowani. Szczerze mówiąc, to chyba była pierwsza miejscowość podczas mojej podróży, kiedy w jednym miejscu było tak dużo dzieci. Do tej pory zazwyczaj obcowałem z dorosłymi, a jeśli nawet trafiła się jakaś grupka dzieciaków, to była najwyżej kilkuosobowa.



Negrillos



Negrillos



Negrillos



Negrillos

Z dobrą godzinę spędziłem na fotografowaniu maluchów, przy okazji pozbyłem się reszty herbatników i jednej kolarskiej czapki. Poznałem też

miejscowego nauczyciela wychowania fizycznego, który na pobliskim boisku szkolnym, zajmował się gromadą kilkunastu podopiecznych.

— To tak z braku innych rozrywek staram się urozmaicać dzieciom popołudnie i zachęcić, żeby spędzały czas aktywnie, a nie w domu przed telewizorem — powiedział, kiedy zbliżyłem się z aparatem. — Zazwyczaj gramy w różne gry zespołowe, a dzisiaj ćwiczymy musztrę, nie, tak bez okazji, na wszelki wypadek, przyda im się kiedyś — dopowiedział, kiedy zapytałem, dlaczego wszyscy dokoła maszerują i salutują.

Nauczyciel zapytał, dokąd jadę, pokazałem więc mapę i opisałem dalszą drogę. Na mocno sfatygowanym już papierze, pojawiły się kolejne poprawki. Przy okazji dowiedziałem się, że w Khea Kheani nie ma nic, poza kilkoma chałupami i że najbliższy sklep będzie dopiero w Chachacomani. No i żebym uważał na miny i na pograniczników, szczególnie nocą, bo zdarza im się strzelać do wszystkiego, co się rusza.

Obiecałem, że nie wejdę na minę i że nie będę jechał nocą i oczywiście, że nie będę jechał jak szatan, droga babciu, możesz spać spokojnie. Zresztą szybka jazda na wysokości ponad 4000 metrów n.p.m. i tak jest niemożliwa, chyba że z góry, a na to musiałem jeszcze poczekać dzień lub dwa.

Następnego dnia trochę pobłądziłem. Za wioską Khotasi miałem skrócić na północ, ale żadna droga nie odbijała w tamtą stronę, pojechałem więc w stronę Julo. Tam dowiedziałem się, że muszę wrócić do pobliskiego rozjazdu i skrócić w lewo, w drogę, która mnie doprowadzi do Laguny Macaya. Choć trochę powątpiewałem we wskazówki, bo na mojej mapie żadnej laguny nie było, to jednak udałem się we wskazanym kierunku. Kilkanaście kilometrów od Julo okazało się, że rzeczywiście, za rzeką Lauca rozpościera się wspaniałe jezioro, z mnóstwem rezydujących na nim flamingów. Miejsce było przeurocze, rozstawiłem niedaleko namiot i do wieczora spacerowałem dokoła i podglądałem ptaki. W dalszą drogę ruszyłem dopiero późnym południem następnego dnia. Zostałbym pewnie i dłużej, gdyby nie skromne zapasy, które zabrałem z Sabayi. Makaron się kończył, do makaronu już od dawna nic nie było, marzyłem o jakimś innym śniadaniu i kolacji niż kluski z przyprawą *à la* polskie „warzywko”.

Ruszyłem rzeczywiście dość późno, ale z mapy wynikało, że do Tambo Quemado i granicy z Chile jest nie więcej niż pięćdziesiąt kilometrów, droga ciągnęła się wzdłuż granicy w miarę prostą kreską, pomyślałem więc, że do wieczora jakoś dociągnę, najwyżej kilka kilometrów pojedę nocą, mając nadzieję, że nie stanę się żywą tarczą dla pograniczników.



Laguna de Macaya



Laguna de Macaya

Tyle już lat się włóczę po świecie, a ciągle zapominam, że inaczej się jeździ palcem po mapie, a inaczej rowerem po ziemi. Spodziewany w miarę lekki, ostatni boliwijski odcinek drogi, okazał się wspinającą się na wysokość prawie 5000 metrów piaszczysto-kamienistą szutrówką, z małymi przerwami

na wyrównanie oddechu. I do tego szutrówką na deser. Danie główne w postaci pokazu -niespodzianki czekało na mnie zaraz za wzgórzem opasującym lagunę od północy.

Kiedy wjechałem na szczyt niewielkiego wzniesienia, ujrzałem leżące poniżej wioskowe budynki. A więc to tutaj przycupnęła wioska Macaya! Aż dziwne, że wczoraj i dziś nie widziałem nikogo przejeżdżającego pobliską drogą, nie słyszałem też żadnych odgłosów z wioski, w ogóle wydało mi się to trochę nienormalne, że wczoraj, przechodząc niedaleko, nie zauważyłem zabudowań, które częściowo były pewnie widoczne z laguny.

Zjechałem ze zbocza i zatrzymałem się przed ustawionym w poprzek drogi szlabanem. Oparłem rower o ziemię i zbliżyłem się do stojącego nieopodal żołnierza.

— Dzień dobry. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Czy mógłby pan otworzyć szlaban? Chciałbym pojechać dalej, jeśli mogę, oczywiście — powiedziałem jak najuprzejmiejszym tonem, na jaki mnie było stać.

— Paszport jest? — odpowiedział i wyciągnął rękę.

— Oczywiście, już daję.

Mężczyzna wziął mój dokument, przekartkował strona po stronie, po czym bez słowa odwrócił się i wszedł między budynki. Wrócił po dobrym kwadransie, kiedy ja już zacząłem się zastanawiać, czy może coś przeszkrobałem po drodze i zapomniałem, albo nie wiem, że przeszkrobałem, i że zaraz się okaże, co przeszkrobałem i może teraz nie puszczą mnie dalej, bo na przykład nie mam jakichś pozwoleń i będę musiał wracać do Sabayi i że co bym właściwie zrobił, gdyby żołnierz się nie pojawił z powrotem?

Cały niepokój prysnął, kiedy zobaczyłem go, idącego w towarzystwie elegancko ubranego pana w meloniku. Drugi mężczyzna przedstawił się jako agent tutejszego biura turystycznego i zaprosił na herbatę. Herbata? Czemu nie, myślę, chętnie dając się zaprowadzić do jednego z budynków.

Weszliśmy do małego pokoju, w którym za niewielkim biurkiem siedział drugi mężczyzna. Podał mi rękę, podstawił krzesło, w międzyczasie zasypał pytaniami o podróż, o wrażenia, o Boliwię, proszę, oto pańska herbata, pan z melonikiem z uśmiechem postawił na stolyczku kubek, nad stolikiem mapa, foldery, kolorowe zdjęcia laguny, stanowisk archeologicznych, fauny i flory. Pan numer dwa wskazuje miejsca na mapie, pyta, czy byłem, co widziałem, czy może jeszcze chciałbym coś zobaczyć, coś mniej mi ta herbata smakuje, ale siorbię, ciężko teraz tak wyjść, kiedy oni tacy mili, niech się nagadają, chyba nie myślą, że wykupię u nich jakąś wycieczkę, chociaż może trafiają się tu rowerzyści, którzy zamieniają rowery na białe jeepy i jadą pozwiedzać okolicę. Pomiedzy jednym siorbnięciem a drugim przytakuję z uśmiechem, tak, wszystko pięknie, piękne jeziora i ptaki, i nawet kupy kamieni, i jeepy też niczego sobie, pewnie, że z klimatyzacją, posiłki wliczone w cenę, no,

pewnie, że full wypas, wreszcie doszli do konkretów, za wycieczkę na pampę tyle, za salar tyle, mówię, że dziękuję, że już byłem i widziałem, i że tak naprawdę, to nawet jakbym chciał, to nie mam pieniędzy, nie, panowie nie zrozumieli, w ogóle nie mam, nie tylko boliwianów, domyślam się, że w dolarach też można zapłacić, o, cena spadła, można się targować, można bez jedzenia, ale ja naprawdę dziękuję, niezręcznie się robi, już nie są tak bardzo mili, w międzyczasie jeszcze jeden przyszedł, jakoś tak dziwnie się zrobiło, nie do końca rozumiem, ale za co mam zapłacić, za pokaz? Za jaki pokaz? Za pokaz miejsc, które mógłbym zobaczyć? No, ale ja przecież nie wykupuję udziału w żadnej wycieczce i nie chcę ich zobaczyć, zresztą już widziałem, to jak widziałem, to tym bardziej trzeba zapłacić? Pięćdziesiąt dolarów? Co proszę, chyba się przesłyszałem, ale za co? A, prawda, za pokaz, nie mam tyle, ile masz? Dwadzieścia, pokaż, dwadzieścia mogę dać, pokaż, otwieram portfel, więcej nie mam, całe szczęście, że pieniądze rozparcelowane to tu, to tam, a w portfelu jedynie dwudziestodolarówka, szyje się wyciągnęły, nie, agresji nie ma, przemocy nie ma, dotyku nie ma, ale jakaś dziwna chciwość, jakaś nieufność, jakieś wzajemne rozczarowanie, nie mogę się otrząsnąć, nie bardzo ciągle chcę się zgodzić na rozstanie się z dwudziestoma dolarami, no nie chcę i już, bo czuję się wydymany, ale robi się coraz mniej przyjemnie, mam wypełnić jakiś papierek, pokaz był, nocowałeś, park, środowisko, jasne, już płacę, tylko przestańcie już gadać, już nie chcę tu być, już nie chcę was słuchać, wolę piach i kamienie na drodze, może by się ktoś zapytał, czy mam wodę na drogę, albo kawałek chleba, jakiś skundlony się czuję, a poranek jeszcze taki piękny był, no i jak tu nie wierzyć tym, co mówią, żeby unikać miejsc, o których piszą w przewodnikach, od ludzi się zaszyć, zwierząt poszukać, nie mówię nic, naciskam pedały, ale wcale się nie oddalam, nie mogę przestać o nich myśleć, może dlatego droga zrobiła się jeszcze trudniejsza, ciągle pod górkę, a takie piękne widoki. Ciągle fantastyczny widok na wulkan Sajama tak bardzo nie współgrał z myślami, nie pasował, a jeszcze mniej, jak w Chachacomani jakieś bachory obrzuciły mnie kamieniami, nawet jeden w głowę trafił, a widzisz i kask się przydaje czasem, powie kumpel po powrocie, ale na razie nie ma kumpla, nie ma nawet psa, jest piach i kamienie, i droga pod górę, nawet Sajama nie poprawia nastroju, choć góra przepiękna, zawłaszczająca. Kiedy wreszcie dojechałem do asfaltu, kiedy przestałem tłuc rower na boliwijskiej tarce, kiedy wjechałem na zwykły asfalt, czarny, nawet trochę porowaty i z dziurami, ale asfalt, którego nie widziałem od kilku tygodni, rzuciłem rowerem o glebę, wykonałem taniec ptaka dziwaka i rozplakałem się. A potem ruszyłem do Tambo Quemado.



Okolice Laguny de Macaya



Okolice Laguny de Macaya



Okolice Laguny de Macaya

Ostatnia noc w Boliwii już nie w namiocie, a w hostelu, za jedyne dziesięć boliwianów, zajazd przydrożny, dużo noclegowni, restauracje, domy przeróżne, jak to przy drodze, wiadomo, nie samym chlebem człowiek żyje, kupuję ogromną porcję ryżu z warzywami, ledwo ją mieszczę w ściśniętym żołądku, chwilę jeszcze podumam nad dziwnym dniem, na miękkim materacu, by po chwili oddać się w błogie, kojące objęcia Morfeusza.

Następnego dnia bez zbędnych większych formalności przekraczam granicę i wracam do Chile. W ostatniej chwili przypomniałem sobie o liściach koki, które wozilem w sakwie, a które lepiej, żeby nie były wyciągnięte na granicy przez celników. Znowu kilka papierków do wypełnienia, deklaracje, że nie wwożę mięsa czy owoców i przede mną sto sześćdziesiąt kilometrów drogi do miejscowości Arica i pięć kilometrów przewyższenia. Tak przynajmniej

miało to wyglądać. Czy też tak to widziałem w wyobraźni. Dojeżdżam do przełęczy, a potem rozpędzam się i jadę sto sześćdziesiąt kilometrów w dół. W rzeczywistości nie był to jednostajny zjazd, szczególnie na początku. Teren był dość interwałowy, z licznymi, stromymi, na szczęście krótkimi podjazdami. Dopiero za miejscowością Zapahuirą mogłem rozpędzić rower na dłuższych odcinkach i rozkoszować się swobodnym zjazdem.

Asfalt, za którym tak tęskniłem przez kilka tygodni, obrzydł mi po kilku godzinach. Coraz częściej pojawiające się miejscowości, coraz większy ruch, hałas, coraz więcej ludzi i coraz bliżej powrotu. Jeszcze Arica, Iquique, jeszcze trochę wiatru, pyłu, smrodu spalin, zakwasów w nogach, sztywnego karku, jeszcze kilka zatrzymanych chwil, parę wspomnień, reminiscencji zdarzeń, coraz bardziej w głąb, niby jechałem, ale sam nie wiem dokąd, nogi były tam, a głowa już tu, albo odwrotnie, na jedno wychodzi, w sumie, dość rzadko są razem. Santiago de Chile, jeszcze jeden nocleg, jutro powrót do domu, ten sam hotel, ten sam pokój, wokół twarze, których nie rozumiem, na pewno coś mówią, ale ja nie potrafię ich czytać, już jest ciepło, ale spokoju nie ma, znów jest śmiesznie. Jestem w domu, idę do parku, jak to po przyjeździe, patrzę w niebo, wypatruję ptaków, myślę sobie, że kiedyś, być może, też się wzbiję, ulecę tak wysoko, że nigdzie nie będę musiał jeździć, bo z góry wszystko będzie widać. Ale na razie dość nisko jestem.

Ciągle więc jadę, a nawet, jak nie jadę, to i tak jadę. Piękna myśl. „Tylko naiwni wierzą jeszcze, że tak naprawdę podróżujemy jedynie wtedy, gdy fizycznie przemieszczamy się w geograficznej przestrzeni”^[4]. Oczywiście, że nie jedynie, ale wtedy jakoś tak realniej, mimo wszystko. Prawdziwiej. Mocniej. Czas zatem ruszyć w kolejną podróż. Póki jeszcze się chce.

I znów w Chile.



Arica

Włóczykij z zawodu Podróż przez Kordyliery



*Dalekie podróże mają to do siebie,
że przywozi się z nich coś zupełnie innego niż to,
po co się pojechało^[5]*

Rozdział 23

Anchorage, Alaska, North Street, mieszkanie Petera. Koniec września 2011 roku. Znow w drodze. Z braku skrzydeł ciągle przemieszczam się rowerem. Nie, nie narzekam, tylko stwierdzam fakt. No więc bynajmniej nie ubolewam, bo rower bardzo lubię i inaczej ciężko sobie wyobrazić podróżowanie, ale latka leca, tu coś strzyknie, tu zaskrzypi, tam zboli, a włączyć się przecież nie przestanę. Kiedyś myślałem, że przestanę, ale już postanowiłem, że właśnie nie przestanę, podobnie jak, idąc za przykładem Oskara, zdecydowałem, że nie dorosnę. Jeśli więc mam się dalej włączyć, to fajnie byłoby mieć skrzydła, bo do końca życia nie będę przecież jeździł rowerem, niestety.

Rzuciłem pracę, myślałem, że z przerwą na rok, ale tak się porobiło, że chyba na amen. Trochę szkoda, bo lepszej pewnie nie znajdę; no więc, rzuciliśmy się oboje nawzajem, mosty popalone, tylko nowy rower trzeba było kupić, sponsora znaleźć i w drogę.

Plan był dość ambitny. Z Alaski na Ziemię Ognistą, do Ushuai, prawie trzydzieści tysięcy kilometrów, czternaście krajów, dwa kontynenty. Planowanie ograniczyłem do przejechania drogi palcem po mapie, przygotowania sprzętu i znalezienia sponsora. Idąc za radą niezastąpionego pana Zbigniewa Przybyszewskiego ze sklepu Scotta w Warszawie, zamiast inwestować w naprawę starego roweru, kupiłem nowy. Na dwa miesiące przed wyjazdem sprzęt był gotowy, ja właściwie też, tyle że ze sponsorem sprawy zaczęły się trochę komplikować. To znaczy sponsor był, znalazł się już na wiosnę, i to nie byle jaki, firma duża i solidna, od kilku miesięcy miałem zapewnione parę złotych, ubezpieczenie, takie tam, ale pan sponsor z czasem robił się coraz bardziej roszczeniowy, coraz bardziej naciskał na to, na tamto, coraz więcej dziwnych pytań zadawał, a to jaka dokładnie trasa, a to ile kilometrów dziennie przejadę, a gdzie mniej więcej będę nocował, a co zwiedzał, a czy będzie internet i ile razy w tygodniu będę wysyłał relacje, i jeszcze wiele innych spraw. No a skąd ja niby miałem wiedzieć dokładnie, jaka trasa? I skąd miałem wiedzieć, co będę zwiedzał? Jak mi się spodoba, to pojedę tędy, jak nie, to tamtędy. Stronę internetową sponsor zrobił, ekspedycją mój wyjazd nazwał, mapę poglądową naniósł, o przygotowania pytał, że to czytelnika zainteresuje, kiedy ja powtarzałem, że moje przygotowania już zakończone, a sprowadziły się one do przejechania trasy palcem po mapie, kupienia roweru i kilku zapasowych detek. Sponsor zatrudnił nawet prawnika, aby umowa wyglądała jak należy, no i problem w tym, że umowę w wersji finalnej zobaczyłem dopiero w dniu jej podpisywania i niby wszystko było dogadane, ale tak naprawdę okazało się, że nic nie było dogadane, i kiedy zobaczyłem tę umowę, na dwa tygodnie przed wyjazdem, i co mnie czeka, jakie kary i ile to kasy mam zapłacić w

razie niewywiązania się, to za te parę złotych, które miałem otrzymać na wyjazd, uprzejmie podziękowałem.



Przed domem Petera w Anchorage, czyli początek mojej podróży



Anchorage, Alaska

Najgorsze w tym wszystkim było to, że panem sponsorem był mój dobry

znajomy, może nie przyjaciel, ale ktoś, z kim bardzo lubiłem spędzać czas, no i oczywiście, przyjaciółmi to już na pewno nie zostaniemy, bo sprawę spieprzyłem. Kolegami pewnie też już nie będziemy, nad czym wielce ubolewam, bo to druga, po pracy, w sumie niepowetowana strata i ofiara, którą musiałem ponieść, zanim jeszcze wsiadłem na rower i gdziekolwiek się ruszyłem.

Tak więc do wyjazdu zostały dwa tygodnie, ja zostałem bez kasy, bez pracy, z biletem w jedną stronę na trasie Warszawa—Frankfurt—Anchorage. Pomimo wszystko postanowiłem, że i tak pojedę. Na krócej, ale pojedę. Pożyczyłem trochę gotówki, za wściekle psie pieniądze sprzedałem zbierany od lat sprzęt fotograficzny i z dziennym budżetem dwunastu dolarów 20 września liniami Condor poleciałem na Alaskę.

Odprawa na lotnisku przebiegła wyjątkowo sprawnie, za główny bagaż, w postaci pudła z rowerem z dopchanymi drobiazgami, dopłaciłem dwieście sześćdziesiąt złotych (zryczałtowana opłata za przewóz sprzętu sportowego), do tego miałem jeszcze jedną, wypakowaną po brzegi sakwę, nadaną jako bagaż główny i dwie sztuki bagażu podręcznego — sakwę i dużą torbę fotograficzną. Wliczając rzeczy upchane w kieszeniach kurtki i spodni, całość bagażu liczyła około pięćdziesięciu kilogramów.

Po dziesięciu godzinach lotu z Frankfurtu dolecieliśmy do Anchorage. Odprawa, podobnie jak w Warszawie, przebiegła bez najmniejszych problemów. Do Stanów jechałem po raz pierwszy, miałem nowy, wyrobiony dwa miesiące wcześniej, paszport biometryczny i wizę turystyczną B2, otrzymaną bez żadnych problemów i pytań ze strony konsulatu w Polsce. Wiza ta uprawnia do wielokrotnego wjazdu na teren Stanów Zjednoczonych przez okres dziesięciu lat.

Ustawiłem się w odpowiedniej kolejce do odprawy, obserwując, jak na prośbę celnika kolejni pasażerowie patrzą w maleńką kamerę i składają odciski palców. Po kilku minutach stanąłem przed urzędnikiem, który zapytał tylko, w jakim celu jadę i na jak długo, do elektronicznego urządzenia przytknąłem cztery palce, odebrałem paszport ze stempelkiem i mogłem już iść po bagaże. Zszedłem piętro niżej, znalazłem właściwe miejsce i czekałem, aż na taśmie pojawi się żółta sakwa. Po pudło z rowerem należało się zgłosić w innym miejscu, przeznaczonym dla bagażu ponadwymiarowego. Stałem i patrzyłem na przesuwające się powoli walizki, kiedy nagle dostrzegłem rozglądającego się nerwowo urzędnika, od którego kilka minut wcześniej odebrałem paszport. Coś mnie tknęło, że to chyba za mną tak się rozgląda. I rzeczywiście, za moment zobaczyłem, że idzie w moją stronę. Okazało się, że mężczyzna z rozpędu wstawił mi do paszportu złą pieczętkę. Zaczął przeproszać i tłumaczyć, że ponieważ prawie wszyscy w kolejce byli z Niemiec, również i mnie bezwiednie wziął za Niemca, wbijając wizę ważną trzy miesiące, przeoczywszy, że ja już otrzymałem wizę w Polsce i teraz mogę wjechać na teren Stanów Zjednoczonych na pół roku.

Pieczętka, którą miałem w paszporcie, została przekreślona, a na jej miejscu pojawiła się nowa. Dostałem do wypełnienia druczek, który powinienem był, jako obywatel Polski, otrzymać w samolocie. Pamiętałem, że stewardesy rozdawały jakieś papierki, ale pewnie i tym razem zostałem wzięty za Niemca i odpowiedniego druczka nie dostałem. Jedynym papierkiem, jaki wypełniłem, był ten, dotyczący ewentualnego wwożenia nielegalnych przedmiotów.

Dopełniłem formalności i wróciłem raz jeszcze po bagaż. Zdjąłem z taśmy sakwę i poszedłem po rower. Wszystkie pakunki wydawały się po kilka razy wypatroszone, czyli sakwa i rower, z kartonu zostały strzępy, a pudło było całe pokryte nalepkami „security”. Czekala mnie jeszcze jedna bramka i jeszcze jedno prześwietlenie bagażu. Postawnemu mężczyźnie oddałem otrzymany w samolocie papierek, po czym nie przyznałem się do żadnych czynności niezgodnych z prawem, czyli żadnego wwożenia papierosów, alkoholu ani mięsa. W rzeczywistości wwoziłem dwa kilo kabanosów i kilo żółtego sera. Pomyślałem, że skoro pudło z rowerem zostało wypatroszone, to celnicy na pewno znaleźli tam jakieś „nielegalne” towary i już dawno je wyjęli, także na pytanie celnika: „papierosy, alkohol, mięso?”, bez zmrużenia powiek, z pewnością zawodowego pokerzysty, odpowiedziałem „nie”. Bagaż został raz jeszcze prześwietlony, co upewniło mnie, że niczego nielegalnego nie przewożę.

Z lotniska odebrał mnie Matthew Lohr, dwudziestodwuletni przyjaciel Petera, dzięki którego uprzejmości mogłem przez kilka dni skorzystać z gościny pod dachem. Gdyby nie pomoc amerykańskich przyjaciół, u których nocowali Marek Klonowski i Tomek Mackiewicz przed swoim wyjazdem na Mt. Logan, zapewne spędziłbym jedną noc w jakimś hoteliku w mieście i potem przeniósł się do parku. Z moim skromnym budżetem na więcej niż jeden nocleg nie mógłbym sobie pozwolić. Te kilka dni odpoczynku po przylocie były bardzo wskazane, z uwagi na *jet-lag* i dziesięciogodzinną różnicę czasu pomiędzy Polską a Alaską.

W dużym, przestronnym domu zająłem jeden pokój i rozrzuciłem na podłodze przywiezione rzeczy. Dochodziło południe. W Polsce powoli zbliżała się godzina, kiedy powinienem był pójść spać, ale chciałem od razu spróbować przestawić się na czas tutejszy. Miałem więc jeszcze kilka godzin na złożenie roweru i ewentualny spacer. Petera nie było w domu i miało nie być przez najbliższy tydzień, a Matthew musiał wyjechać gdzieś w interesach, dostałem więc praktycznie cały dom dla siebie.

Największy pokój w mieszkaniu połączony był z kuchnią. Naprzeciwko wejścia stało pianino, wokół dużo kwiatów, obok kominka szafka z książkami, rzeźby, kanapa i porozrzucany tu i ówdzie sprzęt wspinaczkowy. Peter podobno często gości tutaj różnych ludzi, kilka dni temu nocowała grupa Rosjan, zostawili trochę prowiantu, którym mogłem się poczęstować. Pożegnałem się z Matthew, raz jeszcze podziękowałem za pomoc i wróciłem

do wypakowywania rzeczy.

Po rozpakowaniu okazało się, że wwiozłem do Stanów wszystkie żywnościowe zapasy, czyli kabanosy, ser i jeszcze trochę suchego prowiantu, zabranego na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że nie zostaną odebrany z lotniska i trzeba będzie sobie radzić samemu. Ciekawe, że nikt nie wyjął suchej kiełbasy, bo nawet nie trzeba było jej głęboko szukać, a zapach był na tyle intensywny, że nawet ubrania były nim przesiąknięte. Na kiełbasę nikt się nie skusił, ale najwyraźniej spodobał się komuś mały plecak, w który włożyłem kilka rowerowych kluczy, razem ze spinką. Poza plecakiem, brakowało termosu i kuchenki MSR. Ta ostatnia strata była najbardziej dotkliwa, bo jeśli okaże się, że w Anchorage nie dostanę odpowiednich kartuszy gazowych do palnika, będę musiał kupić nowy sprzęt do gotowania. Poza tym, dobrze byłoby mieć dwie kuchenki, jedną benzynową, a drugą gazową.

Złożyłem rower, zjadłem pozostawiony przez Matthew obiad, dopchałem żołądek pozostawionymi w lodówce ruskimi zapasami, po czym rozłożyłem się na kanapie i choć dochodziła dopiero siedemnasta, przestałem walczyć z ogarniającym mnie zmęczeniem, poddałem się i zasnąłem.

Rozdział 24

Spałem prawie dwanaście godzin, wstałem około szóstej rano, ciągle jeszcze odczuwając skutki zmiany czasu. Zjadłem śniadanie i wyszedłem na werandę. Porzeczkowa herbata, posłodzona syropem klonowym, usunęła trochę poranne znużenie i poprawiła nastrój. Nad ogołocnymi z liści drzewami budził się nowy dzień. Dobry czas. Pomimo bólu głowy i zmęczenia. Niczego nie muszę. Nigdzie się nie spieszę. Nikt mnie tu nie zna, nikt nie będzie szukał, niczego ode mnie wymagał, ani niczego oczekiwał. Mam cały dzień przed sobą, z którym mogę zrobić, cokolwiek zechcę. Nic na siłę. Mogę wyjść, przespacerować się, ale mogę też posiedzieć na drewnianej ławce, choćby i do wieczora. Mogę wypić jeszcze jedną herbatę, wstać, przejść się do parku, ale mogę też zrobić przysłowiowe nic, położyć się, poczytać trochę, zdrzemnąć.

Siedzę i popijam herbatę z syropem klonowym, delektując się zapachami jesieni z pobliskiego parku. Jest dość chłodno, na termometrze zaledwie osiem stopni, powietrze przesycone wilgocią, oddycha się lekko, swobodnie. Cisza i spokój. Harmonia myśli, porządek w głowie. Aż sam się dziwię. Co jakiś czas, po pomarańczowym, szeleszczącym dywanie liści, przemknie w stronę parku jakiś lekko ubrany miłośnik porannego joggingu. Podobno w Stanach mieli być sami otyli ludzie. No może nie sami, ale wielu. Na razie, poza jednym na lotnisku, widzę co chwilę rażno przebiegające, szczupłe osoby, czasem parami, czasem osobno, różnym tempem, szybko, wolno, z psem, na rolkach, albo na rowerze. Z ciekawości zacząłem liczyć. Kiedy doszedłem do stu, pomyślałem, że najwyższy czas jednak zrobić z tym dniem coś konstruktywnego.

Wyszedłem na spacer. Miałem zamiar znaleźć bibliotekę i skorzystać z internetu. Puste chodniki, za to mrowie samochodów. Poza jednym, przygarbionym bezdomnym, człapiącym z kilkoma kundlami, nie spotkałem żywego ducha. Z oglądanego w mieszkaniu planu miasta droga wyglądała na prostą, ale i tak, zanim trafiłem do odpowiedniego budynku, musiałem trochę pobłądzić, a o zapytaniu przechodnia mogłem tylko pomarzyć. Na szczęście trafił się McDonald i tam dostałem szczegółowe instrukcje. Nie wytrzymałem i kupiłem hamburgera. Nawet nie taki obrzydliwy, na jakiego wyglądał. No i wielki. Rzut oka na ceny upewnił mnie, że nawet z moim skromnym budżetem będę miał w tym kraju co jeść, jeśli tylko po drodze napotkam odpowiednio wiele fast foodów. Odkryciem dnia była dla mnie informacja, że w McDonalddie można bez limitu pić napoje gazowane. Kupuje się jeden, a potem dolewa, ile się zmieści. Albo się bierze kubek ze stolika obok i się dolewa, i ma się czym popić hamburgera. A jak się jedzie rowerem, to zmieści się wiele i hamburgerów, i coli.



Na wschód od Anchorage



Na wschód od Anchorage

Ogólnodostępny internet w bibliotece działał całkiem sprawnie, problem w tym, że komputery nie posiadały prawie żadnego oprogramowania, przez co

mogły służyć jedynie do wysyłania e-maili, kłopot natomiast pojawił się wraz z próbą załączenia zdjęć i opublikowania ich na stronie internetowej. Te, które chciałem przesłać, na szczęście nie posiadały zbyt dużych rozmiarów, kilka udało się przesłać e-mailem, ale ciągle miałem problem z załadowaniem ich na stronę. Niestety, niewielki rozmiar oznaczał kiepską jakość. Oczywiście, najwięcej do powiedzenia miała optyka, a ta też pozostawiała wiele do życzenia. Po sprzedaniu starego aparatu, kupiłem maleńki, kompaktowy aparacik z możliwością kręcenia filmów, który właściwie był kamerą z funkcją robienia zdjęć. Trudno, musiałem się przyzwyczaić do gorszej jakości i fotografować tym, co miałem.

W drodze powrotnej do domu, przypadkiem trafiłem na sklep REI, który okazał się takim trochę amerykańskim odpowiednikiem GO SPORT-u, tyle że o niebo lepiej zaopatrzonym. Było w nim właściwie wszystko, czego potrzebowałem i mnóstwo rzeczy, które chętnie bym kupił, gdyby tylko było mnie na nie stać. Tak czy inaczej kupiłem brakujące klucze do roweru, spinkę, no i kartusze gazowe. Klucze rowerowe były droższe niż w Polsce, podobnie jak spinka, ogólnie zauważyłem, że właściwie wszystkie akcesoria rowerowe miały wyższe ceny. Porady niektórych znajomych, abym sprzęt, czyli rower i dodatki, kupił w Stanach, a nie targał z Polski, uważam za nieporozumienie. Sprzęt turystyczny był w bardzo różnym przedziale cenowym, ale rzeczy, które mnie interesowały, posiadały mniej więcej tę samą cenę, a piszę tutaj o butlach gazowych i termosie. Dokupiłem jeszcze kilka opakowań liofilizowanej żywności, rezygnując w końcu z kuchenki MSR.

Zaszedłem też do supermarketu, gdzie dostałem oczopląsu od wyboru dostępnych towarów. Miało to jednak dobrą stronę — prawie każdy produkt, którego potrzebowałem na drogę, można było kupić w bardzo niskich cenach. Na przykład sześćsetgramowe opakowanie musli, w zależności od firmy i nakładów na reklamę, kosztowało od dwóch do pięciu dolarów. To za dwa było w przezroczystym opakowaniu, bez kolorowego pudełka, marki bezmarki. Podobnie różne ceny miały bakalie, orzechy, rodzynki, chleb, krem orzechowy, makaron, zupki, konserwy rybne, parówki i słodycze. Poza najtańszymi parówkami zadziwiająco drogie było mięso, ale ceny niektórych wędlin marki bezmarki były akceptowalne. Zupki chińskie po pół dolara, makaron i parówki w cenach porównywalnych z polskimi. Cebula i marchewka tania, podobnie jak ogórki i pomidory. Fantastyczne ceny miały puszkowane rośliny strączkowe i niektóre warzywa. Półkilogramowa puszka fasoli za dolara, podobnie groch i kukurydza. Cola i inne niezdrowe, ale kaloryczne napoje, tańsze niż w Polsce. Absurdalnie droga była woda mineralna. Za litr dwa razy tyle co za coca-colę. Niestety, bardzo drogie było też mleko w proszku, a miało ono stanowić główny składnik mojego śniadania. Reasumując, z dwunastodolarowym budżetem miałem szansę jadać całkiem kalorycznie i treściwie, może nie była to zbyt urozmaicona dieta, ale za dwa, trzy dolary byłem w stanie przygotować całkiem pożywną

kolację: makaron z zupką chińską, czyli makaron z makaronem i puszka fasoli, dosolone i przyprawione, a na deser kawałek czekolady i kubek kawy.

23 września, wczesnym przedpołudniem, byłem gotowy do rozpoczęcia podróży. Zaraz za miastem nieprzyjemna niespodzianka — początek autostrady, zakaz wjazdu dla rowerów i brak alternatywnej drogi prowadzącej na wschód. Skrzyłem w boczną uliczkę, myśląc, że być może będzie prowadzić wzdłuż głównej drogi, ale po dwóch kilometrach skończyła się w szczerym polu i byłem zmuszony dopchać rower z powrotem do autostrady.

Ulica była bardzo ruchliwa, chciałem jak najszybciej wyjechać poza zabudowania. Miłe było to, że pomimo zakazu, nikt na mnie nie trąbił, być może zdając sobie sprawę z tego, że nie miałem alternatywnej drogi i musiałem jechać główną.

Dzień się powoli kończył, podobnie jak siły, pierwszego dnia zawsze mizerne. Należało się rozejrzeć za bezpiecznym miejscem na rozbić namiotu. Mój budżet absolutnie wykluczał jakiegokolwiek płatne noclegi, przynajmniej przez pierwsze dwa tygodnie, podczas których miałem nadzieję zaoszczędzić trochę na jedzeniu. Liczyłem na dobre krzaki, lasy bez misiów, parkingi z wystrzyżoną trawką, puste budynki i przysłowiowy łut szczęścia w postaci gościnności mieszkańców i może czasem jakiejś propozycji noclegu pod dachem. Żebrana? Sępień? Trochę tak, tym bardziej że, szczerze powiedziawszy, za ludźmi, poza nielicznymi wyjątkami, szczególnie nie przepadam, wolę towarzystwo własne i niezastąpionej maskotki Rafinerii, która jak zawsze tak i tym razem miała mi towarzyszyć w podróży, dyndając z kierownicy roweru w rytm przejechanych kilometrów.

Zatrzymałem się na obrzeżach niewielkiej miejscowości Palmer, bo moją uwagę przykuła tablica, informująca, że leżący nieopodal camping jest zamknięty. Myślę sobie, jeśli zamknięty, to pewnie pusty, a miejsce na pewno będzie bezpieczne. Podjechałem bliżej. Niestety, za opuszczonym szlabanem, niedaleko przestronnych ubikacji, stał duży rekreacyjny wehikuł, czyli *motor home* — samochód campingowy. Niedobrze, jak jest samochód, to są i turyści, czyli camping nie do końca zamknięty, choć może jest to pojazd właścicieli, którzy lada dzień wracają do domu, do słonecznej Kalifornii?

Za chwilę wszystko było jasne. To rzeczywiście byli turyści, ale również znajomi właścicieli, mieli się spotkać jutro po południu i razem ruszyć do... Kalifornii!

— Możesz się tutaj rozbić i nic nie musisz płacić — powiedział mężczyzna, jakby czytał w moich myślach. — Jest już po sezonie i wszystko zostało pozamykane na zimę. Ubikacje działają, ale prysznice są wyłączone. Rozstaw namiot, gdzie chcesz, ale lepiej bliżej naszego samochodu, bo głodne misie podobno kręcą się w okolicy. W razie czego usłyszymy, jak

będziesz krzyczał w nocy. — Widząc moją minę, dodał z uśmiechem:

— Nie bój się, tylko żartowałem, misiów nie ma, ale są łośie, niedawno dwa tutaj chodziły, niby niegroźne, ale na wszelki wypadek lepiej uważać i ich nie drażnić, bo zdarza się, że zaatakują. Rozstaw namiot i chodź do nas na kolację, a ja na razie idę dopilnować jedzenia — co powiedziawszy, wrócił do samochodu.

Chwilę później siedziałem przy stole w towarzystwie Stevena i jego żony Nataszy, której dziadkowie pochodzili z Rosji i kiedyś osiedlili się na Alasce. Przypomniałem sobie, że u Petera w domu w Anchorage było mnóstwo rosyjskich książek, no i że przecież przez dwa dni wciągałem pozostawione zapasy jego rosyjskich przyjaciół. Aż trudno teraz uwierzyć, że te ziemie, przez dość długi czas i jeszcze stosunkowo niedawno należały do Rosji.

Na kolację krewetki i whisky. Nie przepadam ani za jednym, ani za drugim, szczerze mówiąc, trudno byłoby mi zadecydować, czego bardziej nie lubię, ale zapominając o wyglądzie pierwszego i smaku drugiego, zabrałem się za jedzenie. Nie wiem, czy to przez whisky, czy może przez niedawną rocznicę, ale temat rozmowy szybko przeskoczył na wydarzenia z 11 września. Już w Anchorage, siedząc u Petera, widziałem kilka nagłówków gazet, dotyczących dziesiątej rocznicy ataku na nowojorskie wieże. Pobieźny rzut oka wystarczył, aby odnieść wrażenie, że temat jest ciągle dość świeży i Amerykanie chyba nie do końca jeszcze otrząsnęli się z faktu, że ktoś w ogóle śmiał podnieść na nich rękę. Steven opowiadał o oglądanych niedawno filmach dokumentalnych, przypominających wydarzenia sprzed dziesięciu lat. Okazało się, że wycieczka z Kalifornii na Alaskę jest dla nich trochę podróżą w krainę wspomnień, bo dziesięć lat wcześniej, w czasie ataku, również tutaj byli. Tego szczególnego dnia już od rana odczuwało się coś niepokojącego. Żadnych samolotów na niebie, żadnych awionetek, helikopterów, nawet ptaków jakby ubyło. Było to dziwne z uwagi na fakt, że znajdowali się niezbyt daleko lotniska i przez kilka poprzednich dni ciągle słyszeli nad sobą turkot silników. Dopiero wieczorem, po powrocie do chaty, dowiedzieli się, co się stało.

Steven zasępił się i w końcu zmienił temat. Co myślę o Palestynie? Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo Natasza dołała do szklanki brązowego płynu, po raz kolejny dziwiąc się, że piję bez lodu. A co myślę o Palestynie? Steven odpowiedział za mnie, potem znów dolewka, w pewnym momencie przestałem go słuchać, włączałem się między jednym tematem a drugim, też by chciał pojeździć rowerem, ale kolana mu dokuczają, zresztą przerzutek nie lubi, a teraz wszystkie rowery z biegami, Natasza też nie lubi przerzutek, kiedyś próbowała i się przewróciła, *prawilno?*



Tym razem pozwolono mi się rozbić pod płotem

Natasza, że *prawilno*, przeszli na rosyjski, aż dziwne, że mnie nie spytali, czy znam rosyjski, a Amerykanie mieli nie mówić w żadnych innych językach poza angielskim, no proszę, a tu nie dość, że oboje szczupli, to jeszcze wiedzą, gdzie leży Polska, prezydenta kojarzą i rosyjski znają.

— A to twój pierwszy wyjazd rowerem? — pytanie pada po angielsku.

— Nie — odpowiadam. — Byłem i tu, i tam.

— A gdzie?

Wymieniam kilka krajów, opowiadam na pytania, gdzie ładnie, co warto odwiedzić, trudno się mówi, gusta różne, *motor home* wszędzie nie wjedzie.

— A ile ty masz lat? — przerywa Steven.

— Niedługo skończę czterdzieści.

— Czterdzieści? Patrz, Natasza, choć mamy dwa razy więcej lat, przeżył dwa razy więcej niż my... — jakby zasmucił się na moment i dodał: — Za nas trochę życie przeżyłeś.

Steven też wiele zjeździł, ale mówi, że w Stanach najlepiej. Nie jest ani demokratą, ani republikaninem, ale raczej jest za republiką, bo to ona stworzyła ten kraj, podkreśla z dumą i wychyla do dna kolejną szklanę, do

wyborów daleko, ponad rok, ale kampania już rozpoczęta, dowiedziałem się, że Barack Obama to maoistyczno -nazistowski agent Al -Kaidy, co należy myśleć o czarnych, skośnych i native'ach, krew mi się chyba zabrazowała od płynu, bo w końcu nie wytrzymałem i mówię, że chyba się pan wstawił i że Amerykanie mają słabsze głowy niż, dajmy na to, Rosjanie, no i trafiłem w czułe miejsce, jak kulą w płot.

— Jak to, lepsze głowy mają? — Natasza się włączyła.

— Nie, nie lepsze — próbuję się tłumaczyć. — Tylko inne, może to kwestia genów.

— E tam, gadanie — powiedział wyraźnie urażony Steven i żeby nie być gołosłownym, dorzucił: — Dawaj Natasza, co skończyło się? No to płocho, płocho, geny, ruskie geny, amerykańskie geny we mnie! Mój kraj! Ameryka, nie jakieś tam ruskie geny, słaba głowa, lepsze głowy, jakie tam geny, nie ma już w spizarce niczego?

Natasza poszła poszperać na tyłach samochodu, Steven rozłożył się na kanapie, coś tam jeszcze mamrotał pod nosem o genach i głowie, w pewnym momencie podniósł się i dodał dosadnie:

— Alkohol mocny i dzień był ciepły, ot co!

Rozdział 25

Do namiotu miałem blisko, nie przystałem więc na propozycję noclegu w samochodzie i wróciłem, aby zagrzebać się w śpiworze. Spałem jak zabity. Rankiem zaproszono mnie jeszcze na jajecnicę, ale nie wiedzieć czemu, jedliśmy w jakimś takim milczeniu, jakby nagle zabrakło tematów do rozmowy.

Na drogę dostałem jeszcze paczkę herbatników i kalifornijski adres z zaproszeniem na kolację.

— Tym razem whisky nie zabraknie! — rzucił Steven na pożegnanie.

Ruszyłem w dalszą drogę, tak zwaną Glenn Highway prowadzącą do granicy z Kanadą. Jechałem w górę rzeki Matanuska, omijając łukiem pasmo Gór Chugach. Pogoda dopisywała, problemem jednak było dopasowanie ubrań do mocno interwałowego terenu. Kiedy podjeżdżałem na strome wzniesienie, po kilku minutach byłem cały mokry, a kiedy zjeżdżałem, wiatr momentalnie mnie wychładzał. Ideałem byłoby zmienianie ubrań na każdym ze wzniesień, albo chociaż samej bielizny i następnie dokładanie jednej warstwy wierzchniej, ale wtedy musiałbym ze sobą taszczyć przyczepkę z ciuchami i co kilkadziesiąt minut się przebierać.

Jeśli chodzi o same koszulki, z Polski zabrałem sześć sztuk: dwie do jazdy, dwie do chodzenia, podczas tak zwanych dni bez roweru, i dwie do spania. Oczywiście, nie powinno się jechać w żadnych bawełnianych rzeczach, gdyż zapocone, w niskich temperaturach nie wyschną na ciele, do tego szybko absorbują wilgoć i niełatwo ją oddają. Do jazdy używałem koszulek z bakteriostatycznych włókien poliamidowych Meryl Skinlife. Materiał ten jest bardzo przyjemny w dotyku, niesamowicie lekki, błyskawicznie schnący (jeśli jest ciepło) i niewydzielający brzydkich zapachów, jak to ma miejsce w przypadku używania większości tak zwanych koszulek „oddychających”. Bielizna wykonana z materiału Meryl Skinlife zaczyna cuchnąć dopiero po kilkunastu dniach intensywnego używania.



Glenn Highway, na horyzoncie pasmo Gór Chugach

W USA i Kanadzie w ciągu dnia jechałem w jednej koszulce, bo jeśli nie było słońca, albo możliwości przesuszenia bielizny gdzieś po drodze, zawsze mogłem liczyć, że na drugi dzień będę miał kolejną, suchą do jazdy. Było to bardzo niekomfortowe, a w praktyce wyglądało to tak, że jechałem ciągle w tej samej koszulce i dwóch warstwach wierzchnich — polarze i kurtce goretexowej (która co prawda na intensywny deszcz zupełnie się nie nadaje, ale za to świetnie chroni przed wiatrem), zatrzymywałem się na wzniesieniach, aby nałożyć na siebie drugą kurtkę, by za moment, po kilku minutach zjazdu ją zdejmować. Chcąc nie chcąc, byłem więc ciągle mokry, ale starałem się nie dopuścić do sytuacji, aby ta cienka warstwa wilgoci schładzała się na mnie podczas zjazdu. Z niepokojem myślałem, co będzie, jak zaczną się mrozy, a teren będzie ciągle interwałowy.

Podczas zimowej podróży do Tybetu wyglądało to tak, że kiedy tylko podczas podjazdu poczułem, że jestem zbyt spocony, schodziłem z roweru i spacerowałem, dzięki czemu momentalnie stygłem, ale nie dopuszczałem do wychłodzenia i następnie, gdy tylko zbyt mocno poczułem chłód na plecach, od razu wsiadałem na rower. Dzięki tej praktyce poprawiałem również krążenie w stopach i palcach, co zapobiegało odmrożeniom. W Tybecie było

o tyle łatwiej, że pokonywałem potężne, długie podjazdy, podczas których, jeśli tylko nie zatrzymywałem się na dłuższe postoje, byłem co prawda spocony, ale pod trzema warstwami ubrań ciągle trzymałem ciepło. Na przełęczach zmieniałem ubrania na suche, nakładałem wszystkie pozostałe warstwy i rozpoczynałem zjazd. Często też trafiały się względnie płaskie odcinki, na których jechało się dość komfortowo, jeśli tylko za mocno nie wiało.

Na Alasce i później w Kanadzie problemem nie były zbyt niskie temperatury, tylko interwałowy teren i wiatr. Silne podmuchy dały mi się we znaki już drugiego dnia, kiedy to od samego rana mozolnie napierałem w stronę Glennallen. Późnym popołudniem zatrzymałem się przy restauracji Eureka z nadzieją na odpoczynek, kanapkę i przesuszenie rzeczy. Czysto, schludnie, w kamienny murek wetknięto amerykańską flagę, udekorowaną dokoła kolorowymi kwietnikami, z boku pysznił się ogromny, wyrzeźbiony niedźwiedź, za którym szerokie drzwi prowadziły do ciepłego wnętrza.

W środku prawie nikogo nie było. Poza jednym stolikiem, przy którym jakaś para pałaszowała ogromne hamburgery, wszystkie pozostałe miejsca były wolne. Stojąca za barem kobieta powitała mnie tubalnym „cześć koleś, jak leci”, na co tylko się uśmiechnąłem, odpowiedziałem *good*, po czym zająłem miejsce pod oknem. Dostałem menu, zerknąłem szybko na ceny, dla mnie, niestety, zaporowe. Hamburger na pewno pyszny i wielki, z dodatkami i w ogóle, ale kosztował trzynaście dolarów. Od razu przeliczyłem to na makaron i fasolę i stwierdziłem, że w tym lokalu stać mnie tylko na kawę, która na nieszczęście była za darmo. Bo skoro za darmo, to pewnie każdy z przyjemnością dokupi do niej hamburgera albo frytki, albo i cały obiad, który na pewno byłby wyśmienity, bo smakowita woń unosząca się z kuchni wyjątkowo przyjemnie drażniła moje wyostrzone na zapachy nozdrza.

Trochę głupio było mi wyciągać zrobioną rano kanapkę i zamówić do niej darmową kawę, pomyślałem więc, że podejść do pani za barem i zapytam, czy mogę dla odmiany zapłacić za kubek ciepłego płynu, nie kupując na pewno przepysznego hamburgera i zjeść przy stole swoje skromne zapasy, bo mnie na obiad w tym uroczym lokalu po prostu nie stać.

Niestety, nie wzbudziłem litości u barmanki. Może za mało jeszcze przepedałowałem, za świeżo i za czysto wyglądałem i ciągle w miarę przyzwoicie pachniałem. Dowiedziałem się bowiem, że jestem bezczelny, że pani mnie od razu przejrzała, jak tylko wszedłem, że ja kasy „nie mieć”, ale miała nadzieję, że się pomyliła, że już ona tych Niemców zna, tylko by siedzieli i darmową kawę pili, ona tu ciężko za marne pieniądze pracuje, nie może wszystkich przyjmować z ulicy, aby tak sobie za darmo siedzieli i pili, z ubikacji korzystali, nabrudzili, miejsca zajmowali, ale przecież chciałem zapłacić za kawę, mówię, ale do niej nie dociera, kanapkę mogę zjeść na zewnątrz, tutaj trzeba zapłacić, ona też podróżuje, wie, jak jest, ale nie może pozwolić, aby z jej lokalu spelunkę Niemcy i inni podobni zrobili, więc nawet

z ubikacji w końcu nie skorzystałem, bo ci od stolika, co wielkie hamburgery pałaszowali, też jakoś tak z odrazą na mnie patrzyli. Wyszedłem na zewnątrz, przebrałem się pod murkiem, wyjąłem kanapkę, wgrzyłem się w gumowaty chleb i jakoś się tak smutno zamyśliłem, zasępiłem, że może i baba miała rację, że nie chciała mnie wpuścić, bo przecież jak w Polsce powiem, że w Eurece na Alasce, w ciemnej dupie na drodze do Glennallen za darmo kawa, to na pewno zaraz tłumy turystów przyjadą, tacy, co niczego „nie mieć”, z rodzinami, bachorami, wózkami, pobrudzą, miejsca zajmą, śmiecie swoje w koszu zostawią, niczego nie kupią, litry kawy wypiją, ubikacje zapchają, a pewnie i papier toaletowy świsną, więc na wszelki wypadek lepiej się asekurować, zresztą wyraźnie powiedziała, że też podróżuje, jeździ po świecie, to znaczy, że wie jak jest, zna się na ludziach i odpowiednie, humanitarne inaczej standardy na Alasce musi wprowadzić, bo w przeciwnym razie Azję ze Stanów Niemcy zrobią.

Przebrany w suche ciuchy siedzę przy kołach wielkiego dodge'a i zjadam ostatni kęs nadziewanego serem chleba do zucia. Dnia jeszcze trochę zostało, popedałuję, zaraz się rozgrzeję, bo podjazd na horyzoncie widać, kawy gdzie indziej się napiję, w namiocie zrobię, mam swoją. Ruszać mi się jednak nie chce, rozleniwiła mnie ta kanapka, za plecami hostel, pokoje po pięćdziesiąt dolców, gdybym miał, to pewnie bym zapłacił, przespał się, odpoczął, hamburgera zjadł, z panią barmanką porozmawiał o życiu. Czy nie byłoby przyjemniej tak podróżować, zapyta znajomy po powrocie. Pewnie, że przyjemniej, ale w przeciwieństwie do niego ja jeżdżę, a on nadal odkłada pieniądze i zastanawia się, gdzie warto pojechać.



Restauracja Eureka

Ruszyłem niemrawo, rozkręciłem się trochę po drodze i choć myśli miałem nietęgę, udało się jeszcze kawałek do wieczora przejechać. Ściemniało się już, więc rozglądałem się za miejscem na nocleg, kiedy po prawej stronie drogi zobaczyłem znak, kierujący do sklepu. Pomyślałem, że chociaż o wodę poproszę, zabiorę na drogę, nigdy nic nie wiadomo, a z mapy wynikało, że przed Glennallen może być wielkie nic, więc lepiej się zaopatrzyć.

Z głównej drogi nie było widać sklepu. Krótki, stromy podjazd doprowadził mnie pod Grizzly Country Store. Przed drzwiami wejściowymi znów powitał mnie rzeźbiony niedźwiedź, sztuczne oświetlenie z dachówki imitowało połyskujące w słońcu lodowe sople, na porożach wryto godziny otwarcia, jedna tabliczka informowała, że ubikacje tylko dla klientów, a druga, że Jezus tak umiłował świat, że swego syna jednorodzonego dał, aby każdy kto w niego wierzy i tak dalej, czyli Jan, rozdział trzeci, werset szesnasty.

Przed sklepem, na plastikowym krześle, siedział facet przypominający Che Guevarę. Najpierw sprostowałem, że nie jestem Niemcem, dopiero potem, prawie przekrzykując głośno ujadające psy, poprosiłem o wodę. Mężczyzna zaprosił mnie do środka, tam już mogliśmy się nawzajem słyszeć.

— Tutaj będzie trochę cieplej, a na dworze już wszystko zamarza. — Co powiedziawszy, wziął ode mnie dwie butelki i zniknął na zapleczu.

Sądząc po ilości papierosów na półkach, łatwo można było zgadnąć, jakie towary schodzą tu najlepiej, choć poza kartonami z marlboro, salemami, camelami i winstonami za ladą leżało mnóstwo badziewia bezpośrednio lub pośrednio związanego z misiami. Breloczki, proporczyki, nalepki, naszywki, kartki pocztowe, kubki czy batony energetyczne z wizerunkiem misia dające moc na pięć godzin. Nawet papierowy magazyn, leżący obok na stoliku, miał tytuł „Niedźwiedzia stopa”. Wziąłem jeden numer i zacząłem kartkować.

— Możesz wziąć sobie jeden, są darmowe — usłyszałem za plecami. — Nie za późno trochę na podróżowanie rowerem?

— O, dziękuję — powiedziałem, odbierając pełne butelki. — Jeszcze nie jest tak zimno, jadę na południe, mam nadzieję uciec przed zimą.

— O, to przynajmniej jedziesz w dobrą stronę. Ale od zimy nie uciekniesz. Wczoraj w górach sypnęło trochę śniegu. Jak wyjedziesz na drogę, to zobaczysz, Sergeant Robinson już pokryty przez *termination dust*.

Termination dust, czyli w wolnym tłumaczeniu apokaliptyczny pył, który cienką warstewką białego puchu pokrywa wierzchołki gór i wymiata wszystkich turystów z Alaski, rozpoczynając martwy, zimowy sezon, który będzie tutaj trwał ponad siedem miesięcy.

— Dopiero w maju wrócą turyści, jak śniegi stopnieją. A dzisiaj gdzie będziesz nocował?

— Nie wiem — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — Podjadę jeszcze kilka kilometrów, dopóki jest widno i rozłożę namiot gdzieś przy ulicy.

— Przy ulicy? Nie, nie będziesz spał przy żadnej ulicy, nigdzie już dziś nie jedziesz, zostajesz tutaj, nie chcę cię mieć na sumieniu, jak cię misie zjedzą.

Takiego zakończenia dnia się nie spodziewałem. Dostałem dwa metry kwadratowe wystrzyżonego trawnika na rozbicie namiotu i spray do ręki, który miał mi pomóc w razie ataku grizzly.

— Weź, przyda ci się — powiedział mężczyzna. — Jest już do połowy zużyty, ale w razie czego będzie działać. Tylko uważaj, bo nie działa na czarne. Z czarnymi trzeba walczyć wręcz. Kiedy niedźwiedź będzie cię próbował zaatakować, musisz zasłonić się lewym ramieniem i dać się zadrapać albo ugryźć, albo cokolwiek i kiedy poczujesz, że jest już po ramieniu, wtedy szybkim ruchem wbijasz czarnemu nóż w szyję. Masz nóż? No, to dobrze, jakbyś nie miał, to możesz użyć szpili od namiotu albo ostrego śledzia. Nie celujesz w serce, bo nóż może utkwić między żebrami i wtedy po zawodach. I musisz pamiętać cały czas o unikach, bo czarny może próbować pacnąć łapą, a jak cię spoliczkuje, to też po zawodach. Więc, raz jeszcze: czarny atakuje, zasłaniasz się ramieniem, czarny je kąsa, ty, cały czas pamiętając o unikach, żeby nie dać się spoliczkować, szybkim ruchem wbijasz nóż albo szpilę w szyję czarnego, po czym powtarzasz ruch, energicznie dźgając skurczybyka kilka razy, szybko i mocno, nawet wtedy, kiedy już nic nie

widzisz, bo sikająca krew zalała ci oczy. Czarny pada, przecierasz twarz, dzwonisz po karetkę i jedziesz do szpitala, żeby zobaczyć, czy jeszcze coś da się zrobić z ramieniem. Martwego misia można zabrać do domu, a można też zostawić krukowi. O, zobacz — wskazał na odcisniętą w gipsie łapę niedźwiedzia, zawieszoną nad sałkami. — Ten kiedyś chciał mi do domu wejść, ale nie zdążył, ustrzeliłem skurczybyka.

W międzyczasie do sklepu wszedł starszy mężczyzna, kolega, włączył się do dyskusji, obaj nie są za zabijaniem misiów, chyba że w obronie własnej, niech tam sobie żyją, byle do domu nie wchodziły. Choć ich wszyscy kumple strzelają, jak tylko widzą niedźwiedzia, czy jest zagrożenie, czy nie, czy z małymi, czy bez...

Pan Che Guevara nie pozwolił sobie zrobić zdjęcia, ale zrobiłem koledze, na tle cytatu z Jezusem, potem wróciłem do namiotu, obiecawszy jeszcze, że w nocy nie będę się kręcił i nigdzie spacerował oraz będę uważał na dwa potężne psy, ciągle jeszcze głośno ujadające za domem. No i że nie muszę się dziś obawiać niedźwiedzi, bo mam spraya i przeszedłem kurs, chyba że czarne przyjdą, ale wtedy też w sumie nie, bo to już psy się nimi odpowiednio zajmą.



Nocleg pod Grizzly Country Store



Nocleg pod Grizzly Country Store

Rozdział 26

Ranek powitał mnie temperaturą minus osiem stopni Celsjusza. Dobrze, że pamiętałem o włożeniu butelki do śpiwora, bo musiałbym czekać na otwarcie sklepu i znów prosić o wodę. Obok co prawda były zabudowania, w których pewnie mieszkał właściciel, ale nie chciałem nadużywać gościnności i zanim powiedziałem panu Che Guevara dzień dobry, a właściwie do widzenia, byłem już po śniadaniu.

Kolejne dni przybliżały mnie do granicy z Kanadą. Z dnia na dzień robiło się coraz zimniej, temperatura spadała błyskawicznie. Kiedy opuszczałem Anchorage, temperatura oscylowała w granicach dziesięciu stopni Celsjusza, a po kilku dniach, w południe, słupek rtęci podnosił się do zaledwie czterech. A przecież ciągle jeszcze był wrzesień.

Największą zaletą podróżowania jesienią był absolutny brak komarów. Właściwie to nie byłem molestowany przez żadne latające robactwo. Wieczorem czy raniem mogłem w spokoju wyjść przed namiot, usiąść na karimacie, albo nawet zostać w środku, rozsunąć suwak i nie będąc nękanym przez mrowie owadów, w spokoju skosztować posiłek. Latem komarów jest na północy zatrzęsienie, mógłbym wtedy zapomnieć o postojach na polanie czy parkingu i południowej drzemce po posiłku.

Jechałem przez tę część Alaski, która sto lat temu stanowiła miejsce wydarzeń, związanych z jednym z ostatnich zrywów gorączki złota. Odkrycie złotego kruszcu w 1913 roku, po północnej stronie przepięknego masywu Gór Wrangell, przyciągnęło tysiące poszukiwaczy, ale niestety, okazało się, że tylko niektóre z potoków były zasobne w złoto, a nawet i te, które zawierały cenny kruszec, nie posiadały go w takiej ilości, jakiej się spodziewano. Założono kilka osad, ale bardzo szybko zostały one wyludnione i do dziś przetrwało jedynie kilka, między innymi Chisana. Rozczarowanie poszukiwaczy było ogromne, zważywszy jakie trudności musieli pokonać, aby dostać się w rejony, nawet przez tych zatwardziałych awanturników opisywane jako „jedne z najtrudniej dostępnych części Alaski i Jukonu”.

Dla mnie nie była to najtrudniej dostępna część kraju, bowiem ciągle jechałem doskonałej jakości drogą, w otoczeniu malowniczych górskich masywów, jezior, rzek i wiecznie zielonych, świerkowych lasów. Dla pierwotnych mieszkańców tych ziem (którzy nazywani są teraz nie Indianami ani native'ami, ale potomkami *first nations*) to nie złoto, ale właśnie świerk był najważniejszym i najpotrzebniejszym towarem, nieodzownym do przeżycia. Jego najistotniejszym przeznaczeniem było stosowanie go jako drewna opałowego, zapewniającego ciepło i światło, co miało szczególne znaczenie, biorąc pod uwagę fakt, że zimy trwają na

Alasce nawet przez osiem miesięcy, a temperatury, sięgające w styczniu minus czterdziestu pięciu stopni, nie są niczym niezwykłym. Poza używaniem świerku jako opału, miał on jeszcze zastosowanie jako wszechstronny materiał budowlany. Wykonywano z niego schronienia, był używany jako podściółka, budowano z niego kajaki, kanu, szkielety namiotów, sanie, rakiety śnieżne, sidła, żerdzie czy broń^[6]. Zapewne i ja używałbym go chociażby do opału, gdyby na przykład kuchenka przestała działać. Na razie jednak zadowalałem się butlą z gazem i palnikiem.

Co do noclegów, nie miałem już tyle szczęścia, jak przez pierwsze dwa dni. Z uwagi na ciągłe ostrzeżenia przed wałęsającymi się, głodnymi i rozdrażnionymi przed snem zimowym niedźwiedziami, starałem się nocować blisko zabudowań, a tych było jak na lekarstwo. Nie wiedziałem, jak bardzo na serio mam brać te wszystkie przestrogi i uwagi. Wydawały mi się trochę przesadzone, podejrzewałem, że ta troska o moje bezpieczeństwo wynikała ze zwykłej przezorności czy ostrożności. Niemniej jednak, kiedy zbliżał się wieczór, starałem się dojechać do jakichś osad, wypatrzeć jakąś farmę czy choćby wolnostojący budynek. Było to o tyle ułatwione, że nawet jeśli nie znajdowały się one przy samej ulicy, a były ukryte w głębi lasu, przy drodze stała metalowa skrzynka pocztowa, z adresem i numerem domu.

29 września znajdowałem się już tylko kilkanaście kilometrów od granicy z Kanadą. Minąłem miejscowość Tok, gdzie zrobiłem ostatnie zakupy w Stanach, miałem duże zapasy makaronu, fasoli i wody, a po mocno interwałowym terenie, marzyłem już tylko o rozbiciu namiotu w bezpiecznym miejscu i pójściu spać. Zbliżał się wieczór, szczęśliwie zobaczyłem metalowe skrzynki i drogę, niknącą w głębi lasu. Postanowiłem zajechać i zapytać o możliwość przenocowania gdzieś nieopodal.

Po chwili dostrzegłem zabudowania. Psy już mnie zwęszyły, pomyślałem, słysząc głośnie szczekanie. Za moment zobaczyłem wielkiego jak niedźwiedź psa biegnącego w moją stronę. Na szczęście był tylko jeden. Stałem jak wryty. Pies zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów przede mną, ale nie przestawał ujadać, raz po raz oglądając się w stronę domu. Myślałem, że za moment ktoś wyjdzie z budynku, z którego kamiennego komina unosiła się cienka strużka dymu, ale upłynęło już kilka minut, a nikt się nie pojawiał. Stojący przede mną pies przestał czekać, co więcej, po moich gwizdach i zachęcających (tak mi się wydaje) nieartykułowanych dźwiękach, zaczął merdać ogonem i coraz bliżej podchodzić. Z tyłu dało się słyszeć ujadanie jeszcze co najmniej dwóch innych psów, ale skoro nie przybiegły, to znaczy, że były zamknięte, albo uwiązane na łańcuchu, a skoro ten jeden biegał samopas, to może nie był aż taki groźny. Zaczynało się ściemniać i nie mogłem tak stać w nieskończoność. Położyłem rower na ziemi i podszedłem do psa. Byłem już zbyt zmęczony, aby przejmować się ewentualnym ugryzieniem, wyciągnąłem rękę i pogłaskałem go. Nie wiem czemu, ale patrząc mu w oczy, czułem, że nic złego mi nie zrobi.

Podniosłem rower i zbliżyłem się do budynków. Rzeczywiście, dwa ujadające psy schowane były w metalowej klatce. Pies niedźwiedź nie odstępował mnie ani na krok, szedłem ostrożnie, ale wydawało mi się, że zrobił się bardziej ufny i łypał na mnie coraz przyjaźniej. Zapukałem do drzwi, nikt nie otwierał. Sądząc z pozostawionych dokoła sprzętów i unoszącego się z komina dymu, mogłem przypuszczać, że właściciele niedługo wrócą. Usiadłem na kamiennym murku, przebrałem się w suche rzeczy i postanowiłem chwilę poczekać. W międzyczasie zrobiło się zupełnie ciemno, mimo ciepłych rzeczy coraz bardziej marzłem, byłem głodny, marzyłem, żeby wreszcie się położyć i zasnąć. Po kolejnych kilkunastu minutach pomyślałem, że to czekanie jest trochę bez sensu, co będzie, jeśli się okaże, że właściciele po prostu zostawili niedogaszony piec i wrócą dopiero jutro rano?

Rozbiłem się kilka metrów od budynku, przygotowałem kolację, którą podzieliłem się z pieskiem, nazwałem go Ursus i dałem się wylizać. No to zostaliśmy przyjaciółmi. Ursus uparcie chciał wejść do namiotu, nawet kiedy już zasunąłem suwak, zagrzebałem się w ściworze i znieruchomiałem, słyszałem, jak ciągle węszy dokoła. W końcu, już na krawędzi jawy i snu, doszło mnie głośne westchnienie i potężne cielsko zważyło się na ziemię.

Prawie zasypiałem, kiedy Ursus gromkim szczekaniem poderwał mnie na równe nogi. Za kilka minut dało się słyszeć nadjeżdżający samochód, snop światła omiótł namiot, ktoś wyszedł, dwie osoby, raczej starsze, ktoś wyłączył silnik i szurając, podreptał po wyschniętych liściach do domu. Drzwi trzasnęły i znów zrobiło się cicho. Czyli nikt mnie nie zauważył. Zasypiając, zdążyłem przyzwycząić się już do myśli, że nikt tego wieczora pewnie nie przyjedzie, a tym bardziej w nocy, a tu proszę, pojawili się właściciele i trzeba się wynurzyć z namiotu i wytłumaczyć. Nie wiedzieć czemu nie wyszedłem, kiedy wypakowywali rzeczy z samochodu i byli na zewnątrz. Jeśli teraz podejść i zapukać, to mogą się trochę wystraszyć. Rozważałem jeszcze możliwość przeczekania do rana i tłumaczenia się następnego dnia, ale to wyglądałoby jeszcze dziwniej. Postanowiłem jednak podejść, zapukać, przedstawić się i wytłumaczyć, co robi mój namiot pięć metrów od ich domu.



Nocleg pod domem Ursusa

Drzwi otworzył gospodarz. Nie był zbyt zachwycony, wydaje mi się, że gdyby nie rozstawiony na podjeździe namiot, kazałby mi jechać do lasu albo wysłał do Kanady do motelu. Sprawę załagodziła żona, prosząc męża, aby dał mi spokój i pozwolił wrócić spać. Musiałem tylko obiecać, że rano zabiorę się tak szybko, jak tylko to możliwe.

Poczułem się trochę nieswojo, gdybym nie był w takim stanie, w jakim byłem, czyli na wpół przytomny ze zmęczenia, pewnie zabrałbym się stamtąd i nie naprzykrzał ludziom, pojechał poszukać lepszego miejsca, ale z drugiej strony, przecież chyba nie prosiłem o wiele, jedyne czego potrzebowałem, to dwa metry kwadratowe ziemi obok domu...

Rano, kiedy wyjrzałem na zewnątrz, stojący obok Ursus przyjaźnie pomierdał ogonem i podbiegł do mnie. Najpierw wytarmosiłem psa, potem zwinąłem namiot. Zgodnie z obietnicą, zebrałem się szybko i sprawnie, a śniadanie

zjadłem już po drodze. Poszedłem się jeszcze pożegnać, w domu już chyba było mocno rozpalone, bo z komina unosił się w górę gruby, biały welon pachnącego żywicą dymu.

Pukałem, ale nikt nie otworzył, może nie słyszeli, w środku pewnie ciepło, na zewnątrz minus osiem stopni, nic to, zaraz wsiądę na rower, rozgrzeję się, tylko w dłonie zimno, pochucham, rozetrę, szczypią trochę palce, pies przekrzywia głowę, piskliwe „hau” albo „huf”, choć psi język uniwersalny. Ursus podreptał za mną aż do drogi, przy ulicy zatrzymał się, zaskomlał, no i jak tu za Bursą nie powtórzyć, że dzieci miłsze od dorosłych, a zwierzęta miłsze od dzieci, do pantofelka nie dojdę, pozostanę przy Rafinerii, która dynda z kierownicy i milczy wymownie.

Kiedyś kupię sobie psa. Jak już nie będę musiał daleko jeździć, albo będziemy jeździć razem, rozbijać się w lesie, nie będziemy bać się niedźwiedzi ani żadnych innych leśnych stworów, nikogo prosić o pomoc, chyba że Muminki, nie będziemy zabierać ludziom przestrzeni na podwórku i nie będziemy musieli rano wstawać, czuć się nieproszeni czy nie na miejscu i nie będziemy mieć wyrzutów sumienia, że komuś niepotrzebnie i w perfidny, podstępny sposób zakłóciliśmy spokój w leśnej głuszy.



Klasyk — makaron z makaronem z dodatkiem fasoli

Rozdział 27

30 września przekroczyłem granicę i wjechałem do Kanady. Tego dnia udało mi się przejechać ponad sto kilometrów, ale ostatnie pokonałem już nocą, głównie dlatego, że nie doczytałem, iż „właściwa” granica kanadyjska jest trzydzieści kilometrów za amerykańską, a pomiędzy nimi rozciąga się pas ziemi niczyjej.

Informacje o formalnościach granicznych sprawdziłem dwa dni wcześniej w Tok, gdzie podobnie jak w kilku innych miejscowościach po drodze skorzystałem z darmowego internetu w lokalnej bibliotece. Coraz bardziej doskwierał mi brak dostępu do sieci z własnego urządzenia, które mógłbym wykorzystać na wstępną obróbkę zdjęć i przesłanie ich na stronę internetową. Kafelki internetowe, na które liczyłem, w Stanach i Kanadzie właściwie straciły już rację bytu. Niemal wszędzie bowiem, w kawiarniach, przy hotelach czy nawet w bibliotece, internet jest ogólnodostępny, napis „wifi” staje się wręcz nieodzowny na ulotce informacyjnej czy folderze hotelu, bądź restauracji, aby zachęcić potencjalnego klienta. Prawie każdy posiada przecież urządzenie, z którego może przesyłać e-maile i szperać w sieci.

Na razie dopiero co przekroczyłem granicę. Jak już wspomniałem, ostatnie kilometry zrobiłem nocą, nie powinna więc dziwić mnie mina służbistki na kanadyjskiej granicy, która koniecznie chciała się dowiedzieć, kto mnie podrzucił i gdzie się teraz zatrzymał. Kiedy już przekonałem ją, że jednak przyjechałem rowerem i że po drodze nie widziałem żadnych samochodów, pojawił się problem, ile mam ze sobą pieniędzy. W portfelu były dokładnie trzy dziesięciodolarówki. Na całe szczęście uwierzyła w moje zapewnienia, że mam tyle i tyle, a kiedy jeszcze pokazałem kilka kart płatniczych (a dokładniej plastikowy dowód, wejściówkę do kina i bilet miesięczny) kobieta nie drążyła więcej tematu, uśmiechnęła się i oddając mi paszport z wbitą pieczętką -wizą (otrzymywana bezpłatnie, pod warunkiem posiadania paszportów biometrycznych), życzyła dobrej nocy i szerokiej drogi, jednocześnie rekomendując jakiś hotel w mieście.

Kilka minut później wjechałem do miasteczka Beaver Creek. Nie wiem czemu, ale do dziś, kiedy pomyślę o Kanadzie, jedno z najmocniejszych wspomnień, jakie we mnie zostały, to rozświetlona pomarańczowym światłem latarni tablica, na której ktoś wymalował schludny pokój i dopisał: „Wielka Promocja! — dziś nocleg za jedyne siedemdziesiąt dolarów”. Nie pamiętam zbyt dobrze łośi ani bizonów, ani smaku syropu klonowego i mroźnych poranków, ale doskonale pamiętam, jak się czułem, kiedy zobaczyłem tę tablicę. Źle.

Było zimno, wcale nie było fajnie. Dzień był długi, nie chciałem szukać

dobrego miejsca na rozbicie namiotu, prosić, zastanawiać, czy ktoś się łaskawie zgodzi, czy nie, poszedłem na tył hotelu, znalazłem zacienione miejsce, rozstawiłem namiot i cichutko zasnąłem.

Wstałem bardzo wcześnie, na zewnątrz jeszcze było ciemno, a kiedy się zaczęło rozwidniać, byłem już gotowy do dalszej drogi. Zaszedłem do hotelu, poprosiłem o wodę i ruszyłem na południe w stronę Whitehorse. Dzień jak co dzień. Krótkie podjazdy i zjazdy, silny wiatr w twarz, las, góry, czasem parkingi i krótkie postoje na rozprostowanie kości. Dystanse na drogowskazach znów były podawane po ludzku, czyli w kilometrach, a nie milach, dzięki czemu, wjechawszy w nową strefę czasową, przybliżyłem się trochę do Polski. Nie żebym już bardzo chciał wracać do domu, jeszcze nie byłem gotowy, ale świadomość bycia bliżej niż dalej, choć może i odwrotnie, działała jakoś tak kojąco.

Tego dnia nocowałem, tak jak przez kilka następnych, na tak zwanym *government campground*. Jest to utrzymywany przez lokalne władze camping, na którym za dwanaście dolarów można się rozbić w wyznaczonym miejscu, skorzystać z toalety, a także rozpaść ognisko, wykorzystując do tego narąbane obok drzewo. Owe jedyne dwanaście dolarów kanadyjskich, czyli jakieś czterdzieści złotych, wrzuca się do specjalnej skrzynki, znajdującej się przy wjeździe na teren campingu. Jazda poza sezonem, czyli jesienią i zimą, zwalnia z obowiązku płacenia za te wspaniałe udogodnienia, w postaci narąbanego drzewa i nie zawsze czystej muszli klozetowej, i pozwala na rozbicie się „na dziko”. Tak przynajmniej mówili spotkani kilka razy pojedynczy turyści, i choć wyglądali dość podejrzanie, sam nie wiem, na ile chcieli mnie uspokoić i zachęcić do nocowania w bezpiecznym miejscu, a na ile sami naciągali prawo, korzystając z zamkniętych campingów. Tak czy inaczej, jeśli tylko udało mi się do *government campgrounds* dojechać (a miałem mapkę z ich dokładnym położeniem), nigdy nie byłem na nich nagabywany i kontrolowany.

Przed osadą Burwash Landing spotkałem pierwszego rowerzystę. Japończyk Yoshi, w drodze od dziewięciu miesięcy, wyjechał na Boże Narodzenie ubiegłego roku z Ushuaii w Argentynie, w nogach miał ponad dwadzieścia siedem tysięcy kilometrów. Zziębnięty, wyczerpany, trochę rozczarowany, bo na meksykańskiej granicy dostał wizę amerykańską jedynie na trzy miesiące. Planował przejechać całą Alaskę i dotrzeć do Prudhoe Bay, maleńkiej osady leżącej aż nad Morzem Beauforta. A potem chciał jeszcze spróbować przedrzeć się zimą przez Cieśninę Beringa do Rosji i z powrotem do Japonii. Maksowi Gotschalkowi w 1913 roku przejście po lodzie z Półwyspu Czukockiego na Alaskę zajęło prawie tydzień, ciekawe, ile Yoshi jechałby rowerem. Niestety, trzymiesięczna wiza ledwo wystarczyła, aby przepedałować przez USA i Kanadę, a jeszcze pozostał mu odcinek do Anchorage. Kiedy powiedziałem, że ja dostałem wizę na sześć miesięcy, zachnął się, że już słyszał, że Europejczycy dostają na pół roku i że to

dyskryminacja rasowa. Próbowałem wytłumaczyć, że to nie jest żadna dyskryminacja, tylko że ja mam wizę wyrobioną przed przylotem do Stanów i jest to trochę inna wiza od tej, którą wydają na granicy, że Niemcy też dostają na trzy miesiące, jeśli nie zatroszczyli się o nią we własnym kraju i w końcu, że to ja powinienem mówić o dyskryminacji, skoro wiąże się to z wykonaniem kilku telefonów za horrendalne pieniądze, a potem jeszcze wizytą w ambasadzie i niepewnością, czy się ów papierek dostanie czy nie.



Pierwszy nocleg w Kanadzie na *government campground*

Yoshi już nie słuchał, zmarzył od stania na wietrze, a że zwykł dziennie nie schodzić poniżej stu kilometrów (powiedział, że trafiały mu się odcinki po dwieście), wsiadł na rower i tyle go widziałem. Na koniec jeszcze zdążył powiedzieć, że teraz będę miał *fucking* drogę na południe.

Nie mógł tego wyrazić dobitniej. Jazda od rana była rzeźnicka. Myślałem, że uda mi się dojechać do Burwash Landing, gdzie zrobię małe zakupy, odmrozę się trochę pod jakimś dachem, a może i zjem hamburgera. Niestety, silny wiatr zupełnie mnie zgnoił, przez cały dzień zrobiłem jedynie sześćdziesiąt kilometrów, a czułem się, jakbym przejechał dwieście. Drugiego dnia podobnie, dopiero w południe dojechałem do osady, która okazała się straszną dziurą, bez sklepu, bez stacji benzynowej, z jedną zamkniętą restauracją, spod której właściciele przepędzili mnie, jak tylko

rozłożyłem się z karimatą i chciałem ugotować makaron.

Rzeczywiście, myślę sobie, mogłem chociaż iść i zapytać, czy nikomu nie będę przeszkadzał, jak przez godzinę posiedzę pod ścianą i zjem gorący posiłek. A tak, trzeba iść szukać innego miejsca. Poszedłem pod zamknięte muzeum, podobno klejnot okolicy, no niestety, nie dla mnie, nawet gdyby było otwarte, to miałbym obiad za cenę biletu wstępu, ale z zewnątrz mogę sobie pooglądać: wypchany łoś patrzy spode łba, jak gotuję makaron z makaronem, uśmiechnięci ludzie o śnieżnobiałych zębach machają do mnie z rozwieszzonego na szybie plakatu. Chcesz przeżyć przygodę życia? Dzwon tu i tam, gwarancja satysfakcji albo zwrot pieniędzy.

Wciążam makaron i patrzę na wielki napis: *Wilderness guaranteed!* Między jedną kluską a drugą zastanawiam się, jakby to ładnie przetłumaczyć na polski. I właściwie, o co chodzi? Z drugim słowem łatwiej, organizator wycieczki „gwarantuje”, ale co z pierwszym? Co gwarantuje? Spróbujmy z *google translator*. Co zrobi automatyczny gugłowski tłumacz? Zwrot ten przetłumaczy jako „pustynia gwarantowane”. Nie, nie śmieję się z programu, choć mam o nim swoje zdanie, tylko zastanawiam się, na czym to jeszcze da się zarobić pieniądze i za co ludzie są w stanie zapłacić. *Wilderness*. Pustynia, pustkowie, głusza, manowce, dzicz, dziki teren, dzika przestrzeń, dzikie obszary, odludzie. Tyle ze słownika. To może jeszcze z Maraięgo: „ucywilizowana bezdomność”.



Leśny przyjaciel

Siedzę sobie zziębnięty, ze spieczoną twarzą pod kościołem, myślę, że dobre duchy mimo wszystko troszczą się o mnie, główną atrakcją wycieczki, czyli *wilderness*, mam za friko, do tego nawet mam jej w nadmiarze, zwiedziłem muzeum, odpoczywam w osłoniętym od wiatru miejscu, delektuję się smacznym, ciepłym makaronem, mam ciągle mocne nogi, sprawny rower, kubek gorącej kawy i w sumie wszystko inne mam gdzieś.

Bo najlepsze i najpiękniejsze rzeczy w życiu i tak są za darmo. Wschód słońca i zachód tego samego dnia. Zapach lasu, szum leniwie płynącej rzeczki, szelest liści, wystarczy odejść od głównej drogi na kilkanaście metrów, zatrzymać się, posłuchać. Albo wczorajsza zorza polarna. Stałem, patrzyłem i nie mogłem się ruszyć, kosmos, tyle się działo na niebie, a wszystko w absolutnej ciszy. Przecież tam był ruch, kolory tańczyły na niebie, ale gdzie się podziała muzyka?

Mimo wszystko na razie bilans nadzwyczaj dodatni. Piszę oczywiście o rzeczach. O powierzchni. Kruchej zresztą, bardzo labilnej, ale przez to mocniej doświadczanej, bardziej świadomej. W każdej chwili przecież może

coś uderzyć, jak grom z jasnego nieba, a w sumie nic się nie dzieje. Jadę, jem, śpię, załatwiam się bardzo regularnie z rana, czasem nawet dwa razy, jak trafi się więcej kalorii w ciągu dnia. Zdarza się, i owszem, że coś powiem, albo tylko się uśmiechnę, mam dość proste myśli, czasem cnotliwe, czasem sprośne, jak to w drodze, takie, co to zamykają człowieka w sobie i próżno im się opierać. Czasem myślę, że może nawet się uwsteczniam, nie wiem, na pewno nie za bardzo rozwijam, a jeśli już coś, to skrzywienie kręgow szyjnych i inne niedoskonałości związane z moim postępującym wiekiem, niestety.

Pewnie, że miło byłoby już wrócić, ale jeszcze nie jestem na to gotowy. Myślę dużo o tych, których już nie ma, albo są, ale ich zostawiłem w Polsce. Chciałbym, żeby moje pedałowanie dało coś, cokolwiek, dobrego, złego, nie wiem. Chyba dobrego. Chciałbym, żeby zainspirowało kogoś do zrobienia czegoś, czegokolwiek. Nie mogę wszystkiego. Właściwie całkiem niewiele mogę, a jeszcze mniej potrafię. Nawet nie mogę kupić śmieciowego hamburgera, bo zaraz przeliczam, ile za niego miałbym bochenków chleba, albo ile kilo makaronu. Ale mogę marzyć i mogę pomyśleć, że ktoś kiedyś sobie też zamarzy i może nawet wyjdzie coś z tych czyichś marzeń.

There is a limit for reality, but there are no limits for a dream. Życie stawia nam granice, ale marzenia granic nie znają. I lepiej nie mieć niczego, ale mieć pragnienia, niż posiadać wszystko, ale nie mieć pragnień.

Rozdział 28

Po przepedałowaniu tysiąca dwustu pięćdziesięciu kilometrów, dojechałem do Whitehorse. Zamierzałem tu odpocząć chociaż dwa dni, potrzebowałem noclegu pod dachem, namiastki ciepła, czterech ścian, które nie będą łopotać na wietrze. Pomyślałem, że pojedę do hotelu i zapytam, czy nie mógłbym zapłacić za jedną noc, a zostać na dwie, niekoniecznie w pokoju, ale może w jakimś garażu czy piwnicy. Wybrałem hostel Beez Kneez, rekomendowany przez przewodnik, choć to akurat był argument drugorzędny, najważniejsza była informacja, że hostel ten jest jednym z najtańszych w mieście.

Z zewnątrz rzeczywiście wyglądał bardzo przytulnie, wszedłem do środka, natknąłem się na dziewczynę, która akurat miała wieczorny dyżur i próbowałem wytłumaczyć, że niestety nie stać mnie na zapłacenie za dwie noce, ale czy nie mógłbym zapłacić za jedną, a zostać na dwie, albo chociaż zanocować gdzieś w jakimś ciepłym kącie.

Dziewczyna sama nie mogła zdecydować, a właścicielka miała się pojawić dopiero jutro rano. Mogła jedynie skasować mnie za jedną noc, a negocjacje podjąć następnego dnia. Postanowiłem zatem, że pojedę się przespać do parku, a wrócę rankiem i sam porozmawiam z właścicielką. Nawet jeśli się nie zgodzi, to będę miał cały dzień na odpoczynek, kolejny ostatecznie spędzę w McDonalddie, a na noc znów pójdę do parku. W ten sposób przez ponad dwie doby odpocznę od roweru i zregeneruję nadwątlone siły.

Wstałem skoro świt i wróciłem do hostelu. Właścicielka okazała się dobrym człowiekiem, mogłem zostać na dwie noce, płacąc za jedną. Do południa przeleżałem na czystym, suchym łóżku, delektując się ciszą, bezruchem i ciepłem.

Odpoczynek w hostelu zrobił mi doskonale, trzeciego dnia poszedłem jeszcze do lokalnego McDonalda i siedziałem w nim prawie do wieczora, zajadając najtańsze hamburgery i wypijając chyba z dziesięć litrów gazowanych płynów. Z niepokojem patrzyłem na podłą pogodę i siąpiący za oknem deszcz ze śniegiem. Byłem dość wypoczęty, ale najchętniej zostałbym jeszcze jeden dzień w mieście, przespał w łóżku, jakoś tak trochę spadło mi morale, może te kilometry przede mną trochę przerażały, wizja nadciągającej zimy i brak gotówki, ale alternatywy innej nie było: albo park, albo ulica, wybrałem to drugie, okutałem się w kilka warstw i ruszyłem w stronę Watson Lake.



Przed Whitehorse

Droga do następnego dużego miasta zajęła mi pięć dni. Było tak, jak miało być. Pusto, zimno, ciężko i samotnie. Prawie każdego dnia mijałem przynajmniej jeden nieudany biznes; opuszczone budynki, pozabijane deskami okna, niedziałające, owinięte watą i folią dystrybutory gazu, pustostany zionące jakimś smutkiem, jakby ktoś wrzucił do nich swoje niespełnione marzenia i pogrzebał na zawsze myśli o przytulnym, drewnianym, przydrożnym motelu...

Czasem nocowałem przy takich nieczynnych hotelach, bowiem nie zawsze udało się dojechać do *government campground*, a innych budynków zbyt wiele nie mijałem... Tak było przez pierwsze dwie noce po opuszczeniu Whitehorse, ale trzeci nocleg chciałem już spędzić na campingu. W południe jacyś ludzie zatrzymali się przy mnie i dali ze dwa kilo ziemniaków. Chcieli dać cały worek, który ważył chyba z dziesięć, chętnie bym zabrał, gdyby tylko ktoś zechciał je za mną wieźć. Zadowolilem się reklamówką, do której dorzucili jeszcze cebulę i kiełbasę. Byłem wniebowzięty. Teraz

potrzebowałem tylko wieczornego ogniska, na którym mógłbym upiec ziemniaki i przygotować resztę zapasów. A ognisko najłatwiej i najbezpieczniej, no i legalnie, można było rozpałcić na *government campground*, gdzie było też przygotowane drewno na rozpałkę.



Słynny spray na niedźwiedzie...



...i niedźwiedzie

Ściemniało się, ale z mapy wynikało, że najbliższy camping jest niedaleko, dlatego postanowiłem dojechać do niego nocą. A że akurat była pełnia, to jechałem sobie zygzakiem, bo zaczynałem już przysypiać i siła woli też się już powoli wyczerpywała i baterie w światełkach chyba również, bo nagle ktoś z tyłu zaczął głośno trąbić i to mnie nieźle orzeźwiło, ba, wbiło w pobocze dosłownie. Z wielkiego dodge'a wyszedł postawny mężczyzna, wyglądający jak Wódz z *Lotu nad kukułczym gniazdem* i zaczął mnie opieprzać, że mnie w ogóle nie widać.

— Ale przecież mam światła — mówię.

— Ale i tak ciebie nie widać — mówi Wódz. — I gdzie ty w ogóle jedziesz? W czasie kiedy tłumaczyłem, że jadę sobie, bo świeci księżyc i dobrze mi się jedzie, że chcę dojechać do campingu, bo mam ziemniaki i chcę je upiec, z samochodu wyszła kobieta i przerwała mi w pół słowa.

— Jedziesz z nami. Ziemniaki zjesz u nas i zostaniesz na noc. To niedaleko. Swift River Station. I załóż to — dodała, podając mi doskonale widoczną, srebrno-żółto-pomarańczową kamizelkę odblaskową.

— I nie jedź bez świateł, bo zostaniesz *meat on wheels*!

— *Ok, all right*, jasne, dziękuję, *thank you*, nie chcę być mięsem na kółkach, w porządku, tak jest Wodzu! — rzuciłem, nie do końca jeszcze otrząsnąwszy się z szoku.

Prawie siedemdziesięcioletni Steve i jego o dwadzieścia lat młodsza żona o szlachetnym imieniu Opal byli Indianami z klanu Beaver. Steve jeździł kiedyś jako kierowca, teraz pracuje w firmie utrzymującej Alaska Highway. Chwilowo jest mało pracy, ale niedługo się zacznie. Śnieg trzyma tu do końca kwietnia, a czasem i dłużej, i zdarza się, że zimą pracuje szesnaście godzin na dobę. Ta droga to jedyny środek transportu dla jadących z południa na Alaskę ciężarówek, zaopatrujących liczne miasta właściwie we wszystko, stąd tak ważne jest jej utrzymanie nawet w trakcie siarczystych mrozów.

— Minus trzydzieści zimą to tutaj normalna temperatura — dorzucił jeszcze Steve. — Tak że masz szczęście, że jeszcze nie sypnęło.

Przy kolacji powiedział raz jeszcze, żebym uważał na ciężarówki i nie jeździł nocą.

— Oni tu jeżdżą jak wariaci, sam widziałeś. Pruje taki ponad setkę i nawet nie zauważy, jak cię przejedzie, pomyśli, że rozjechał łosia albo bizona, nawet się nie zatrzyma i pojedzie dalej. Dla nich jesteś tutaj *meat on wheels*, mięsko na kółkach.

Na noc dostałem dla siebie ogrzaną przyczepę campingową, ciepłe koce i wodę do picia, zasypiałem z pełnym brzuchem absolutnie szczęśliwy.

Przez całą Alaska Highway takie spotkanie i bezinteresowna gościnność

trafiły mi się tylko jeden raz. Po minięciu Watson Lake, gdzie zanocewałem pod sklepem, zabudowań było jeszcze mniej, a te, które mijałem, pilnowały osoby mniej przyjazne, bowiem na moją prośbę o rozbicie w pobliżu namiotu, wysłano mnie do lasu albo z powrotem do Polski.

Jadąc w stronę Fort Nelson drogą numer dziewięćdziesiąt siedem trochę żałowałem, że nie wybrałem jednak bezpośredniej drogi na południe numer trzydzieści siedem. Na tę pierwszą zdecydowałem się głównie ze względu na fakt, że w razie jakiegoś wypadku czy zwykłej potrzeby schronienia, mogłem liczyć na pomoc ze strony mieszkańców. Nie mogłem się bardziej pomylić. Reklamowana na folderach, ulotkach i znakach drogowych British Columbia jako *Beautiful British Columbia*, piękna na razie dla mnie nie była. Po trzeciej odmowie rozbicia namiotu pod domem, postanowiłem, że więcej zebrać nie będę i od dziś nocuję w lesie.

A dziki nocleg w lesie oznaczał nieuniknione spotkanie z misiami. Nie musiałem na nie długo czekać. Trzeciego dnia za Watson Lake rozbijam sobie namiot w eleganckim miejscu nad rzeczką, cieszę się, bo i woda jest, i daleko od ulicy, i mam jedzenie, i zaraz zjem makaron z makaronem, a może nawet dodam parówki, i podśpiewuję sobie, albo pogwizduję, i już prawie wszystko gotowe, a tu z lasu wychodzi niedźwiadek. Mały taki. Miś Uszatek. I wali prosto na mnie. No to ja pewnie krzyczę (dokładnie nie pamiętam) i biegnę gdzieś (kierunku też nie pamiętam). Odwracam się, pewnie ciągle krzyczę. No i widzę, że miś staje. Taki mały Miś Uszatek. Patrzy na mnie, nie mam pojęcia, co tam sobie myśli, ale widzę, że spogląda w stronę lasu. Może i pobawiłby się z dziwnym stworzeniem w okularach, ale pewnie jest ciekaw, co na to mama. Zaczynam podskakiwać, robić dziwne ruchy, klaskać i krzyczeć, ale już w sposób bardziej kontrolowany. Muszę wrócić do namiotu po spray i po nóż.

Podchodzę bliżej i bliżej, miś stoi, w końcu odwraca się i wraca do lasu. Ostrożnie zbliżam się do namiotu. Jestem. Jest spray. Jest nóż. Stoję może z dziesięć minut, nasłuchuję, potem trochę hałasuję. Chłonę wszystkie dźwięki z ciemnego lasu. Cisza. Znow hałasuję. I znow się wsłuchuję. Cisza. Robi się ciemno. Miś chyba wrócił do lasu, mamy nie widać, pewnie nie ma ochoty na zabawę. No i może jest najedzona.

Składam namiot, zbieram rzeczy, jak w malignie idę do drogi. Wsiadam na rower, w torbie na kierownicy spray na niedźwiedzie i klakson. Pedałuję przed siebie prawie do północy, aż dojeżdżam do jakichś budynków. Ciemno, głośno dudni jakiś agregat. Jest hałas, misiów nie będzie. Rozbijam się półprzytomny, nie mam ochoty nikogo pytać o zdanie, mam spray i nóż, może do rana nikt nie przyjdzie. Wchodzę do śpiwora, zasypiam jak dziecko.

Kilka dni później ponownie spotkałem niedźwiedzie, ale i tym razem miałem szczęście. Zatrzymałem się na drugie śniadanie na małej polance, i kiedy ze smakiem zjadałem kolejną kanapkę, dosłownie naprzeciwko mnie, z lasu

wyszła duża niedźwiedzica z dwójką małych. Wydawała się tak samo mocno zaskoczona jak ja, ale do konfrontacji nie doszło. Stała przez chwilę jak wryta, a potem nagle odwróciła się i czmychnęła do lasu, a za nią pobiegły pokracznie dwa niedźwiedziatka. I całe szczęście, bo wątpię, czy i tak byłbym w stanie użyć specjalnego sprayu i wykorzystać lekcje nabyte na przyspieszonym kursie pod sklepem u pana Che Guevary.

Oprócz misiów mijam po drodze dużo innych zwierząt, głównie łosie i bizony. Te drugie, na Alasce i w Kanadzie, są potomstwem sześciu byków i siedemnastu krów, sprowadzonych na Alaskę w 1929 roku z Narodowego Rezerwatu Bizonów w stanie Montana. Rozmnożyły się tak szybko, że dały początek nowym stadom^[7].

Bizony zazwyczaj czmychają na mój widok, chyba że kilometr wcześniej schodzę z roweru i idę spokojnie miarowym krokiem. Kiedy jadę, biorą mnie pewnie za jakieś niezidentyfikowane stworzenie z dwoma ogromnymi czerwonymi jądrami zawieszonymi na dziwnej rurze, i do tego stworzenie szybko poruszające się, więc po prostu, na wszelki wypadek, unikają konfrontacji i zmykają do lasu. I całe szczęście, bo choć bizony są z natury leniwe, ociężałe i w miarę łagodne, w razie ataku nie miałbym żadnych szans. Im bardziej na południe, tym częściej rozmawiają ze mną ludzie. Skutkiem jednej z takich rozmów była moja wizyta w gorących źródłach. Siedziałem pod motelem, popijając herbatę, kiedy zaczepił mnie jakiś gość, pytając, czy byłem w Hot Springs. Odpowiedziałem, że nie i że się nie wybieram. Wywołało to tak ogromne wzburzenie człowieka, że za moment wrócił z żoną.



Bizony



Blair i ja w gorących źródłach

— Jak to!? Nie pójdziesz do gorących źródeł? Daj spokój, tutaj z całego świata przyjeżdżają, my przyjechaliśmy specjalnie z Dawson Creek na dwa dni, żeby skorzystać, jest po sezonie, nikogo nie ma, nie musisz płacić, do tego robi ci to wspaniale na nogi! Człowieku, jak ciebie zobaczyłam z tym rowerem, to pomyślałam, że specjalnie przyjechałeś z Niemiec, aby się tu wykapać!

Mówię, że jestem z Polski (*whatever*) i myślę sobie, że skoro rzeczywiście nie ma tłumów i jest za darmo, i że dobrze mi to robi na nogi, to w sumie czemu nie. No i poszedłem.

Kto by pomyślał, że spędzę tam pół dnia. Pan Blair okazał się strasznym gadułą, opowiedział mi historię swojego życia i bardzo spodobała mu się Rafineria. Swoją uroczą żonę Debbę poznał przez internet i choć dzieli ich duża różnica wieku, to są ze sobą bardzo szczęśliwi. Blair to były kierowca ciężarówki, daltonista, jeden z dziesięciorga rodzeństwa, mający głowę w chmurach a nogi na ziemi. Okazało się, że jesteśmy dość podobni i podobnie postrzegamy świat, i naprawdę te kilka godzin rozmowy sprawiło, że zupełnie nie miałem ochoty się z nimi rozstawać.

Blair straszył mnie nadciągającymi opadami śniegu, bardzo złą prognozą pogody, tak długo snuł przede mną apokaliptyczne wizje bycia rozjechanym przez pędzące po śniegu wielkie ciężarówki, że w końcu uległem i zgodziłem się na małą podwózkę.

Spędziliśmy jeszcze cudowny wieczór na gadaniu o wszystkim i o niczym,

zgodziliśmy się, że pięknie byłoby mieć przez całe życie jedną kobietę, ale że to niemożliwe, zaprosiliśmy się nawzajem do własnego domu na własnoręcznie przygotowany obiad, porównaliśmy muskuły, wymieniliśmy się uwagami na temat wychowywania dzieci (ja tylko w teorii), edukacji (ja bardziej w praktyce) i przyszłości świata (obaj ignoranci), w końcu wróciłem do rozbitego obok namiotu, zasypiając z dziwnym dla siebie samego odkryciem, że jednak czasem dobrze jest pobyć z ludźmi.

Rozdział 29

Niestety, podwózka niewiele mi pomogła. Po pożegnaniu Blaira i Debby ruszyłem na południe, z nadzieją na ucieczkę przed opadami śniegu, ale zima była szybsza. Jak co roku w Polsce, podobnie i tutaj zaskoczyła drogowców. Dwa dni po pożegnaniu przemiętej pary, biały puch zaczął sypać mi na głowę i to od razu całkiem porządnie.

Tym śniegiem, co miał spaść, straszili mnie już od kilku dni. Głównie kierowcy ciężarówek. Będzie ślisko i niebezpiecznie, i ten, co teraz spadnie, nie stopnieje aż do wiosny. Tak mówili. Ja, jak zwykle urodzony optymista, doczepiony uśmiech i szukająca guza, niesforna myśl: no to niech wreszcie spadnie. No i spadł. Od razu dwie stopy, jak się dowiedziałem rano w przydrożnym zajeździe.

Zajechałem na odmrażanie. W środku ciepło i ładnie pachnie. Zamawiam kawę, jedyne trzy dolce, plus podatek, ale jest przytulnie i przy stole na pewno nic mnie nie rozjedzie. Jest internet, są gazety, poczytam sobie, może będę poważniej wyglądał, ktoś się odezwie ciepłym słowem, albo po prostu zapyta, skąd, dokąd, czy nie zimno, bo jak wszedłem, zasypany jak bałwan, to patrzyli na mnie jak na ufo, do tego jakoś tak lękliwie, jakby się bali, że ich czymś zarazę. Co jest, myślę sobie. Coś ze mną nie tak? Idę do łazienki, patrzę w lustro, wyglądam normalnie, tylko policzki trochę odmrożone i nos, no i może włosy trochę przyklepane, ale tak w ogóle, to całkiem niczego sobie.

Wracam do stołu, zamawiam naleśnika. A niech tam, od dwóch dni nie wydałem ani centa.

— Tylko naleśnik, może dwa, albo z kanapką z jajkiem? — pyta kelnerka.

Chętnie zjadłbym dwa, a nawet i trzy, myślę, ale za drugiego będą dwa chleby w supermarkecie. Powtarzam więc, że chcę jednego. Wybór nie był zły. Naleśnik ogromny, do tego pani przyniosła cały słoik syropu klonowego. Jaka masa kalorii! Zrobiła to celowo, czy naprawdę liczyła, że wezmę tylko łyżeczkę? Syrop przepyszny.

Słoik był pusty, zanim skończyłem naleśnika. Dość długo odmarzam, najgorzej stopy, ale nie są sine, więc do amputacji jeszcze daleko.

W miejscowej gazecie „Alaska Highway” jest napisane o mamie misiowej, którą ktoś zastrzelił i teraz jakiś mały miś biega samopas i jest dylemat, co z nim zrobić. Ha, może to ten sam, który chciał się ze mną pobawić kilka dni wcześniej przed namiotem? Paru miejscowych, którzy widzieli Uszatka, chcą go złapać i oddać do specjalnego ośrodka adaptacyjnego dla osieroconych misiów, tam go dokarmić, potrzymać i, jak podrośnie, przywrócić do „normalnego” życia w lesie. Naukowcy zajmujący się misiami twierdzą

jednak, że takie próby adaptacyjne kończą się tym, że misie przyzwyczajają się do człowieka i potem stanowią zagrożenie dla turystów, bo szukają w ten sposób jedzenia, bez wrodzonego lęku przed dwunogim *Homo sapiens*. *A fed bear is a dead bear*, jak mawiają miejscowi. Czyli Uszatek dokarmiony, to Uszatek już stracony.

W nogach dwa tysiące siedemset kilometrów. Nie pojechałem do Dawson Creek. Przed Fort St John skręciłem na południowy zachód w stronę Hudson's Hope, by w ten sposób zaoszczędzić kilkadziesiąt kilometrów drogi. Ciało coraz mocniej dopominało się o kilka dni przerwy. Już prawie trzeci tydzień jechałem bez odpoczynku. Teren ciągle interwałowy. Krótkie, strome zjazdy i podjazdy i tak od rana do wieczora. Kładę się, noc, budzę się, ciągle noc... Dzień robi się coraz krótszy. Żeby przejechać jakąś sensowną odległość w ciągu dnia, muszę wstać, kiedy jeszcze jest ciemno...



Kolumbia Brytyjska, na północ od Fort Nelson

Nie żebym narzekał, nie ma mowy o narzekaniu. Szczególnie wieczorem, w namiocie, po makaronie z makaronem, a co drugi dzień z parówkami. W zasadzie to nawet jest przyjemnie. Albo inaczej — jestem przyjemnie zmęczony. Szczerze mówiąc, to ja chyba lubię się tak umordować. Jest w tym coś perwersyjnego i lubieżnego, podniecającego, dającego obietnicę pełnego zaspokojenia, oczywiście przy odpowiednio zintensyfikowanym wkładzie osobistym, że się tak wyrażę. Jest to swego rodzaju, z braku innych dostępnych możliwości, pewna forma rozładowania nagromadzonych złych energii, złożeń emocjonalnych.



Chetwynd



Chetwynd

Chyba trochę zdziczałem. *I went bush*, jak mawiają miejscowi. Albo inaczej: na pewno zdziczałem, tylko trudno mi oszacować stopień tego zdziczenia.

Czy to stało się przez rower, czy przez miejsce, nie wiem. Widzę po oczach, jak z rana podjadę do jakiegoś zajazdu i przejrzę się w lustrze w kiblu. Jakiś taki rozbiegany mam wzrok, może zaczynam świrować, albo, co gorsze, już zwariowałem? Denerwują mnie dźwięki, ich nagromadzenie, czuję się przez nie osaczony, za dużo bodźców zewnętrznych, coraz większy ruch na drodze, telewizor na pełen regulator w barze (repertuar równie odmóżdżający jak wszędzie), dopiero za drugim albo trzecim razem słyszę pytanie od pani kelnerki, która zdecydowanie za szybko się porusza, pytanie najwyraźniej skierowane do mnie, a i tak za każdym razem dziwię się, że do mnie mówi.

— *More coffee? Anything else?*

Co? Kawa? Ach tak, poproszę, mówię i myślę: dziesiąta dolewka, nie ma limitu, chyba się uzależniłem, szklana karafka z cukrem prawie pusta, plastikowe pojemniczki po śmietance zalegają na stole, wkładam jeden w drugi, buduję wieżę, ustawiam do góry dnem. Wygląda dostojnie. Wszyscy dokoła coś jedzą. Nie, nie jestem głodny, w namiocie zjadłem całą menażkę płatków z kakao, ale mimo wszystko zapachy drażnią, robię się jakiś nerwowy i zaczynam wykonywać nieskoordynowane ruchy, a to zrzucę coś ze stołu, a to rozsypię cukier, chcąc się wysmarkać albo podrapać po głowie, a to są przecież ruchy świadome, do tego, jako osobnik mocno zdziczały, muszę dysponować całym wachlarzem innych najróżniejszych gestów, które to gesty pewnie rzucają się w oczy ciamkającym sąsiadom, bo patrzą na mnie tak jakoś spode łba, więc i ja na nich patrzę spode łba, bo tak, pewnie, że zjadłbym sobie hamburgera z frytkami na śniadanie albo naleśnika z syropem klonowym, albo jedno i drugie.

Niedobrze. Ostatnio coraz częściej myślę o jedzeniu. Co bym zjadł. Wymyślam sobie różne smaki, jak jadę. Nie, nic wyszukanego. Frytki, ryba, kurczak, świeży chleb. Chyba nawet świeży chleb najbardziej. Co, znów się pyta, co zamawiam? No przecież mam kawę, cukier i śmietankę, nic nie zamawiam, już mówiłem pani dziesięć razy, dolewki też już nie trzeba, bo mi serce pęknie, pieprzę wasze hamburgery i naleśniki, najwyższy czas *hit the road*, popedałować trochę, spalić te dziesięć dolewek kawy z cukrem i śmietankami z sąsiednich stołów... Czasem chciałbym być niewidzialny.

No to zaraz w drogę. A tam różne niespodzianki czekają. Ciekawe, co dziś się trafi. Co można znaleźć na drodze? Albo inaczej: czegoż to nie można znaleźć na drodze! Opony, latarki, baterie, monety, rękawiczki, spodnie, buty, generalnie dużo ubrań, butelki z różnymi płynami, najczęściej colą, ale trafia się fanta albo jakiś podejrzany energizer, dość często trafia się jedzenie, niedojedzone kanapki albo ciastka, zdarzają się też mniej estetyczne artefakty, na pewno nie takie, przy których się zastanawiam, wziąć czy nie, typu: zużyte podpaski, kondomy (ktoś to robi jadąc??), raz nawet widziałem koronkowe majtki (kogoś mocno poniosło).

Do Chetwynd, kolejnego miasta, w którym miałem uzupełnić zapasy, a może nawet i w końcu odpocząć, dojechałem już po zmroku. Przemarznięty, przewiany, mokry, właściwie dotarłem tak zwaną siłą woli, o której już pisałem, tej, co to ma wielką moc.

W centrum miasta plac z betonu, dokoła którego rozsiadły się niskie, rozświetlone, kartonowe bunkry, zamienione w motele, restauracje, sklepy. Stoję przy jakiejś rzeźbie z tygrysem, niedaleko widzę wielką modliszkę. Nie, żadne tam majaki. Naprawdę, tygrys z otwartą gębą i modliszka. Może rozbiję się przy tygrysie, myślę sobie. Obok jakiś płot, może za płotem? Nie, tam jakaś skarpa. Kiedyś na Nordkappie w Norwegii, z kolegą Pawłem, rozbiliśmy namiot w środku turystycznego molocha i przechodzący ludzie myśleli, że to jakaś instalacja. Innym razem we Francji zdarzył się nocleg na trawniku, pośrodku ruchliwego ronda, w centrum miasta i dopiero rano przyjechała policja zapytać, o co chodzi. To tak, jakbym się rozbił w Warszawie pod palmą na rondzie de Gaulle'a. Więc może i tu nikogo nie zdziwi namiot obok tygrysa albo i modliszki, choć ona bardziej pod latarnią. Za jasno. Zawsze przyjemniej trochę w cieniu. Czyli może jednak tygrys?

Stoję na wielkim placu i jest mi wszystko jedno, gdzie będę spał, byle nie na środku skrzyżowania. Wypatruję jakiegoś parku, choć tak naprawdę rozglądam się po prostu za jakimś drzewem, krzakiem, rowem, małym rowkiem chociaż. Nic. Beton i światła neonów. Hałas z ulicy i przeszywający zimny wiatr. Ze zmęczenia nie mam siły myśleć, zastanawiać się, szukać, pytać. Zresztą dokoła nikogo nie ma. Nikt tu przecież nie chodzi, wszyscy mają samochody, a bogatsi helikoptery i samoloty, nawet do sklepu za rogiem jedzie się ośmiocyndrowym, czołgopodobnym dodgem albo innym monstrem z półmetrowym zawieszeniem i kołami *a lá legendary Ursus C330*.

Kładę rower na betonie i zaczynam rozbijać namiot na parkingu, pełnym ogromnych, siedmioosiowych ciężarówek, przewożących dźwigi, koparki i mniejsze ciężarówki. Nic nie widzę, nic nie czuję, coś mi się stało w dłonie, nie mogę rozprostować palców, szczypią mnie kostki, marzę już tylko o tym, żeby się zagrzebać w śpiworze i zasnąć.

Zmasakrował mnie ten dzień. Zgnoił po prostu. Nie miałem szans. Wiał tak silny wiatr, że na zjazdach musiałem zejść z roweru i pchać rower w dół. Powtórka zimowej przeprawy przez Andy, choć tam i tak było gorzej, bo zimniej, a dziś tylko w granicach zera stopni.

Zrzucam graty z roweru, rozkładam namiot i widzę, że podchodzi do mnie człowiek w podobnej do mojej, superwidocznej kamizelce. Nie gadam z nim, myślę, udam, że *no abla*, nic nie rozumiem.

— *Hi dude*, cześć koleś, szukasz noclegu? — pyta.

— *No abla* — mówię.

— Meksykanin? — on na to.

O nie, myślę, zna hiszpański, wkopałem się.

— Nie, już nie szukam — mówię. — Tutaj śpię.

— E, co ty pierd...isz, *dude*, tu nie śpisz, tu cię rozjadą, szukasz noclegu, idź do Czerwonego Lwa, tam cię przenocują, jeść dadzą... — coś tam jeszcze dodał, ale nie do końca go słucham, nie mam nastroju, co za typek jeden, nie miał się do kogo doczepić, może to naganiacz jakiś czy co, nie da mi spokoju, jaki motel, co on pieprzy, nie widzi, że ledwo stoję?

Typ sobie gada, ja robię swoje, ale nagle, z jego paplaniny wyławiam słowa: FREE. NO MONEY. Zaraz, zaraz. Jakie *free*, jakie *no money*?

— Joł, *man*, tak jest, *dude*, powiesz, że jesteś bezdomny, że nie masz pracy albo że cię wyrzucili i szukasz roboty, i powiedz, że jesteś z Meksyku.

Patrzę na niego. Nie no, normalnie wygląda. Może nigdy nie widział Meksykanina? Nawet *sombrero* by mi nie pomogło, myślę sobie, i mówię, że jestem z Polski.

— Z Polski? No widzisz, to jeszcze lepiej brzmi, powiesz, że jesteś z jakiejś tam Polski, że u was bardzo ciężko, nie ma pracy, wyjechałeś, jesteś bezdomny teraz i szukasz roboty w Kanadzie. Pod Czerwonym Lwem dostaniesz łóżko i jedzenie i możesz siedzieć u nich okrągłe pięć dni. Bez kitu. Rząd za to płaci. Serio. Zabieraj się stąd, bo cię rozjadą i zmiatają do Lwa.

To niemożliwe, myślę sobie, darmowy nocleg? Darmowe jedzenie? Przez pięć dni? Ale koleś mówił wszystko w sposób tak przekonujący, że pomyślałem, co szkodzi sprawdzić, tym bardziej że to było kilkaset metrów w dół ulicy, minuta na rowerze. Zebrałem więc graty i pojechałem pod wskazany adres. Pod tygrysem się nie rozbiłem, niech będzie i lew.

Minuta pedałowania i stoję przed The Red Lion Restaurant. Idę za budynek, zgodnie ze wskazówkami typa z parkingu. Rzeczywiście. Nad drzwiami czerwony krzyż, obok tabliczka — *Shelter*. Wchodzę. Na korytarzu stoi pani o skośnych oczach (żadna aluzja — bardzo lubię skośne oczy) i łamanym angielskim pyta:

— *Shelter*? Schronienie?

— *Yes, yes, please*, dzień dobry, przyjechałem rowerem, jestem bezdomny, szukam pracy, jestem z Polski, tam bardzo ciężko, chciałem się rozbić na parkingu, ale jakiś pan mnie tu skierował i...

— *I am busy now* — przerywa mi w pół zdania. — Jestem teraz zajęta, później albo jutro, ty tutaj — mówi, ręką wskazując pokój, w którym najwyraźniej już ktoś się zameldował.

Coś tam jeszcze próbowałem popytać o rower, sakwy, czy mogę je wnieść,

czy ubikacja, ale w końcu machnąłem ręką i zostawiłem panią w spokoju. Rozejrzałem się dokoła. Mimo wszystko jakoś nie mogłem w to uwierzyć. Czysty, ciepły, suchy pokój. Łóżko, stolik, dwa krzesła, gniazdka elektryczne. Za jakiś czas pani o skośnych oczach (żadna aluzja, naprawdę lubię skośne) weszła do pokoju z czystym ręcznikiem i jakimś papierkiem.

— *No alcohol, no tobacco, no girls* — mówi, wręczając mi papierek. — Tu wypełnić — dodaje.

Jasne, myślę głośno. Żadnego picia, palenia, świntuszenia. Papier zaraz wypełnię i pani odniosę. Kilka rubryk. Imię, nazwisko, partner(ka), dzieci, adres, zawód. Zastanawiałem się chwilę nad ostatnią kratką z zawodem i w końcu wpisałem: włóczykij. Po polsku. Jak kogoś zaciekawia, co to za profesja, to sobie zgugluje. Ale i tak nie sędzę, żeby się ktokolwiek w to wczytywał.

No i znalazłem się w noclegowni dla bezdomnych. Wieczorem poznałem jeszcze współlokatora — George'a. Wszedł z rumorem do pokoju, ciągnąc za sobą siaty, puste butelki w reklamówkach i inne potrzebne do przeżycia przedmioty. W sumie, to też mam dużo różnych siat, reklamówek, torebek foliowych, wożę ze sobą puste butelki, pudełka, mam brodę (rośnie), mam na maksa pobrudzone ubrania, a zamiast wózka mam rower. No i po prawdzie jestem chwilowo bez pracy, bez ubezpieczenia, z przenośnym domem wożonym na bagażniku. Może nawet zostałbym zawodowym bezrobotnym, ale *no alcohol, no girls?* To nie dla mnie. Długo tu nie pobędę, pomyślałem, zasypiając w ciepłym łóżku, słysząc nad sobą chrapanie George'a.

Rozdział 30

W noclegowni spędziłem trzy dni, podczas których zregenerowałem siły i przy okazji dowiedziałem się wielu przydatnych podczas podróży po Kanadzie rzeczy typu: gdzie najlepiej recyklingować sześciopaki po piwie, które puszki najlepiej schodzą, jakich butelek nie zbierać i gdzie są najlepsze noclegownie w Vancouver.

Z nowymi siłami i zapasami na drogę ruszyłem w stronę Prince George. Kto by pomyślał, że dobra passa będzie mi towarzyszyć przez kolejne dni. Wszystko zaczęło się już właściwie w Chetwynd, zaraz za miastem: wielki Murzyn w zielonym pontiacu wyszedł na drogę i bez słowa podał mi paczkę chipsów, dwieście gram, coś tam zamamrotał, ale nic nie zrozumiałem, w południe zamiast wody, o którą poprosiłem w ustronnej daczce, dostałem pęto kiełbasy i chyba z kilogram słodyczy, wieczorem, żeby nie było za słodko, jacyś hipisi z Utah chcieli mnie zabrać nad słone jezioro, podarowali kawał sera, krakersy i napoje jako substytut podwózki, a z rana ogromna pani wygramoliła się z samochodu i dała dwie butelki wody, kiedy właśnie rozglądałem się za jakimś strumykiem...

No i największa atrakcja ostatniego tygodnia, a może i miesiąca — jacuzzi u Stacy'ego. Nie, nie zebrałem aż tylu puszek, żeby mnie było stać na taką wyuzdaną przyjemność. Zaczęło się banalnie. Przed Prince George przypadkowo spotkany mężczyzna zaprosił mnie do siebie do domu. Co prawda nie byłem bardzo zmęczony i nawet nie zamierzałem się za długo w mieście zatrzymywać, ale pomyślałem, że właściwie czemu nie skorzystać z okazji i nie przespać się w ciepłym łóżku?



W drodze do Prince George



W drodze do Prince George

Na miejscu okazało się, że Stacy w garażu ma jacuzzi. Nigdy nie pływałem w jacuzzi i nawet nie myślałem, że kiedykolwiek będę, ale kiedy zobaczyłem bąbelki i włożyłem rękę do ciepłej wody, nagle zapragnąłem się w niej zanurzyć, niewiele myśląc i idąc za namową nowego kolegi, zrzuciłem

ubranie i wskoczyłem do wielkiej bani. Za moment wrócił Stacy, włączył kolorowe żarówki, przyniósł napoje, woda zmieniła kolor, czerwona, zielona, fioletowa.

— Jaki jest twój ulubiony? — pyta.

Whatever, może być fioletowy, bąbelki drażniące plecy, ramiona, pośladki, całkiem fajne takie jacuzzi, myślę sobie, dajcie tu jakąś muzykę, powtarzam za Stuhrem, mówisz i masz, dyskotekowe dźwięki płyną ze wszystkich stron.

— *Dolby stereo, surround system* — z błyskiem w oku rzuca Stacy, zwiększając ilość bąbelków.

Elektryczne świece dokoła dodają klimatu, rozmywają w unoszącej się parze, a ja unoszę się razem z nią i sam już nie wiem, czy śnię, czy nie, czy jestem na wodzie, czy pod wodą, czy jestem, czy mnie nie ma, a obiad był przepyszny, łosoś, ryż i surówka, a potem film o Astro Boyu — wciągnąłem się, że hej, prawie się popłakałem, że taki biedny chłopiec i właściwie nie wiadomo, czy on jest, czy go nie ma.

— Nie masz czasem wrażenia, że jesteś *out of place*? — pyta Astro Boy.

Co ty nie powiesz, myślę sobie, a jakoś mimo wszystko poczułem się, jakby to zdanie skierowane było bezpośrednio do mnie, nie do wszystkich patrzących teraz na Astro Boya, siedzących przed telewizorami, wciągających chipsy czy inne środki, a obok zielone drzewko, zapach drażnił nozdrza, wyszlifowane przez drobinki kurzu z dróg, które przejechałem, zielone drzewko, czerwony płyn, potem zielony, czarny, co to jest, spróbuj, piwo i pizza najlepsze na zakwasy, łó jezu, myślę, pizza pyszna, wszystko pyszne, ale już nie mogę, chciałbym więcej, ale nie mam miejsca, żołądek mi się ścisnął.

— To jaki jest twój ulubiony kolor? — znów pyta Stacy.

To jeszcze niebieski, ha, to wyglądało znajomo, gdzieś na Pradze, smak nieziemski, współgrał z klimatem Astro Boya, który naprawdę zaczął do mnie machać z ekranu, nie, to Stacy macha, bo się zamyśliłem, a może właśnie pęka mi żołądek. A Kijów daleko od Warszawy? Nie tak daleko, kolekcja ukraińskich dziewczynek naprawdę imponująca, oglądam zdjęcia, żadna nie chce przyjechać, skarży się Stacy, piszą, że im się podobam, to niech ruszą tyłki i niech przyjadą, wszystko jest, duży dom, dwie sypialnie, jacuzzi jest, czemu nie przyjeżdżają, Stacy się zaciął, ale kiwam grzecznie głową, słucham Astro Boya, znów macha do mnie, ale Stacy'ego poniosło, mogę im nawet kupić bilet, kiwam elegancko głową, muszę uważać, przecież to nie moja wina, że nie przyjeżdżają, naprawdę współczuję, oczywiście, że powinny przyjechać, jakieś niekumate, przecież mięśnie naprawdę imponujące, no i dom, i jacuzzi, a ty ile ważysz, pyta znienacka, 144 funty wagowe, dopiero co się zważyłem w kiblu, *fuck*, człowieku, musisz

więcej jeść, masz dziewczynę? No i co ona na to?

Już nie pamiętam, co odpowiedziałem, w sumie, niewiele pamiętam z całego wieczoru, tyle tylko, że było mi bardzo dobrze i błogo, i sam już nie wiem, czy to po tym jacuzzi, czy może przez rozmowę ze spotkanym po drodze kowbojem, zapowiadającym wielkie załamanie pogody, ale po opuszczeniu Prince George, nie zważając na siedzące z tyłu głowy przestrogi babci Jasi, jechałem jak szatan. Rzeczy wróciły na swoje miejsce, czyli znów pojawiły się wyniszczające mnie interwały, znów jest zimno, biało, ślisko na drodze i sypie śnieg.

Coraz trudniej o dobry nocleg. Coraz więcej zabudowań, ogrodzeń, płotów, siatek, drutów, koniec *wilderness*, zaczyna się powoli cywilizacja przez duże C, z ludźmi niechybnie należącymi do jakiegoś odmiennego gatunku. Może jakaś mutacja z krowami albo z końmi, w końcu jestem na terenach zamieszkałych przez kowbojów. No bo jak inaczej nazwać człowieka, który prawie mnie poszczuł psami, kiedy chciałem z nim na spokojnie przedyskutować, dlaczego nie pozwala mi się rozbić kilkaset metrów od swojego domu (*prive property, buddy, go back to your fucking country*), no więc z drugim i trzecim już nie dyskutowałem, bo na razie nie wracam do mojego *fucking country*, a bardzo chciałem się rozbić przed miastem, więc w końcu po kolejnym *no buddy* od kolejnego *nobody* wjechałem do Quesnel i ruszyłem do McDonalda na półgodzinne odmrażanie.

Jak już tam dojechałem, to od razu wpadła mi w oko doskonała trawka, więc nie omieszkałem zapytać w środku korpulentnej pani manager, czy nie mógłbym się na niej przenocować (na trawce). Właściwie to nie wiem, po co zapytałem, bo oczywiście powiedziała „nie”.

— *Go to the bush, buddy.*

Ciekawe, czy ona kiedykolwiek spała w lesie, w namiocie, w takich temperaturach, przemknęło mi przez głowę, chociaż, kto wie, może to jakaś ekstremistka, miłośniczka snów nocy zimowych, powiedziała to w sumie tak naturalnie... A może to jakiś idiom, którego nie znam i znaczy „spieprzaj dziadu”, czy coś w tym stylu, w końcu nie wyglądam zbyt cywilizowanie, nawet przez małe „c”, ale bezdomni w McDonalddie też sobie siedzą i są obsługiwani normalnie, więc chyba jednak nie miała niczego złego na myśli i chciała dobrze, tylko co ja złego zrobiłbym komukolwiek, rozbijając się właściwie w krzakach, na trawce, poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku... No nic, posłusznie pojechałem na zwiad do miasta.

O, uniwersytet! I chyba jeszcze otwarty. Tu na pewno się zgodzą, abym gdzieś z boku przenocował, na pewno zaraz spotkam jakichś cywilizowanych ludzi, a miejsca wokół campusu były najróżniejsze: i zacienione, i oświetlone, duży teren, dużo zakamarków, murków, wykrotów i większych, zakamuflowanych dołków. Pieprzyć McDonalda, rozbiję się kulturalnie w kulturalnym miejscu, jak kulturalny, młody człowiek z kulturalnego, a nie

jakiegoś tam *fucking* kraju.

Wszedłem do środka i od razu trafiłem na panią bibliotekarkę. Wydawała się wystraszona moją prośbą, powiedziała, że musi kogoś zapytać. Wróciła za moment z mężczyzną, który kazał mi iść w *picioru* (jakiś rusycysta może, bo — mam nadzieję — na Ruska nie wyglądam) i powiedział, że jak mnie nie stać na hotel, to nie powinienem być przyjeżdżać i żebrać, i mam wracać do swojego (już wiadomo jakiego) kraju. Fajny gość, pomyślałem, może rzeczywiście wykładowca, świetnie, ciekawe czego uczy swoich podopiecznych, bo na pewno nie życia. Jakoś mi się strasznie smutno zrobiło po tej wizycie i wróciłem pod fast food, rozbiłem namiot tuż przy wyjeździe McDrive, bo była tam najlepsza trawa. Pomyślałem, że po takim ciężkim dniu należy mi się odrobina luksusu, ale McDonald okazał się całodobowy i przez całą noc wydawało mi się, że zaraz mi ktoś wjedzie do namiotu.

Ale ludzie są różni. I to jeszcze jak różni! Następnego dnia goszczę w supermarkecie, pod którym elegancko rozstawiłem namiot zgrabiałymi z zimna dłońmi. Panie ekspedientki nie tylko przyniosły mi z domu dwa koce, ale jeszcze zaprosiły do środka, abym skorzystał z mikrofalówki i zrobił sobie kolację! Siedziałem przy stoliku, zjadając kiełbaski z kukurydzą (nie samym makaronem człowiek żyje), a klienci przechodzili obok, być może myśląc, że stanowią żywą reklamę lokalnych wyrobów garmazeryjnych, kilkakrotnie bowiem zapytali mnie, co to za kiełbasa. Odpowiedziałem, że krakowska, na co kiwali głowami i wracali do półek, a jeden pan wrócił i poprosił, abym mu pokazał, gdzie leży, bo nie może znaleźć. Poszedłem więc z nim do jednej z półek i wyjąłem jakąś na chybił trafił, wręczając z uśmiechem i patrząc, jak typ dorzucza do wózka jeszcze dwa opakowania.

A kiełbaski były od Chrisa. Chris jest dużym i silnym kowbojem, ma trzech synów, nie znosi komunistów i prawie mnie ustrzelił, jak się dowiedział, że jestem z Polski.

— To dlatego nikt cię nie chciał wpuścić do domu i ugościć — powiedział przy kolacji. — Myśleli, że chcesz się niedaleko osiedlić, a zaraz za tobą przyjedzie rodzina i będziecie szerzyć komunizm.

Tak naprawdę Chris okazał się wspaniałym człowiekiem, który dał mi swoją przyczepę campingową na nocleg, ugościł wspaniałą kolacją, potężnym śniadaniem i zaopatrzył w prowiant na drogę na co najmniej dwa dni... I do tego, stało się to pod koniec dnia, który zgnoił mnie okrutnie. Silny wiatr, zimno, podjazdy, zrobiłem tylko siedemdziesiąt pięć kilometrów i ledwo żyłem.

Samochód zatrzymał się obok mnie, kiedy zjeżdżałem z drogi w stronę wolnostojących zabudowań. Prosiłem o możliwość rozbicia namiotu. Trafiłem na wspaniałych ludzi. Dobrych. Gościnnych. Serdecznych. Przez kilka godzin czułem się jak w domu.



Obiad w supermarkecie



W gościnie u Chrisa

Chris, z całego serca — dziękuję! Ciepły piec, ciepłe dłonie, dobrzy ludzie, ciepłe, jasne kolory rozświetlonego ogniem z pieca pomieszczenia. Proste

gesty, ręcznie wykonane sprzęty, przytulne wnętrza, dobre słowa. Jestem bezgranicznie wdzięczny. Dziękuję!

Siedząc przy ciepłym piecu i pijąc kolejną *double shot coffee* o kryptonimie CEO — Carribou Eyes Opener (czyli, w wolnym tłumaczeniu: kawa o podwójnym rąbnięciu, po której oczy wychodzą z orbit), dowiedziałem się wielu pożytecznych rzeczy o świecie i ludziach. Na przykład, ilu Polaków potrzeba do przykręcenia żarówki. Ilu? Czterech. Jeden trzyma żarówkę, a trzech kręci drabiną. Meksykanie są ok, Amerykanie fuj, a Chińczycy spekulanci i już niedługo zrobią z południowego sąsiada swoją nową prowincję, przynajmniej w sensie ekonomicznym.

Nocleg u Chrisa był kolejnym z całej passy spotkań z dobrymi ludźmi. Szczerze mówiąc, na więcej szczęścia już przed Vancouver nie liczyłem, ale czekała mnie jeszcze jedna niespodzianka.

Jakoś tak się dobrze złożyło, że akurat o zmroku dojechałem do zabudowań, gdzie zatrzymałem się na moment, aby poprosić o wodę do termosu. Budynek wyglądał okazale. Trochę jak ekskluzywny hotel, ale żadnych szyldów na nim nie było. Pewnie jakiś miejscowy burżuj tu mieszka, żeby tylko psami mnie nie poszczuł, pomyślałem, zbliżając się do drzwi, za którymi dobiegało gwałtowne ujadanie.

Drzwi otworzył mężczyzna, nie wyglądający wcale na bogatego właściciela wielkiej rezydencji. Lekko przestraszony, trzęsąc głową i przestępując z nogi na nogę, słuchał, jak próbowałem przekrzyczeć ujadanie psa. Za jego plecami zauważyłem jeszcze kilku innych mężczyzn, którzy ręką dali mi znać, abym wszedł do środka. Co jest grane, myślę sobie. Wszyscy wyglądali, jakby się tam znaleźli zupełnie przypadkiem. Wystrzępione spodnie, poharatane twarze, tatuaże... Stoję na wystrzyżonym, czyściutkim dywanie, patrzę na obrazy na ścianach, stylowe kanapy, drewniane schody na piętro... Cholera, co tu jest grane, może ci faceci, pod nieobecność właściciela urządzili sobie jakiś seans, do którego zaraz mnie zaproszą, ale kto ICH tutaj zaprosił?



Przed Vancouver



Przed Vancouver

Kiedy psy na tyle się uspokoiły, że można mnie było usłyszeć, jeden z mężczyzn poprosił, abym jeszcze raz powiedział, co ja tu robię i czego chcę. Za moment wszystko stało się jasne. Oni bardzo chętnie pomogą, ale są pensjonariuszami ośrodka dla uzależnionych od alkoholu i narkotyków, a

właściciela nie ma, dziś nie wróci i sami nie mogą zdecydować.

— Ale ja chcę tylko wodę — mówię.

— O nie — mówi jeden z nich. — To Jezus cię przysłał i my nie możemy cię teraz wypuścić. Zostaniesz tutaj, zaraz zadzwonimy do Chrisa i on na pewno się zgodzi, na górze jest pokój gościnny, dostaniesz kolację i zostaniesz z nami.

— Ojej, dziękuję bardzo — mówię, kiedy już usłyszałem, jak przez telefon miły głos wydaje zgodę.

— Podziękuj Jezusowi — słyszę w odpowiedzi. *Whoever*, myślę sobie, ale głośno dodaję:

— Tak jest! *Thank you Dżizas!*

No i zostałem. Do opieki przydzielono mi przesympatycznego Dave'a, który nie odstępował mnie prawie na krok, poza prysznicem, rankiem obudził mnie, zostawiając w progu szklanek owocowego jogurtu, a potem jeszcze przygotował mi śniadanie... Dave, podobno kiedyś bardzo zły człowiek, łobuz, bandyta, teraz prawdziwy anioł.

A może zawsze nim był?

Rozdział 31

Przedostatni nocleg przed Vancouver spędziłem pod uroczą biblioteką na pięknie wystrzyżonym trawniku, ale tym razem nie spotkałem już żadnej pani bibliotekarki, zresztą nawet nie próbowałem jej szukać. Po pierwsze, była już noc. Po drugie, zamarzała mi szczęka i zamiast słów wychodziły ze mnie nieartykułowane, gardłowe dźwięki. Po trzecie, wołałem sobie oszczędzić tłumaczenia kolejnej, przestraszonej widokiem bełkoczącego, przemoczonego wypłosza kobiecie, że nie stać mnie na stojący opodal motel i jest to pewnie dla pani bardzo, bardzo dziwne, ale może się pani choć trochę wysili i spróbuje zrozumieć, że kogoś naprawdę nie stać i nie ma się co dziwić, wystarczą mi dwa metry kwadratowe trawy i nie boję się niedźwiedzi ani wilków, ani psów, ani ludzi i że tak, śpię na własną odpowiedzialność i zdaję sobie sprawę z konsekwencji i ryzyka, i wszelkich zagrożeń, i kataklizmów, i że oczywiście, ja pani nie widziałem, bo jak mi się coś stanie, to pani będzie odpowiadać, jasne, jasne, ani mru mru, morda w kubek, ale przecież ja nie zamierzam w tym namiocie zasnąć na amen, ale ma pani rację, nigdy nic nie wiadomo i kto będzie odpowiadał.

No tak, kiwam głową, patrząc spod zaparowanych okularów na potężny dom i mówię, jasne, jasne, no rzeczywiście, meteoryt mi w nocy spadnie na głowę albo coś, nigdy nic nie wiadomo i panią zapuszczają, ach, przepraszam, że zapukałem, zresztą i tak nawet drzwi nie otworzyła, przez łańcuch ze mną rozmawiała, wody nie dała, coś jeszcze bąknęła, że miejsca w domu nie ma, bo by mnie przyjęła, ja, że jasne, wszystko jasne, nagle się strasznie rozgadała, ale przecież nie ma sprawy, już sobie idę, świetny las, piękne krzaki, rów też niczego sobie i deszcz już tak nie zacina, proszę z daleka od mojego domu, jeszcze słyszę za plecami, no i nie zamarznij, dobranoc, śpij słodko. Ale to dopiero następnego wieczora było — kobieta, łańcuch, meteoryt, i jak tu nie przypomnieć Astro Boya, no nie pasujemy do tego świata, może nie do tego kawałka, tutaj na pewno nie pasujemy, ale ludzie są różni. To było przed Vancouver, jakaś wiocha w środku nocy, bo miałem super nocną jazdę, trochę przysypiałem, ale na drodze z boku są rozjechane gąsienicami pobocza i jak się na nie wjedzie, to rower robi *turturtur sru* i to trochę rozbudza, poza tym śpiewałem sobie pod nosem bardzo pozytywną piosenkę *ala ala tralala la*, ale zanim dojechałem do pani od meteorytów, to wcześniej była ta nieszczęsna pani bibliotekarka, albo i szczęsna, jeszcze bym jej wieczór spieprzył, przestraszył czy coś, zresztą pewnie i ona przyprowadziłaby jakiegoś Ruska, który kazałby mi się wynosić z pięknego, przystrzyżonego trawnika do mojego (wiadomo jakiego) kraju.

Wreszcie Vancouver, prawie koniec podróży przez Kanadę, koniec *bjutiful* British Columbia. Od kilku dni jechałem w zacinającym deszczu. Dzień w dzień, noc w noc rzęsy deszcz. I sam już nie wiem, co gorsze: mróz czy

dżdżysty dzień. Na kilka dni zatrzymałem się u państwa Rowińskich, wspaniałych ludzi, Polaków, którzy dali mi dach nad głową i strawę. Ile to znaczy, po przebyciu prawie czterech tysięcy kilometrów, a szczególnie ostatnich trzystu w zacinającym deszczu, trudno wyrazić.

Drugi dzień pobytu przeleżałem i leniuchowałem, robiąc wielkie nic, czyli dokładnie to, na co miałem największą ochotę. Bezwład, upojny bezruch i odpoczynek od fizycznego wysiłku. Trzeciego dnia wybrałem się na spacer do centrum Vancouver. Miasto jak miasto, ładne parki, za nimi jakieś obrzydliwe szklano -stalowe molochy, przesłaniające widok na ośnieżone szczyty...

Niewątpliwie z molochów jest doskonały widok na górskie pasma, ale z ulicy widać trochę mniej albo też powinienem napisać, że widoki są inne. Jest czysto, bardzo czysto, prawie sterylnie, nawet bezdomni jacyś tacy czyści, mają ładne koce, którymi się przykrywają, a obok kolorowe puszki na pieniądze. Ale dlaczego tak dużo bezdomnych młodych ludzi, a może nie bezdomnych, ale w takim razie, dlaczego siedzą na ulicy i żebrzą o pieniądze? Mają dwie ręce i dwie nogi, niektórzy nawet całkiem fajne ciuchy, co oni tam robią? Co się stało w ich życiu tak strasznego, że jedyną drogą do zdobycia pieniędzy dla nich jest ulica i wyciągnięta, zmarznięta ręka? Nie rozumiem. Przecież British Columbia, *beautiful*, piękna British Columbia (co wyraźnie podkreślają tablice rejestracyjne) jest *the best place on earth*, co też można przeczytać na każdym niemal kroku.

Najlepsze miejsce na ziemi pozwala, aby zgrabna, naprawdę ładna dziewczyna klęczała przed stacją metra żebrząc o pieniądze? Nie rozumiem... Wreszcie w Kanadzie widzę, że ludzie przemieszczają się na piechotę, do tej pory w miastach obserwowałem tylko przesuwające się samochody. Otacza mnie rzeka ludzi, mnóstwo skośnookich (już pisałem, żadnych aluzji, naprawdę lubię skośne), dużo dziwaków z brodami, w turbanach, chustach, wiadomo, wolny kraj swobód religijnych i tolerancji dla wszystkich wyznań.



Vancouver

Mało kto zatrzymuje się przy tej dziewczynie, nie mogę oderwać od niej wzroku, zahipnotyzowała mnie jej drżąca dłoń, obrysowuję w myślach jej zarys, nie mogę wyjąć aparatu, nie chcę, mam ochotę wziąć ją za rękę i zaprowadzić na obiad albo chociaż na kawę, chciałbym jej coś dać, a potem ulotnić się jak duch, tak żeby wydawało jej się to tylko krótkim snem, albo żeby najlepiej w ogóle tego nie zauważyła, ale nie mogę ruszyć się z miejsca, co chwilę ktoś mnie potrąca, ktoś coś powiedział, ktoś się odwrócił, podchodzą do mnie punkowcy, o rany, prawdziwi punkowcy, czyli jednak nie wyginęli, przyjechali do *bjutiful* British Columbia, pewnie ich zwiody foldery reklamowe, w końcu to jest *the best place on earth*, naprawdę prawdziwe panczury, nie jacyś tam woodstockowi czy inni weekendowi przebierańcy. Tacy, co to widać, że wybrali takie życie, odrzucili system, a nie przebrali się na kilka dni na pijacko-orgiastyczną imprezę.

Łatwo nie jest, widzę po zmęczonych oczach, pewnie dieta punkowa tu lepsza niż polska jabolowa czy kiedyś makowa, ale i tak budzą we mnie respekt, daję jednego *toony*, nie mam więcej, zaczynamy rozmawiać, mieszkają w squacie pod miastem, ale ciągle ich przepędzają, pustych budynków dużo, ale mieszkać w nich nie wolno... Jasne, kiwam głową, tak jakbym coś rozumiał, gównu wiem, życia takiego choćby w części nie zaznałem, ale kiwam głową, pan mądraliński, pan, co dał na piwo (prawie), można mu poświęcić chwilę i porozmawiać, może da więcej, a może chociaż w oczach miałem odrobinę punkowca, bo w swojej pomarańczowej kurtce i czystych spodniach wyglądałem przy nich jak Marsjanin.



Vancouver

Mówię im, że jadę rowerem z Alaski, że w sumie mój wyjazd to też *punk style*, inaczej się nie da, *punk style* jest mi zdecydowanie bliższy niż betonowe molochy i wyprasowane garnitury w mieście...

Spacerujemy sobie z Rafinerią i Bicykletą (to nowa towarzyszka Rafinerii, dostałem od Nunu, rzecz prawie tak święta, jak sama Rafineria). Trzymam je za rękę, a jakże, wychylają się z kieszeni i kiwają głowami w rytm moich niezbyt szybkich kroków. Oczy mi czasem łzawią, szczypią, nie wiadomo czy ze zmęczenia, czy ze smutku, pewnie jedno i drugie. Dużo par. Dużo uśmiechu. Dużo życia. Ściskam mocniej w kieszeni, wyobrażam sobie, że ktoś idzie obok, łatwo można sobie wyobrazić, mam bujną wyobraźnię. Naturalną konsekwencją choćby chwilowego powrotu do rzeczywistości jest dość gwałtowne uderzenie w głowę i otrzeźwienie. Nie ma nikogo obok. Nikogo nie trzymam za rękę.

Siedzę i nic nie widzę, przycupnąłem sobie pod molochem, wszędzie kamery, zaraz przepędzi mnie jakiś cieć. Nikt nie przychodzi, nikt nie zwraca na mnie uwagi, siedzę jak tamta dziewczyna i jestem pewien, że gdybym teraz wyciągnął przed siebie uszytą przez Nunu czapkę, to zaczęłyby się zaraz zapełniać srebrzystymi ptakami.

Zaczynam się czuć dobrze na tej ulicy, pod tą ścianą, stopiłem się z nią, rozmywają mi się ludzie dokoła, zastanawiam się, jak długo musiałbym tu siedzieć, aby ktoś podszedł i zapytał, czy wszystko w porządku. Dzień? Dwa? Może ktoś przechodząc pomyślałby, ej, widziałem tego człowieka tutaj wczoraj w tej samej pozycji, a potem pomyślałby jeszcze raz i jeszcze, i może by podszedł, dyfuzja odpowiedzialności, na pewno wszystko z nim ok? Przecież tamta pani przeszła i ten pan, i jest pan cieć, ktoś by zareagował... Ile dni? Słyszę, że Bicykleta chce dalej, mówi, że to jeszcze nie czas, każe wstawać, iść dalej, przecież nie wiemy, co dalej, nie ciekawi? Czasem

ciekawi, czasem nie, czasem pragnie się tylko spokoju, takiego całkowitego, od wszystkiego, a właściwie, co by było, gdybym nie wrócił? Jak długo żyłbym w pamięci kogoś? Rok, dwa? Sto lat? Oj, pochlebiam sobie.

Może zrobię mini wywiad: Ile pan/pani myśli, że jeszcze pożyje? Ciekawe, kto odpowiedziałby, na przykład: czterdzieści dni! Co ja piszę, czterdzieści, to całkiem sporo... Może ktoś powiedziałby nawet: mam nadzieję pożyć jeszcze trzy dni. Choć patrząc dokoła, wydaje mi się, że nikt... Wszyscy wyglądają i zachowują się tak, jakby mieli żyć wiecznie. I myślę, ba, jestem przekonany, że w tym momencie, większość z nich naprawdę tak myśli.

Spacerujemy sobie z Rafinerią i Bicykletą i jest nam trochę lepiej. W sumie nie wiadomo czemu. Może trochę za sprawą pewnej pani, która tak po prostu życzliwie się do nas uśmiechnęła. Byliśmy tak zaskoczeni tym zdecydowanie niemodnym i nie na miejscu w *debestplejsonerf* zachowaniem, że nawet nie odwzajemniliśmy uśmiechu. Ale w środku rozkwitnęliśmy. I może nawet po to spacerowaliśmy przez osiem godzin, żeby ktoś się do nas uśmiechnął, a my nie odwzajemniliśmy uśmiechu. Może to był sens tego dnia? Może nawet całego wyjazdu? Wszystko przecież musi mieć jakiś sens.

Chodzę po mieście i fotografuję małe dziewczynki w rajstopkach. Pewnie z boku wyglądam jak zboczeniec. Zresztą nie muszę wyciągać aparatu. Mam pomarańczowe, przykrótkie spodnie i śmieszoną czapkę. A dlaczego fotografuję małe dziewczynki? Bo lubię małe dziewczynki. Ubolewam, że nie mam swoich, ale kto wie, chyba jeszcze mogę, jak ktoś, albo coś pozwoli, to może jeszcze będę mógł je kiedyś tarmosić za warkoczyki i podrzucać pod sufit. Bo nie wiem, czy będę. Nikt nie wie. A może ktoś albo coś wie? Ale ja nie wiem. Każdy dzień jest darem. Całe życie uczę się tego, tej świadomości, że każdy dzień jest darem, niezbywalnym, nieodwracalnym, jedynym. Ten dzień też nim był. I ten jutrzejszy również będzie.

Nie chodzę do kościoła, a jednak w tym momencie modlitwa ciśnie mi się na usta. „Najważniejszym wydarzeniem w życiu człowieka są urodziny i śmierć boga”, pisze Różewicz. „Życie bez boga jest możliwe, życie bez boga jest niemożliwe”^[8]. To w końcu jak? Kto wie? Kto odpowie? Nikt nie wie. Nikt nie odpowie.

Na pewne pytania odpowiedzią może być tylko milczenie.

Rozdział 32

Po kilku dniach odpoczynku u państwa Rowińskich ruszyłem do Stanów. Na granicy, bez zbędnych formalności, po zamienieniu zaledwie jednego zdania, a nawet i nie, bo się nie odezwałem, tylko uśmiechnąłem na zadane pytanie, a właściwie nawet nie pytanie, tylko stwierdzenie rubasznego służbisty, który to widząc mój rower, powiedział: *Are you fucking nuts cycling in this fucking weather?* — co w wolnym tłumaczeniu znaczy, czy mnie z lekka po...ło jechać w taką *fucking* pogodę. No więc, nic nie odpowiedziałem, bo co miałem powiedzieć? Trzeba jechać, samo się nie przejedzie, a pogoda jak pogoda, czasem słońce, czasem *fucking*.

Siedzę na przedmieściach Seattle i kontempluję czas. Poznałem właśnie kilku miejscowych żuli, wcale nie sępiłi o kasę, dosiedli się, ot tak, żeby pogadać, zaciekawieni skąd jadę i dokąd, ale bez zbytniego wścibstwa, zwykła chęć rozmowy, szczere zainteresowanie, miłe gesty, dobre słowa.

Mam problem, jak ominąć miasto. Nie chcę jechać do tego molocha, chciałbym go jakoś sprytnie ominąć, ścieżki rowerowe są, ale ciągną się zygzakami po parkach prosto do centrum a na obrzeżach drogi ekspresowe i autostrady, i chyba chcąc nie chcąc, będę się musiał zaraz wbić w którąś z nich...

Seattle to właściwie przedłużenie Alaski. W pewnym sensie. Jak mówi miejscowe przysłowie: *Złoto zbudowało Alaskę, zaś Alaska zbudowała Seattle* (*Gold made Alaska, and Alaska made Seattle*). Port ten był w dziewiętnastym wieku punktem wyjściowym dla wielu poszukiwaczy złota, podążających na północ w nadziei zdobycia majątku. W sieci i nie tylko można znaleźć wiele ciekawych opowieści o historii tego miasta.

Jedno tak mi się spodobało, że pozwolę sobie przytoczyć fragment: „Wśród wielu barwnych i ciekawych wydarzeń z historii tego miasta, typowych zresztą dla amerykańskiego Zachodu, opowiadano mi o tzw. sprawie dziewcząt Mercera (*the Mercer girls*). W latach sześćdziesiątych zeszłego stulecia nowo powstałe osiedle, którego ludność stanowili przeważnie młodzi, nieżonaci pionierzy, cierpiało na brak młodych kobiet, co jednocześnie wpływało ujemnie na stosunki moralne panujące w Seattle. Wówczas to jeden z obywateli miasta, mądry i zarazem przedsiębiorczy rektor tamtejszego uniwersytetu nazwiskiem Asa Mercer, wyruszył w długą i daleką drogę na wschód, ku wybrzeżu atlantyckiemu. Po jakimś czasie wrócił do Seattle, przywożąc ze sobą jedenaście młodych dziewcząt, których nie odstraszyły trudy dalekiej i niebezpiecznej drogi i które wyraziły chęć poślubienia młodych, nieznanych pionierów.



Dwa oblicza Seattle



Dwa oblicza Seattle

Gdy Mercer zjawiał się w Seattle ze swoimi dziewczętami, niemal wszyscy kawalerowie w mieście wylegli z ciekawości na ulice; jak opisuje naoczny świadek, w swych brudnych ubraniach roboczych, zarosnięci i od dawna nie goleni, przypominali swym wyglądem raczej stado niedźwiedzi lub fok,

aniżeli kandydatów do ożenku. Wygląd ich nie przeszkodził jednak temu, że wszystkie z przybyłych dziewcząt szybko i szczęśliwie wyszły za mąż. Mercer natomiast, któremu bardzo przypadła do gustu rola swatki, w 1866 roku, po raz wtóry udał się na wschodnie wybrzeże, przywożąc z sobą do Seattle aż czterdzieści sześć kobiet, wśród nich wiele młodych wdów po bojownikach wojny domowej. Sam Mercer dał przykład swym współobywatelom i poślubił jedną z nich, zakładając jedną z najznamienitszych rodzin w mieście”^[9].

Siorbię kawę, ostatnie dni darmowej, tylko do dwudziestego, potem koniec, trzeba będzie dolca wysupłać, za oknem z transparentu spadają literki, zrzućane przez pana w bejsbolówce, obok spadają liście z drzew, jest w tym spadaniu jakaś rezygnacja, pogodzenie się z losem, zapowiedź nadchodzącej zimy, muszę się pospieszyć, zima za mną goni, wczoraj rano zasypało mi namiot, budzę się, próbuję rozpiąć zamrożony suwak i kiedy w końcu wyglądam na świat, *fucking weather*, myślę sobie, miało być cieplej, a wieczorem tak ładnie kapało mi nad głową, lubię deszcz, lubię słuchać, jak krople rozbryzgują się głośno o tropik, rankiem zamarzło wszystko, potem znów medytacja w deszczu, nie za długo, jest McDonald, można się rozgrzać, wypić kawę, zjeść trzy naleśniki za dolca z kawałkiem, dosiada się jakiś koleś, widziałem zza szyby, że długo oglądał rower, nie pyta o pozwolenie, siada naprzeciwko, siorbie kawę, wyciera wierzchem dłoni, no dobra, spojrzę na niego.

— *I like your cap* — mówi znienacka.

Co, podoba mu się moja czapka? Moja obciachowa, niebieska czapka z lumpeksu, w której jeżdżę już od ponad dziesięciu lat? Pan też podróżuje rowerem po świecie, był w Europie, ale nie w Polsce, odradzali mu, bo tam kradną i bandytyzm. Pan też uważa, że wyjątkowo duże liście w tym roku, też lubi naleśniki, lubi Kieślowskiego, odróżnia braci Kaczyńskich i uważa, że Maja Włoszczowska jest sexy. A wszyscy Amerykanie mieli być ignorantami. A wszyscy artyści to prostytutki.

Dziękuję panu za rozmowę i ruszam w drogę. Często się gubię, bo nie mam mapy, co ma swoje dobre strony, bo można nagle znaleźć się w miejscach, o których nie wspominają przewodniki, jak kasyno z obiadem za półtora dolara, do którego trafiłem przypadkiem kilka dni temu. W strugach deszczu szukałem dojazdu do drogi numer dziewięćdziesiąt dziewięć i jedna kobieta poradziła mi przeczekać *fucking weather* w pobliskim kasynie.

— Zjesz rybę z frytkami za dolara, do tego picie za darmo i odpoczniesz sobie, a grać nie musisz.

Tak powiedziała. I rzeczywiście. W środku niczego ktoś wybudował kasyno i sądząc z ilości osób siedzących w przyciemnionych wnętrzach, biznes się kręci.

Mnie jakoś te wszystkie automaty, jednoręcy bandyci, ruletki i cała reszta

gadżetów nie kręciły, zamiast tracić dolara, kupiłem sobie obiad i zjadając frytki, patrzyłem na mrugające do mnie pudełka.

Tak więc tego dnia nie zostałem hazardzistą, ale prawie zostałem buddystą. *Myoho Renge Kyo, Myoho Renge Kyo*. Tą mantrą -rymowanką podzieliła się ze mną pani Jessica. Pani Jessica zajmuje oba miejsca w swoim samochodzie, dla kierowcy i pasażera, a w samolocie dwa fotele, przez co nie lubi latać, choć zdarzyło jej się zwiedzić Rzym i Wenecję, bo akurat była jakaś superpromocja dla dwojga, ale wcale nie było tak pięknie, jak na folderowych zdjęciach z biura podróży. Pani Jessica jest buddystką, ma psa bulteriera o imieniu Czołg, przez którego zostałem dosłownie stratowany, a następnie dokładnie wylizany (*little babe, only wanna play*), nie lubi romansów i kryminałów i zna panią Kasię z Polski, która sprząta u sąsiadki.

Z panią Jessicą poznaliśmy się na ulicy. Nie, pani Jessica nie wyszła z psem na spacer, pies sam wychodzi, a jak nie wychodzi, bo jest zbyt wygodnicki, to się psa woła do samochodu i się wywozi do parku. Tam sobie pies robi co trzeba i odwozi się go z powrotem do domu. Pani Jessica sama się zatrzymała, opuściła szybę w samochodzie i mnie zawołała. I do tego kilkakrotnie musiała powtórzyć, przez co na ulicy zrobił się momentalnie korek i wszyscy zaczęli trąbić, i tym bardziej nie słyszałem, czy pani Jessica śle mi niecenzuralne słowa (zdarza się, że jadę, a ktoś krzyczy, żebym zjechał z drogi, ale chodników nie ma, a rowem jechał nie będę) czy też mnie woła, abym podszedł. Naprawdę nie mogłem w to uwierzyć. Od dość długiego czasu stałem na środku skrzyżowania i robiłem cyrk, podbiegając do ruszających samochodów, robiąc kółka wokół ust (że niby chcę o coś zapytać) i różne inne pozawerbalne znaki, mimo wszystko, wydaje mi się, wystarczająco czytelne. I nic! Albo nie zwracali na mnie uwagi, albo patrzyli jakoś tak dziwnie i ruszali z piskiem opon.

Ten dzień zaczął się bardzo słabo i wszystko wskazywało na to, że równie źle, albo i gorzej się zakończy. Od rana jechałem w ulewnym deszczu, trzeci dzień z rzędu. Przez prawie cztery i pół tysiąca kilometrów nie złapałem żadnej gumy, a tego dnia trzy. Do tego złamałem przedni bagażnik i urwałem hak przyspawany do widelca. Bardzo chciałem wreszcie wyjechać poza zabudowania, które ciągnęły się od dwóch dni i utrudniały mi przemieszczanie się na południe. W miastach są ścieżki, ale często urywają się w najmniej spodziewanym miejscu, albo ciągną się wzdłuż parków, rzek albo jakichś turystycznych miejskich atrakcji, przez co robiąc dziennie powiedzmy sto kilometrów, posuwałem się może trzydzieści w prostej linii na południe.

Kiedy kolejna ścieżka skończyła się na obrzeżach Tacomy, w zapadającym zmroku próbowałem wypatrzeć jakiegoś przechodnia i zapytać o drogę. Ciężko spotkać przechodnia w dzień, a co dopiero w nocy. Amerykanie nie chodzą, mają przecież samochody. Dobrze pytać bezdomnych albo żuli, zazwyczaj dobrze skierują i zawsze wiedzą, gdzie jest najbliższy McDonald.

Jak poznać bezdomnego albo żulą? To proste, idzie po chodniku albo ulicy (bo nie zawsze jest chodnik) i nie jedzie samochodem. Nie trzeba się też martwić brakiem gotówki i ewentualnym nagabywaniem o pomoc, bo zapytany amerykański żul nie skorzysta z okazji i nie zapyta, czy nie mógłbym mu dorzucić złocisza do piwa i nie będzie wystawiał języka, żeby mi pokazać, jak go suszy.

Niestety, tym razem nikt nie wybrał się na spacer, postanowiłem zatem wbić się na zaczynającą się nieopodal autostradę i podjechać nią trochę w stronę Portland. To nie był dobry pomysł. Ośmiopasmówka, z nieopisanym hałasem silników wielkich pickupów i ogromnych ciężarówek, pomieszanym z przeciągłym klaksonem przejeżdżających aut. Trąbili, oj trąbili... Próbowałem ignorować ten hałas, ale długo nie wytrzymałem, czułem się, jakbym jechał w jakieś fabryce i dokoła mnie pracowały młoty pneumatyczne. Po kilku kilometrach miałem dość i zjechałem na najbliższym wyjeździe z powrotem do miasta.

Przejechałem jeszcze kilka kilometrów i zatrzymałem się na dużym skrzyżowaniu. Było ciemno, mokro i zimno. Wokół ani żywej duszy. Wszyscy zapuszkowani w samochodach i domach. Musiałem spróbować zapytać kierowców. Biegałem więc od jednego do drugiego samochodu zatrzymującego się na światłach, ale wszyscy mnie ignorowali. Kiedy już straciłem nadzieję, że dowiem się od kogoś, w którą stronę jest południe i zaczynałem się rozglądać za dobrym miejscem na nocleg, usłyszałem, że ktoś do mnie woła. Podbiegłem do samochodu i poprzez hałas klaksonów wyłowiłem zdanie: *Follow me*. Nie ma sprawy, ruszam za panią choćby w ogień!

Lawirując między samochodami, wróciłem po rower i próbowałem wbić się w chaotycznie przemieszczający się strumień pojazdów. Kobieta ciągle stała na środku skrzyżowania, przez co na drodze zrobił się typowy wielkomiejski azjatycki rozpiżdziel, brakowało tylko przechodzących krów i jadących pod prąd rykszarzy.

Dogadaliśmy się na następnej ulicy. Bez wahania przystałem na propozycję noclegu. Tak, psy lubię, koty też, prysznic nie muszę brać, tak, mam śpiwór, nie jestem na nic uczulony, wstaję rano, nie chrapię, nie palę (o picie nie pytała), nie mam rodzeństwa, nie będzie mi przeszkadzać, że wieczorem przychodzą koleżanki.

W domu najpierw poznałem psa, potem kota, potem ołtarzyk, a potem koleżanki. Wszystkie przyjechały samochodami, ta, co mieszka obok, również. Wszystkie buddystki, chwałą Jessicę, że zaskarbiła sobie dobrą karmę. Mam podziękować Buddzie, że trafiłem na tak *lovely lady*. Nie ma sprawy, *whoever*, dziękowałem Dżizasowi, teraz mogę Buddzie. Na wszelki wypadek podziękowałem jeszcze Allahowi. No i Muminkom, ma się rozumieć.

Rozdział 33

Siedzę sobie pod Starbucksem i zajadam biały, gumowaty, tostowy chleb z masłem orzechowym firmy *no name*. Obok gabinet pielęgnacji paznokci. Jest popyt na ładne paluszki, często wchodzą i wychodzą z niego różni ludzie, również mężczyźni. O co chodzi? Może przed Świętem Dziękczynienia robią sobie manicure?

Przechodzący ludzie różnie na mnie reagują, często zagadują, co tak siedzę, albo że dobre miejsce wybrałem, bo mi na głowę nie pada, albo po prostu uśmiechają się. Siedzę i kończę powoli kolejną kanapkę, a tu nagle na kolana spada mi zawinięta papierowa torebka. Podnoszę głowę. Starszy mężczyzna uśmiecha się do mnie i wciskając mi do ręki dziesięciodolarowy banknot mówi, że będzie na jeszcze jedno masło orzechowe. To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł. Nawet nie zdążyłem podziękować. Naprawdę nie zebrałem, nawet czapki, co Nunu uszyła, nie położyłem na ziemi, tylko siedziałem, jadłem i rozmyślałem. W torebce był obiad, jakieś hamburgery, picie, owoce.

Te zapasy pomogły dojechać mi do Portland, a właściwie prawie do Portland, gdyż spod miasta zabrała mnie Marta, siostra znajomej, która zgodziła się mnie przenocować. Marta mieszka z Chrisem i dwiema dziewczynkami Mają i Sarą. Jakoś tak się złożyło, że Maja już drugiego dnia po przyjeździe prawie weszła mi na głowę, zostałem więc mianowany domową piastunką. Niby obcy ludzie, a wszyscy byli dla mnie niesamowicie mili, czułem się zupełnie jak w domu, nieskrępowany i naprawdę niezmiernie wdzięczny, tym bardziej że od Vancouver pogodę miałem podłą i właściwie przez całą drogę nie widziałem słońca.

Marta zrobiła ogromne pranie, wyprała mi dosłownie wszystko, łącznie ze śpiworem, który znów zaczął wyglądać jak puchowy, a nawet miałem wrażenie, że zrobił się cieplejszy, niż kiedy był nowy. Miałem czas, aby zmienić opony, przygotować rower do dalszej jazdy i trochę się odświeżyć.



W gościnie w Portland

Niestety, wszystko, co dobre, szybko się kończy, tak więc musiałem wymówić posadę, nad czym bardzo ubolewam, zwłaszcza że to już trzecia posada, jaką wymówiłem w tym roku i mam nadzieję, że ostatnia. Rola piastunki bardzo przypadła mi do gustu, być może, po powrocie do Polski, będę dalej realizował swoje powołanie, tym razem jako piastun niemowląt.

Marta wywiozła mnie za miasto, w stronę malowniczej, nadmorskiej drogi sto jeden, którą kontynuowałem podróż na południe.



Z Maja



Z Mają

Drugiej nocy trafił mi się nocleg pod ośrodkiem dla osób w podeszłym wieku. Właścicielka zaprosiła mnie, kiedy stałem po sklepie i szykowałem się na nocną jazdę. Rozrysowała mi na kartce, jak do niej trafić, ale zajęło mi to trochę czasu. Dojechałem przed północą, rozbiwszy się w ogródku, już bez powiadamiania właścicielki. Znalazła mnie rankiem, siedzącego pod namiotem i gotującego wodę na herbatę.

— A jak Pani na imię, bo wczoraj chyba nie zdążyliśmy się sobie przedstawić?

— Cinti, a tobie?

— Piotr. Peter po waszemu — dodaję, patrząc, jak jednooki gołąb sfruwa na ramię kruczowłosej kobiety.

— Nazywa się Cyklop, stracił oko w walce — tłumaczy Cinti. — Cierpi na zaburzenia osobowości. Właściwie to on nie wie, że jest gołębiem. Znalazłam go kiedyś pod gniazdem, miał złamane skrzydło. Jest zupełnie oswojony, możesz go pogłaskać. Widzisz, teraz myśli, że jest kotem. Czasem jest psem, bo jada z psiej miski i wydaje dziwne dźwięki, jakby szczeakał, a oko stracił w walce, myślał, że jest kogutem, niestety, prawdziwy kogut wygrał i wydziobał mu oko.

Kręcę głową z politowaniem i patrzę w oko Cyklopa, i zastanawiam się, kim

teraz myśli sobie, że jest. Może wojownikiem Ninja? Czarne cienie nie bez kozery, sam widziałem wczoraj jednego, ogromny, nie byłem na tyle odważny, żeby z nim walczyć, więc schowałem się do namiotu, ale tam czekała mnie inna walka, z samym sobą. Serio, serio, Shreka nie widziałem, ale Ninja był jak prawdziwy, a Pan Hipis mówił, żeby całego ciastka nie jeść, tylko odrobinę, hipisi nie wyginęli, punkowcy byli w *bjutiful British Columbia*, a hipisi mają się świetnie w Kalifornii.

Zaczęło się standardowo. Pan Hipis zaczepia mnie na ulicy i zadaje typowe pytanie, na które udzielam typowej odpowiedzi, ale rozmawiam elegancko, jakbym wcale nie udzielał już dziesiąty raz tych samych odpowiedzi tego samego dnia. Pan Hipis maca rower i pyta, czy nie mógłby się przejechać. Zboczeniec jakiś, czy co, myślę sobie, ale w końcu odpinam sakwy i daję pojeździć. Pan Hipis wraca bardzo kontent i pyta, czy nie chcę ciastka na drogę. *Good cake, good dreams, good ride*. Dobrej jazdy nigdy dość, myślę sobie, jeśli ciastko ma pomóc pedałowac, to chętnie skosztuję, tym bardziej że tego dnia jechało się dość ciężko. Tylko nie zjedz od razu całego, bo zatrzymasz się na księżycu. No ładnie, myślę, to niezłego daje kopa, chyba jednak na razie pojedę bez turbociastka, a skosztuję wieczorem do kolacji, może makaron będzie smaczniejszy?

Makaron smakował jak makaron, ale reszta... Poza walką z wojownikiem Ninja, musiałem jeszcze w namiocie odpiierać ataki ogromnych, fioletowych ośmiornic. Ciastko ciastku nierówne. Całe szczęście, że zjadłem tylko połowę. Może resztą poczęstuję kogoś po drodze? Dałbym jakiemuś żulowi, jak żebrze o szluga, naprawdę chyba zacznę wozić ze sobą fajki, wczoraj na kompletnym zadupiu (czyli co najmniej 30 mil do najbliższego sklepu) idzie sobie drogą długobrody koleżka i macha. Zatrzymuję się, żeby zagadać, a on błagalnym głosem pyta mnie, czy nie mam papierosów i wyciąga dziesięciodolarowy banknot mówiąc: „dam ci dziesięć baksów za jednego szluga!” Naprawdę, prawie miał łzy w oczach. Chciałem mu dać banana, ale odmówił, wziął masło orzechowe i chleb, ciastka mu jednak nie zaproponowałem, wyglądał, jakby już niejedną walkę z Ninja przeżył, po co więc miałem mu dostarczać nowych, niekoniecznie przyjemnych wrażeń?

Po spotkaniu z hipisem od ciasteczka, odbiłem w drogę dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć i ruszyłem w stronę Nevady. Tsunami już mi nie groźne. Wybrzeże zostawiłem na dobre i chyba nieprędko zobaczę znów Pacyfik, zresztą nie muszę, tęsknić nie będę, wolę góry. Z Arcaty odbiłem na wschód w stronę Reno, myśląc, że będzie trochę spokojniej na drodze, ale jest jeszcze większy ruch niż na malowniczej stojedynce. Skąd tutaj tyle samochodów? Przecież miejscowości po drodze jak na lekarstwo. Ciągną sznurem jeden za drugim, osobowe, pickupy, no i wielkie ciężarówki, dla których jestem mięsem na kółkach... Jak jest w miarę płasko, to jeszcze można je znieść, ignorować ich trąbienie, nieprzepisowe wyprzedzanie, nadmierną prędkość; najgorzej, jak zaczyna się podjazd, a że wjechałem w

góry, to podjazdy są konkretne i długie. Nie wiem czemu, ale jest coś wysoce poniżającego w podjeżdżaniu w tak licznych towarzystwie wyprzedzających i wymijających mnie osób. Normalnie czuję się, jakbym kopał rów, a nade mną stali obcy ludzie i patrzyli, czy dobrze wbijam szpadel.

Kiedy złany potem, wpedałowując pakuny i siebie pod górę, łapię czasem beznamiętne spojrzenie kierowców, zastanawiam się, co sobie myślą. Bo chyba coś myślą. Albo i nie? Choć fajnie jednak wierzyć, że coś myślą, że zostawiam jakiś ślad w ich głowie, może na parę godzin, może na cały dzień. Nie, daleki jestem od tego, aby sądzić, że mój wysiłek skłoni ich do jakichś refleksji. Kto ma dziś czas na refleksje? Na refleksje nie ma czasu. Życie to nie filozofia. Dom, praca, żona, dzieci, zakupy, gazeta, może piwo z kolesiami, którzy z roku na rok stają się coraz nudniejsi, ale i tak nie przeszkadza to odreagować z nimi jakichś zasiedziały domowych scysji. No więc żadne refleksje, po prostu myśl. Zamiast na drodze, zostawiam mały ślad w czyjejś głowie.



W stronę Nevady



W stronę Nevady

Patrząc z boku, jak zamiast siedzieć w ciepłym aucie, masakruję się pod kolejną górę na rowerze, można tylko puknąć się w czoło. Przecież to nie ma sensu. Albo ma taki sam sens, jak rozjechany kot, którego pogrzebałem dziś przy drodze. Rudy taki, malutki, główka zmiądzona, świeżo rozjechany, może nawet ktoś nie zauważył, że rozjechał kotka. Wygrzebałem mu dziurę w ziemi, zakopałem i kiedy tak stałem nad tą dziurą, to pomyślałem sobie, że przejechałem dziś ponad sto kilometrów, że jest ładna pogoda i świeci słońce, i tak się z tego cieszyłem, bo wszystko, zupełnie wszystko wydało mi się nagle kompletnie bez sensu.

„Po co ci te wyjazdy, daj se spokój z wyjazdami”, mówiła babcia Czapy. Może babcia Czapy miała rację?

Oto kupuję piwo w sklepie i po raz kolejny sprawdzają mi dowód. Mówię, że jestem stary, ale podaję paszport. Dlaczego jednak muszę wziąć reklamówkę? Oddaję torbę, mówiąc, że piwo włożę do sakwy. Nie, nie możesz wyjść ze sklepu z piwem bez opakowania, mówi ryżawy chłopak, taki jest przepis, dodaje. A jak włożę do kieszeni, pytam. Jak włożysz do kieszeni, to możesz reklamówkę zostawić i wyjść, odpowiada.

Myślę sobie, że i ten przepis na pewno ma jakiś głębszy sens, ale muszę pewnie jeszcze do tego dojrzeć. A na razie jadę dalej grzebać koty i zostawiać ślady w czyichś głowach.

Rozdział 34

Podróżowanie utwierdza mnie w przekonaniu, że czas nie jest linearny, tylko cykliczny. Rzeczy wracają na swoje miejsce. Rankiem znów muszę odmrażać namiot, znów budzą mnie temperatury rzędu minus dziesięć stopni, wraca grzechotka, a ludzie przestali zapraszać na kawę, a zamiast tego wysyłają na ulicę albo w las.

Zaczął się za Redding. Tego wieczora miałem bardzo nieprzyjemny nocleg. Coś (albo ktoś) kręciło się dość długo w nocy wokół rozbitego w lesie namiotu, przez co spałem raczej średnio i następnego dnia marzyłem już tylko o jakimkolwiek bezpiecznym miejscu do spania.

Za Suzanville, w zapadających ciemnościach, kieruję się do leżących niedaleko zabudowań. Pukam, pytam, dla odmiany zamiast psami, postraszyli mnie strzelbami. *Everywhere are guns, don't try to come back.* Ośłupiałym patrzyłem i słuchałem, jak mężczyzna powtarza groźbę, że ze wszystkich stron celują we mnie nabite strzelby. Zmykam na ulicę bardziej zdziwiony, niż wystraszony, bo od czasów *beautiful British Columbia*, nikt mnie tak nieprzyjemnie nie potraktował. No nic, miałem pecha, ktoś widocznie miał zły dzień, zdarza się. Jadę do drugich zabudowań. Otwiera bardzo przestraszony łysawy pan z dużym brzuchem. Nic z tego, on nie może pozwolić, bo to nie jego dom, on tylko wynajmuje, za ogrodzeniem też nie mogę, bo jak przyjedzie właściciel, to będzie miał pretensje, a jak mi się coś stanie, to on będzie odpowiadał. Pytam, czy nie mógłby zatem zatelefonować do właściciela i zapytać. Może z moim pytaniem było coś nie tak albo mój angielski się mocno uwstecznił, bo mężczyzna wzruszył ramionami, jakby nie zrozumiał. Ok, być może trochę bełkotałem, bo w dziesięciostopniowym mrozie zmarzły mi trochę wargi, ale chyba było aż nazbyt jasne, czego chcę.

Łysawemu panu z brzuszkiem życzę pięknego cellulitu z mózgu i jadę do następnych zabudowań. Światła się świecą, choinka ubrana, przed domem Mikołaj, zabawki, są dzieci w domu, jest dobrze. Pukam. Nic. Pukam. Telewizor się zepsuł, bo przestał grać. A może nastąpiła awaria prądu, bo zgasły światła w pokoju. Pewnie mnie obserwują. Prostuję się, co by lepiej wyglądać i pukam raz jeszcze. Cisza. Pukam. Nic. No to się rozbiłem, myślę sobie i, już wiadomo, cellulit tam gdzie trzeba, a może i jeszcze gdzie indziej.

Nie myślę, jest za zimno na myślenie, w dziesięciostopniowym mrozie można się zatrzymać tylko po to, aby się od razu przebrać i wskoczyć do śpiwora, inaczej się szybko zamarza. Robię parę podskoków, rozcieram ręce i kolana, wskakuję na rower i jadę dalej. Instynkt przetrwania prowadzi mnie do następnych zabudowań. Tym razem otwiera kobieta, staram się jak

najszybciej wytłumaczyć o co chodzi, kiwa głową, zgadza się, ale jeszcze musi zadzwonić do męża i zapytać, mąż się nie zgadza, z mózgu cellulit, kobieta nie pozwala mi jednak zamarznąć, mówi, żebym schował się za garażem i tam rozbił, mąż wróci w nocy i nie zauważy, a ona mu powie, że mnie spławiła, dziękuję, dziękuję, już nawet o makaronie nie myślę, tylko do śpiwora i spać.

Oczywiście, mogło być gorzej. Odkąd wyjechałem z Portland, czyli od piętnastu dni, nie spadła na mnie ani jedna kropla deszczu. Ludzie straszli, żebym uciekał przed nadchodzącymi opadami śniegu, przez ostatnie dni pedałowalem więc tyle, ile byłem w stanie. *Travelling is not about having a good time*^[10], mówi Paul Theroux, ale żeby się aż tak zarzynąć... Po co?

W Reno zajeżdżam do McDonalda i poznaję nowych miejscowych żuli. *Yes, we are blessed*, stwierdza Levi, kiedy mówię, że wy tu macie wszystko w tych Stanach, nie musicie wcale podróżować za granicę. *Yes, we are blessed, God bless America*.

Levi służył w Afganistanie, o, kolejny weteran, co się stało, dlaczego tak wygląda, nie wiem, o co zapytać. *I can't live normal life*, mówi Levi. Myślę sobie, to tak jak ja, asceta życiowy, może nawet intelektualny, żona odeszła, miał wyrok, wkrótce po tym jak wrócił, kogoś pobił, narkotyki pozwalały nie myśleć, po odsiadce ciężko pracę znaleźć, ale daje radę, w Kalifornii ciepło, mieszka w L.A., tutaj odwiedził kolegę, jutro wraca do domu. A Ciebie co tak nosi po świecie? W wojsku byłeś? Niebo, przestrzeń, co mam powiedzieć? Masz kobietę? Mam, odpowiadam, i pokazuję obrączkę z druta. To co ty tu k..wa robisz? Z nią powinienes siedzieć. Dzieci masz? To wracaj, dzieci robić, póki możesz. Na wojnie jesteś? *Fuck!* Wracaj do domu, *dude*, póki jest gdzie, wracaj do domu i kochaj swoją kobietę, *the voice of experience is talking to you*.

Cisza zapada, żołnierz zasepił się, odpłynął, znów zacierają mi się głowy, głosy, granice, a jednak fajnie byłoby w coś bezgranicznie wierzyć i choć alfabet ludzkich myśli niepoznany, jeszcze moment, a zaraz robi się cieplej, słońce przywiozę, przystanę pod tym drzewem, przebiorę się, zjem drugie śniadanie, ale co jest? Drzewo całe pokryte butami, dobrymi butami, przypominam sobie Afrykę, gdzie kobiety zakładały buty przed wejściem do kościoła, a potem ściągały, wychodząc, dzieci wracające ze szkoły biegły za rowerem, trzymając buty pod pachą, żeby nie zniszczyć. Drzewo z butami, zrobię zdjęcie, prawie jak drzewo z rajy, tyle dobrych par, u Myśliwskiego, chyba w *Widnokręgu*, matka pół dnia idzie przez pole z synem, szukając zgubionego buta. Swoich nie zostawiam, jadę dalej, jeszcze mi but na głowę spadnie, odpocznę pod sklepem, reklama kowboja, ujeżdża konie, uczy jeździć, czy koń jest zadowolony, że ktoś go ujeżdża? Nie wiem, wiem tylko, że z miny konia wiele wyczytać nie mogę, próbowałem kiedyś jeździć konno, ale odczuwałem wyraźny dyskomfort, o wiele pewniej czuję się w towarzystwie psów, a nawet kotów, do których przekonałem się po latach

wzajemnej nieufności. Wracam na drogę, nowe artefakty, pas do nabojów zawieszam na słupku, a niedaleko delfin, może to czyjaś Rafineria, zawieszam na słupku razem z pasem.

Idą święta. Już od tygodnia albo i dłużej mikołaje są wszędzie. Czasem trudno odróżnić czy prawdziwy, czy sztuczny. Przed każdym sklepem, punktem usługowym, bankiem, pocztą, coraz więcej *santas*. Jadę przez miasto i robię casting, który najbardziej rąbnięty. Jadę przez miasto i patrzę, jak pod bankiem jakiś *Santa Satanas* śpiewa kolędę.

Satanas śpiewał różne rzeczy, nie tylko kolędy, ale i tak spadł na drugie miejsce po tym, jak spotkałem *Santa Hula Hop*. Jadę sobie przez urocze miasteczko o nazwie Mina i rozglądam się, gdzie tu można zjeść późne drugie śniadanie, aż nagle widzę Mikołaja, kręcącego hula hop. Ciasteczka nie jadłem, ale wyraźnie widzę, że macha do mnie przyjaźnie ręką, chyba żywy, myślę sobie i zatrzymuję się, żeby popatrzeć.

Podchodzę bliżej, chwila rozmowy, pewnie, że chcę u pani zanoć. Laura? Piotr! Mąż miał być gburem, a okazał się fantastycznym człowiekiem, zabrał mnie rano na śniadanie do miejscowego pubu i przedstawił kolegom i koleżankom jako żywy eksponat, trzy ogromne naleśniki ledwo zjadłem, a potem jeszcze zabrali mnie na obiad, kura w sosie jakimś tam, rzeczywiście smaczniejsze od makaronu z makaronem, Laura była na paradzie w Reno, jezioro wyszło, były w nim kiedyś karpie, ale nikt ich nie jadł, wy karpie na święta jecie? Kiedyś to zimy bywały, śniegu dwie i pół stopy, a teraz nawet cała nie ma, masz szczęście, słyszę po raz kolejny, kolej jest, ale nie dla pasażerów, jak drogi nie było, to pociągi jeździły aż do Vegas, teraz wszyscy mają samochody, ty nie masz?

Laura zaprasza na Burning Mana^[11], w przyszłym roku pod hasłem *fertility* (to coś dla mnie, myślę sobie), podobno ciężko było dostać bilety w tym roku, wprowadzili loterię, ale Laura pomoże, wesołych świąt, już się przecież nie zobaczymy, kto wie, może i nigdy, ale Gerlach wcale nie tak daleko, wystarczy trochę w głowie przestawić.



Drzewo z butami



W gościnie u pani od hula hop, czyli Laura Blaylock, Rafineria i ja

Pożegnałem się wylewnie następnego dnia, ruszyłem słoneczną drogą numer dziewięćdziesiąt pięć z pewną myślą, że za kilka dni moja podróż

dobiegnie końca. W południe znów spotkałem weterana. Raczej nie wojennego, choć kto wie, ale tak go roboczo nazwałem, zresztą nie jego pierwszego. Tak więc, wojennym pewnie nie jest, ale z pewnością jest weteranem drogi.

Nie wiem, jak ma na imię, nie wiem, skąd jest, kim jest, dlaczego robi to, co robi. Właściwie to nie wiem też, co on robi, bo to, co widzę, co jestem w stanie zaobserwować, nie jest jakąś czynnością szczególnie wyróżniającą. Ma kolorowy tobołek, w którym są grube koce i mały plecak.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się w przydrożnym zajeździe. Wysiadł z dużego dodge'a i od razu poszedł przetrzepać kosze, szybko i sprawnie, po czym usiadł obok mnie i zjadał się upolowaną, niedojedzoną kanapką. Dużo mówił do siebie, poza *fuck* niewiele mogłem zrozumieć, siedziałem na odległość łokcia, uśmiechnąłem się, odwzajemnił uśmiech, nie wiem czy ja jemu, ale on mnie zdecydowanie rozweselił ciężki dzień.

Następnego dnia spotkaliśmy się w McDonalddie, dotarł przede mną, zobaczyłem go przy stole, jak siedział nad kubkiem kawy i gestykulował z niewidocznym słuchaczem. Sprawiał wrażenie kompletnie odjechanego. Podszedłem i zapytałem, gdzie będzie spał tego dnia. Zupełnie normalnie, powoli, sensownie oznajmił, że idzie do parku weteranów i radził, żebym też tam poszedł, jeśli nie mam gdzie spać.

Plac, nad którym powiewała ogromna flaga Stanów Zjednoczonych, był jednak zbyt oświetlony i jakoś nie miałem ochoty na zwijanie w nocy namiotu w razie jakiejś nieoczekiwanej wizyty... Spałem pod McDonalddem, dobrze ukryty za jakimiś materiałami budowlanymi, świetne miejsce, rano niedaleko do ubikacji, nie trzeba szukać krzaków i kopać rowów, można umyć ręce i spaloną, spuchniętą twarz, pani w czapce Mikołaja da gorącą wodę na herbatę i dzień od razu robi się znośniejszy.

Miasta, miasta, robię zakupy, ładuję baterie i uciekam, uciekam, jadę na pustynię, jest pięknie, ruch na szosie spory, ale łatwo ignorować, bo droga posiada duże, szerokie pobocze; dokoła bunkry, podobno pod ziemią jest magazyn broni nuklearnej, uzbrajane są głowice jądrowe, dziwnie się jakoś jedzie, na wszelki wypadek mocniej naciskam na pedały.

Weterana spotkałem niedaleko za miastem, na drodze numer dziewięćdziesiąt pięć, upamiętniającej weteranów wszystkich wojen sprzed ostatnich stu lat, gdzieś między reklamą Jezusa a podniszczonym burdelem (*clean girls, free showers*). Szedł różnym krokiem, rozmawiając z nieobecnym towarzyszem. Nieobecnym dla mnie, *anyway*. Zatrzymałem się na moment, może poczęstuję czymś do jedzenia? Picie, jedzenie, to może jeszcze i to? Duch święty chyba mnie omamił, bo zostawiłem prawie wszystkie zapasy. To nic. W brzuchu jeszcze nie strawiony kurczak w sosie jakimś tam, wracam na drogę, jest ciepło, jest dużo dobrych myśli, spotykam dobrych ludzi, przenika mnie duch święty, czego chcieć więcej?



Z Weteranem



Dolina Śmierci



Z Rafinerią

Ostatnim miejscem, które chciałem zobaczyć przed Las Vegas, była Dolina Śmierci. Kilka kilometrów przed parkiem spotkałem Weterana, cały w drgawkach, a wcale nie było zimno. Mówię, że jadę do doliny.

— Uważaj, oni jedzą ludzi — mówi Weteran. — Nie lubią zwierząt, lubią ludzi — dodaje.

— Jacy oni? — pytam zdziwiony.

— Oni — powtarza, przeciągając głoski. — Uważaj na nich. Nie zobaczysz ich, ale poczujesz.

Twarz Weterana dygotała, ale mówił zupełnie przytomnie i naprawdę wydawało się, że wierzy w to, co mówi. Jakoś tak zrobiło się nieprzyjemnie i nie miałem ochoty dłużej z nim rozmawiać. Wszedłem na moment do sklepu kupić puszkę fasoli, kiedy wyszedłem, po Weteranie nie było śladu. Nie jestem zbyt przesądny, ale pomyślałem, że tego dnia nie będę wjeżdżał nocą do parku. Rozbiłem się w ruinach miasteczka, pod uroczą ubikacją. Potem pod górkę z porywistym wiatrem. No i proszę, nie zawsze wieje prosto w twarz. Tylko rankiem jest zabawa ze składaniem namiotu.

W dolinie pięknie. W ogóle ziemia jest piękna i życie czasem też. Jadąc, myślałem dużo o odchodzeniu. Że mimo wszystko będzie smutno odejść. Kiedy? Nie wiem. Nikt nie wie. Niektórzy wiedzą mniej więcej, nie trzeba jechać na oddział onkologii, wystarczy odwiedzić najbliższy szpital i zobaczyć, jak tam wygląda świat. Dolina dolinie nierówna.

„Czy świat umrze trochę, kiedy ja umrę?”^[12] — pyta Poświatowska. Gdybym miał odejść dziś, co zostawiłbym po sobie? Coś dobrego? Ale w sumie po co cokolwiek zostawiać? Może lepiej nic, jak u Buszmenów, wiatr zatrze ślady, nigdy mnie nie było, komuś tylko się przyśniło albo wyobraziło. „Ziemi oddać siebie tak bardzo, że już niczym nie zostać i nigdzie”^[13].

Nie, nie chcę chwilowo umierać, fajnie byłoby jeszcze trochę pożyć, choć tak naprawdę w skali wszechświata nie ma to absolutnie żadnego znaczenia. Jasne, że miło byłoby pomyśleć, że coś się tam znaczy, skoro już się tu pojawiło, ale chyba niestety nie znaczy się nic...

Rozbiłem namiot w wąwozie, było przeraźliwie cicho, słyszałem tylko bicie własnego serca. I nagle, kiedy już prawie zasypiałem, zaczęło wiać, ale tak dziwnie, jakby komiksowo, rysunkowo, takie podłużne, pociągłe podmuchy wiatru otulały mój namiot, ścisnęły, owijały, jakby zaglądały do środka, wyszedłem na zewnątrz, wiatr wiał tylko dokoła mojego namiotu, dziesięć metrów dalej było cicho, nie, nie jadłem ciasteczka, niczego nie brałem, makaron z makaronem tylko i fasola, może w fasoli coś było, a może gadka Weterana wcale nie do końca idiotyczna, co my wiemy o świecie, niewiele, a co dopiero mówić o zaświatach, a jeśli istnieją, to właśnie hulały dokoła mojego namiotu.

Dwa dni później byłem w Las Vegas. Właściwie to nawet nie w samym mieście, tylko obok, bo miasto objechałem łukiem, jadąc do małej miejscowości na obrzeżach molocha. Tego ostatniego dnia zrobiłem ponad sto czterdzieści kilometrów i z końcówki niewiele pamiętam. Morze światła,

lekki zawrót głowy, znużenie i trochę smutek. Że koniec. Że się wraca.

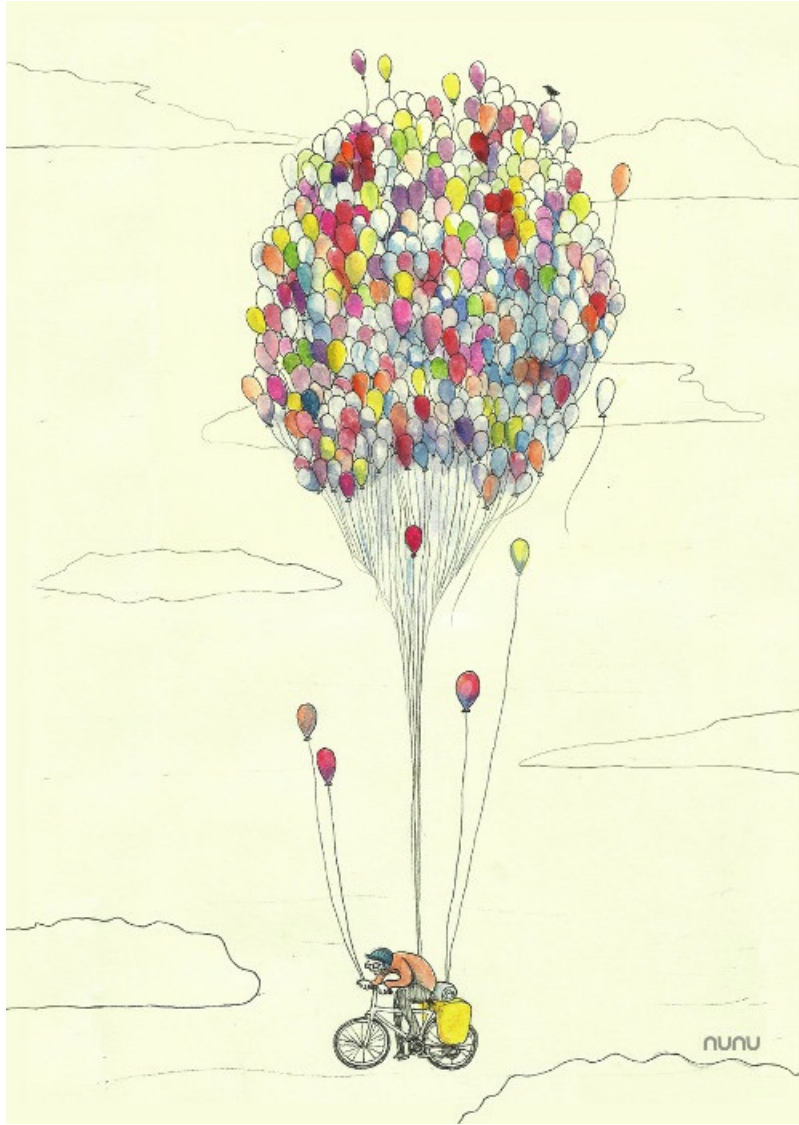
Postscriptum

„I się wróciło. Bo w końcu kiedyś, wcześniej czy później, zawsze się wraca. I już podarte mapy się na miejsce wstawiło. Torby, walizki, plecaki z niechęcią się rozpakowało. Brudy z odrazą się do pralki wrzuciło. Nazajutrz do roboty z przymusu się poszło”^[14].

Wychodzę na spacer, już jestem w mieście, wsiąknę z powrotem w moją miejską niszę, dobrze ukryty, w pociągu i w metrze chciwie obłapiam literki, w wytartych, wyświechtanych słowach szukam pocieszenia, przyzwyczailem się na nowo do łóżka, ścian, schodów i wody w kranie, do nowych sprzętów w domu i nawet do powietrza, bo zgęstniało od myśli, a mimo to ciągle nie opuszcza mnie wrażenie efemeryczności.

Idę do parku, jak to po przyjeździe, siadam na ławce, ktoś sprzedaje baloniki, kupuję jeden i puszczam go w niebo, patrzę, jak się unosi, oddala, znika, zdejmuję okulary, świat rozmywa się, szumią drzewa, niedługo przyjdzie jesień, przestrzeń pode mną, prostuję nogi i zamykam oczy, pozostając z nieodpartym wrażeniem ulotności chwili i może po to był ten cały wyjazd, a może i wszystkie poprzednie, żebym poczuł coś takiego właśnie. Że mam skrzydła. Wreszcie.

„Czasami myślę, że życie nie może podarować mi czystszeo i bardziej niezmaconeo poranka, niż kiedy idę na spacer przez park całkowicie obcego miasta, w którym nie znam nikogo, nie mam żadnych zobowiązań, gdzie nic mnie szczególnie nie cieszy, ale też nic szczególnie nie boli; a na samym dnie tej obojętnej obcości, tylko na tyle, na ile ogrzewa dłoń ukryty w niej zapalony papieros, mam świadomość, że żyję. To może nie jest jakiś wielki dar, ale niewykluczone, że więcej nie można dostać od losu”^[15].



Przypisy

- [1] Cytat pochodzi z filmu *Śmietnisko* (reż. Lucy Walker, Brazylia / Wielka Brytania 2010).
- [2] Rafineria to pluszowa maskotka zawieszona na kierownicy roweru, nieodłączny kompan autora podczas wielu podróży (przyp. red.).
- [3] W. Lewandowski, *Wyżej niż kondory*, Warszawa 2008, s. 159—160.
- [4] D. Czaja, *Gdzieś dalej, gdzie indziej*, Wołowiec 2010, s. 5.
- [5] Nicolas Bouvier, *Kronika japońska*.
- [6] G. Salisbury, L. Salisbury, *Okrutny szlak*, Warszawa 2005, s. 150.
- [7] J. Machowski, *Alaska*, Warszawa 1965, s. 299.
- [8] Oba cytaty pochodzą z tomiku wierszy Tadeusza Różewicza *Poezje wybrane*, Kraków 1994, s. 252.
- [9] J. Machowski, *Alaska*, Warszawa 1965, s. 63.
- [10] Wypowiedź Paula Theroux w audycji Excess Baggage, program 4. BBC 20 września 2008 r.
- [11] Burning Man to coroczne muzyczno-artystyczne wydarzenie na pustyni Black Rock w północnej Nevadzie w USA. Nazwa wzięła się od rytualnego podpalania kukły, kończącego imprezę. Burning Man organizowany jest niedaleko miasteczka Gerlach.
- [12] H. Poświatowska, *Czy świat umrze trochę, kiedy ja umrę...*, w: tejże, *Jeszcze jedno wspomnienie, Dzieła*, tom 2, Kraków 1997, s. 202.
- [13] H. Poświatowska, *Tak lekko ubyc...*, w: tejże, *Dzień dzisiejszy, Dzieła*, tom 1, Kraków, 1997, s. 199.
- [14] D. Czaja, *Gdzieś dalej, gdzie indziej*, Wołowiec 20 10, s. 6.
- [15] S. Marai, *W podróży*, Warszawa 2011, s.138.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
 **Helion SA**

Spis treści

[Y que te vayabien! Podróż przez Andy](#)

[Preludium](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Włóczykij z zawodu. Podróż przez Kordyliery](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Postscriptum](#)

[Przypisy](#)